



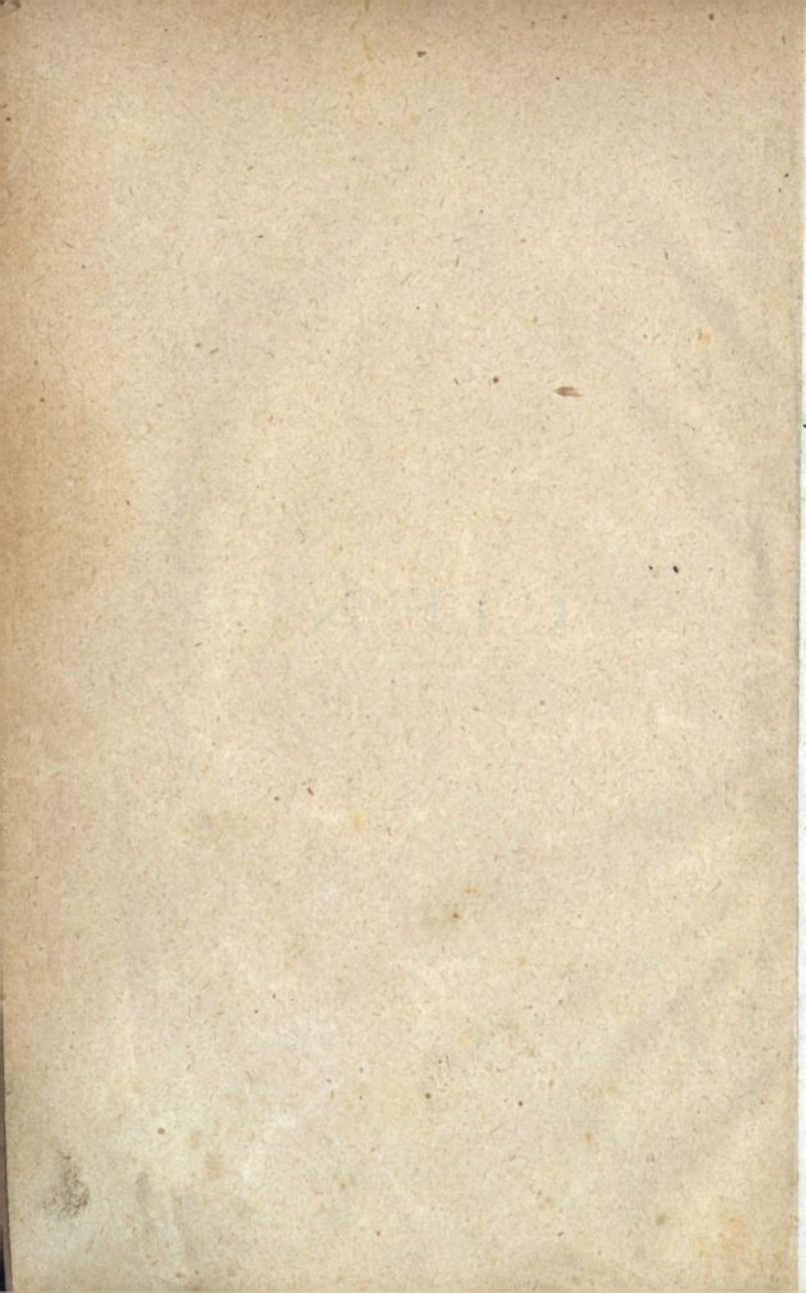
przeżył

N^o 639.

639

CIEŃ

~~BIUROSTWA
URZĘDNIK: TOMASZ KUB: w KRAKOWIE
SELCYAN IV~~



Rus

PAWEŁ BOURGET



C I E Ń

(Le Fantôme)

TŁÓMACZENIE Z FRANCUSKIEGO

WANDY NAŁĘCZ



WE LWOWIE

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

1901.

HO

A-18245



1000173319

Literat 13d

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Kr. 1160/56/3453

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA.

KSIEŻNEJ D'ESSLING

PRACĘ TĘ

POŚWIĘCA

AUTOR

I.

Człowiek przeszłości.

Pewnego poranku w jednym z pierwszych dni maja r. 1894, Filip d'Audiguer, sławny zbieracz starożytności — »d'Audiguer tarokowy«, jak go po cichu nazywano, z powodu jakiegoś rzadkiego przedmiotu w jego zbiorach — przechadzał się wszerek i wzdłuż wielkiego salonu, służącego za galeryę w jego muzeum, pochłonięty całą myślą, któraby niemało zdziwiła jego uczonych kolegów, gdyby mogli byli ją poznać i wiedzieć prawdziwą przyczynę tej gorączki oczekiwania.

Pan d'Audiguer urodzony w r. 1835 przeżył lat sześćdziesiąt cztery bardzo spokojnie, zużywszy prawie całe swe życie na pielęgnowaniu sztuki pięknej i na niez mordowanem służeniu jej.

Trzy okna wielkiej sali wychodziły na prywatny ogród, pełen kwiatów i drzew, poruszanych teraz ciepłym wiatrem i zaludnionych mnóstwem ptaków. Kilka starych budowli przedmieścia Saint-Gemain, ocalałych przed wandalizmem nowoczesnym, okalało park.

Uczony wybrał sobie na swe muzeum drugie piętro starego pałacu z wieku zeszłego, położonego na samym

końcu ulicy de la Chaise, przytykającej do legendowej Abbaye-au-Bois. Zdaje się prawie, że inna jakaś atmosfera owiewa ten starożytny klasztor, gdzie Chataubriand całą swą starość przepędził i gdzie tyle działał. Lecz czyż najmniejszy nawet drobiazg u p. d' Audiguer nie dawał nam pełnego pojęcia o miłości, zapale i fanatyzmie dla wieków zeszlých? Nie było w jego muzeum przedmiotu nie liczącego co najmniej czterech wieków, począwszy od dwóch dywanów florenckich, wykonanych podług malowideł Filipina Lippi, a skończywszy na ławkach kościelnych, których poręczce i oparcie ozdobione były rzeźbą, godną zająć miejsce obok drzwi chóru kościoła świętego Piotra w Perouse. Co za cudny wytwór wieku piętnastego! Jakie arcydzieła złotnicze porożkładane były na kominku i witrynie — pasy i rękojeście mieczów, relikwiarze i krzyże, kubki i talerze, fermoar z miniaturą Rafaela, naszyjnik w stylu sławnego klejnotu z Windsor. Nawet lubownik i znawca tych rzeczy musiał całą swą uwagę skupić, aby się zorjentować w tej masie skarbów nieprzebranych. — Mógł naprzykład łatwo niedojrzeć wspaniałej seryi kart tarokowych (z powodu których pan d' Audiguer miał przydomek) rozłożonych na rzeźbionym pulpicie kościelnym, kart których obrazki przypisywano pędzlowi samego Morelli, zrobionych przez niego dla Ambrogia de Predis, artysty ukochanego przez Ludovica la More. —

W swej przechadzce wzdłuż i wszerz, pan d' Audiguer nie rzucił nawet okiem na swe najukochańsze klejnoty; profil kobiety Pisanella, stolik hebanowy, na którym z elegancką fantazyą tokańską przedstawione

były sceny komiczne czwartej noweli z dziewiątego dnia »Dekameronu« — obraz do ołtarza przez Fenarrais Cossa, wysoki krucyfiks srebrny ze złotymi statuetkami, cyzelowanemi podobno w pracowni Verrochia. Z pomiędzy tych wszystkich skarbów, z których każdy wzbudzał żywe zainteresowanie się i tęsknotę za przeszłością, jeden tylko istniał dla niego w tej chwili — zegar w formie monstrancyi, pokazujący mu godzinę — dość paradoksalny, gdyż współczesnik pierwszych Medyceuszów Florentin, który modelował figurki na nim, nie przewidział z pewnością, że jeszcze po nim w cztery wieki mądrość ludzka każe poruszać się małym igielkom na staroświeckim cyferblacie i znaczyć godziny.

Wskazówka poruszała się i postępowała ciągle naprzód, znacząc czas, który wkońcu pochłonie i zniszczy te wszystkie obrazy, rzeźby, monstrancye i ich teraźniejszego właściciela — tak jak zniszczył poprzednich.

Nie temi jednak filozoficznemi refleksyami był zajęty starzec.

Zegar wskazywał zaledwie wpół do dziewiątej, p. d'Audiguer czekał z niecierpliwością godziny dziesiątej; czekał przybycia kogoś, kto nie był ani antykwaryuszem, ani archeologiem. Nie. Wizyta, której tak gorączkowo wyglądał, nie miała nic wspólnego z jego zamiłowaniem estetycznemi, które tylko same jedynie zdawały się go interesować. Rozchodziło się tu — co za kontrast szalony z duchem tej miejscowości! — o historię najzwyczajszą, najcodzienniejszą, jaka mogła się zdarzyć na bruku paryskim — o spór i nieporozumienie wynikłe w małżeństwie, którem p. d'Audiguer się bar-

dzo zajmował, gdyż znał młodą kobietę od dziecka. Młoda mężatka zaledwie od roku, napisała mu tego poranku, że przydarzyło się jej wielkie, straszne nieszczęście, że on jeden może ją uratować i dopomódz i że dlatego będzie o dziesiątej na ulicy de la Chaise. Styl listu, pośpiech w pisaniu i błagalny ton, w jakim Ewelina Malclerc prosiła go o przyjęcie jej w oznaczonej godzinie, wszystko to wskazywało, że podejrzenia, jakie go gnębiły od paru tygodni, nie były płonne. Ta jedna myśl wystarczała, aby wstrząsnąć do głębi starym uczonym, o którym nieprzyjaciele (każdy ich mieć musi) chętnieby powiedzieli — jak pewien Niemiec o Heinem: »Ty, który nie kochałeś nigdy żadnych kobiet prócz rzeźbionych i malowanych...«

Znaną jest odpowiedź poety na ten złośliwy komplement:

»Przepraszam panią, kochałem też raz umarłą.«

Odpowiedź tę, którą ironiczny autor »Reisebilder« wypowiedział drwiąc, ze złośliwym uśmiechem, mógł Filip d'Audiguer wziąć za swoją, ale tak jak wszystko u niego, seryo i szczerze.

Ten kochanek kobiet rzeźbionych i malowanych z piętnastego wieku, w swem życiu prywatnem, nieznanem ogółowi, miał romantyczną historję, której nawet śmierć nie była w stanie przerwać. Gdy tak chodził po galerji od czasu otrzymania listu od pani Malclerc, zaniepokojony i niecierpliwy, młoda kobieta przedstawiała mu w tej chwili inną, znikłą przed dziewięćmi laty w warunkach tragicznych, której pamięć niezatarta towarzyszyła mu ciągle. Ta umarła, żyjąca jednak w sercu uczo-

nego, była jak łatwo się domyśleć, matką Eweliny Malclerc.

Aby mózdz należycie ocenić tę wyjątkową wierność człowieka, godnego istotnie być nazwanym jak bohater romansu »człowiekiem przeszłości«, trzeba dodać, że do jego przywiązania dla Eweliny nie mięszało się uczucie ojcowskie. Kobieta, którą jeszcze w dziewięć lat po śmierci uwielbiał do tego stopnia, byłt roska o los jej córki wytrącała go całkiem z równowagi, nie była nigdy jego kochanką. Było to uczucie rzadsze i niezwyklesze niż wszystkie jego zbiory, niż karty tarokowe, choćby były malowane przez samego Sforzę, rzadsze niż krucyfiks srebrny i złoty, choćby był cyzelowany dla samego Medyceusza.

Romans tego człowieka, którego upodobanie i zamiłowanie zdawało się być najlepszą ochroną przeciw namiętnościom innego rodzaju, zasługuje na opowiedzenie od początku jego powstania aż do czasu, gdy po śmierci swej ukochanej, przywiązanie swe całe przelał na jej córkę.

Wszystkie wspomnienia żywo powstawały mu teraz w umyśle, im więcej zbliżała się godzina przyjscia Eweliny. Znadto kochał matkę, aby go tak gorąco nie przejął los córki, która za kilka chwil wejdzie do niego do pokoju, przypomni mu drogą zmarłą wyglądem, ruchami, nawet sposobem wyrażania się. Nie pierwszy raz dzisiaj uczuwał strach, aby to podobieństwo nie odniosło się też do ich losu, aby życie córki nie upłynęło podobnie jak życie matki, które znał w najmniejszych szcze-

gółach od jesieni roku 1870, t. j. od czasu kiedy zaczęła się jego romantyczna historia.

Powiedziałem już, że pan d'Audiguer w roku 1894 liczył lat sześćdziesiąt cztery. Przekroczył więc już czterdziestkę w 1871, gdy poznał matkę Eweliny. Wiek ten, w którym zwykle większa część mężczyzn uspokaja się i temperuje, był dla niego — który swą młodość przepędził bardzo cicho i skromnie — wiekiem najniebezpieczniejszym. Wspomnienie tego pierwszego spotkania, zachowało się w jego sercu w najmniejszych szczegółach. Gdy myślał o Antoninie — tak się nazywała zmarła — widział ją zawsze taką, jaką mu się ukazała po raz pierwszy, podczas jasnego, spokojnego wieczoru październikowego, na tle krajobrazu, który był jakby stworzony na to, aby wzniecić wyobraźnię człowieka-estety, zachwycającego się wszystkim co piękne.

Spotkanie się z młodą dziewczyną, — Antonina nie była jeszcze zamężna — miało miejsce w zakątku uwielbianym przez wszystkich znających Alpy, w willi d'Este nad brzegiem jeziora Còmo, którego bezmierny błękit, wśród szczytów, sięgających chmur, służył tyle razy za wzór dla szkoły lombardzkiej. Filip d'Audiguer zatrzymał się przypadkiem w starym pałacu, przerobionym na hotel, który mimo przystosowania do wygod nowoczesnych, zachował cały swój wdzięk i przepych przeszłości; z terasą prowadzącą szerokimi schodami ku jezioru, z parkiem pełnym win i ławek marmurowych, ze swym zameczkiem na wodzie przytykającym szeregiem basenów do grotty, wyłożonej kamyczkami i muszlami, malowniczej niszy z ogromną

statuą, całą białą, »Gigante« jak ją nazwały dzieci wiejskie.

Czy przypuszczał, przybywając do tego cichego zakątka, bez żadnego innego zamiaru jak dla zwiedzenia okolic jeziora, że zbliża się do swego przeznaczenia i że nigdy nie będzie mógł bez wzruszenia wspomnieć wioski Cemobbio, spokojnego jeziora, willi z wielkimi drzewami pomarańczowemi, fal lekko kołyszących się pod niebem tak jasnym, tak błękitnym przy świeżym powietrzu »Brevy«, wietrze Alpejskim, który około południa muska fale i ośnieżone szczyty górskie.

Nie byłby nigdy uwierzył, że mógłby się zakochać w tym wieku — przeszedłszy całą swą młodość bez miłości. — Pobyt w Cemobbio był ostatnim punktem jego podróży po małych miastach tokańskich, Lombardyi i Wenecyi — przedsięwziętej dla rozerwania myśli po strasznym roku poprzednim, który mu przyniósł dwa ciosy. Nieszczęściu ojczyzny towarzyszyło nieszczęście rodzinne.

W sam dzień wejścia Prusaków do Paryża stracił matkę, dla której swe młode lata poświęcił

Jak dobrym był synem, można łatwo zrozumieć, gdy się doda, że pani d'Audiguer od szesnastu lat miała pomieszanie zmysłów. Rozchorowała się po śmierci męża, zaś syn jej nie oddał jej do szpitala. Z całym zaparciem się pielęgnował ją wyrzekając się miłości, małżeństwa, niechcąc narażać młodej żony na tak smutne stosunki familijne; nie bywając nigdzie, aby biednej chorej samej nie zostawiać; za całą pociechę mając swą sztukę i zamiłowanie do starożytności.

Temu zamiłowaniu zawdzięczał spokój w znoszeniu straty, która byłaby dla niego prawdziwym dobrodziejstwem i wyzwoleniem, gdyby nie tak wielkie przywiązanie synowskie. Całe swe uczucie skoncentrował w matce, po jej śmierci zdawało mu się, że stracił jedyny cel życia. — Dopiero podróż do Włoch uspokoiła go nieco. Zainteresował się żywo starożytnymi pamiątkami, zaczął skupować różne cenne rzeczy do swego muzeum, mogąc zadowolnić swój gust i upodobanie przy wielkim majątku, pozostałym po rodzicach.

Gdy myślał o swym przyjeździe do willi d'Este widział się młodym jeszcze, smutnym człowiekiem, ubranym żałobnie, zajęтым tem tylko, aby skrzynie z jego skarbami doszły spokojnie i cało na miejsce. Boże! jak dziwnym jest przypadek, jak bardzoby się zdziwił ten poważny uczony, przekonany, że wszystko na świecie dla niego skończone i nic prócz jego zbiorów nie jest w stanie go zająć, gdyby mu powiedziano, że młoda dziewczyna dwudziestoletnia sprowadzi zupełny przewrót w jego życiu i że do tego przyczyni się prosty przypadek, sąsiedztwo pokoi, okno otwarte i ciekawość!

Filip przyjechał koło piątej godziny. Obiad był o siódmej. Miał zaledwie czas otworzyć swe walizy, wyjąć i opatrzeć samemu najdroższe ze swych zbiorów — ponieważ służącego wysłał naprzód do Paryża, aby zawiózł resztę rzeczy — nie miał nawet czasu zapoznać się z parkiem. Odkładając więc na dzień drugi spacer, usiadł w fotelu na terasie nad jeziorem, patrząc w przestrzeń. Naokoło panowała zupełna cisza, terasa była pusta i Filip mógł z całą rozkoszą w samotności

podziwać cudny krajobraz. Dla amatora i lubownika malarstwa jakim był, widoki włoskie mają podwójny czar — ich piękność naturalna stawia przed oczy wszystkie arcydzieła starych mistrzów, wzorowane na nich. Przy świetle wieczoru zapadającego, ten zakątek jeziora Como nabierał specjalnego wdzięku i pobudzał więcej jak inne miejscowości, do marzeń o poezji przeszłości, o freskach artystów wzrosłych nad brzegami Como — o Luinim, Ferrarim, Beltraffio, całej seryi geniuszów nieśmiertelnych swemi dziełami. Lekki cień leżał nad wodą, połowa brzegu była już całkiem ciemna, podczas gdy druga jaśniała jeszcze pełnym blaskiem.

Płaskie barki włoskie płynące po jeziorze, zdawały się nagle z ciemności wstępować w złotą kaskadę fal, w krainę zaczarowaną, białe ściany willi przebijały pomiędzy liśćmi lekko pozłoconemi przez jesień, tworzącami całą gamę kolorów na tle wysokich gór alpejskich, które swemi wierzchołkami ośnieżonemi nadawały czarodziejski prawie wyraz całej okolicy. Podczas takich wieczorów, wśród cudnej natury, przy blaskach zachodzącego słońca, dusza oddaje się marzeniom i nieokreślonej jakiejś tęsknocie nawet wtedy, gdy niema się tak smutnych powodów do tego jak pan d'Audiguer.

Siedział tam na terasie cały oddany chwili, upajając się cudnym wieczorem, zapominając o istnieniu, rozpluwając się nieledwie w przestworzu. Nagle hałas jakiś z pokoju sąsiedniego przerwał ciszę. Zaczęło się to od stłumionego westchnienia, potem przeszło w prawdziwe łkanie, jakby się kto długo powstrzymywał i nie mogąc się jednak pokonać, wybuchnął płaczem. Filip cały

oddany swym marzeniom, nie słyszał, jak w tej chwili właśnie drzwi od sąsiedniego pokoju się otworzyły i ktoś wszedł. Ponieważ siedział całkiem nieruchomo przechylony przez balkon — osoba wchodząca nie przypuszczała jego obecności.

Prosta grzeczność wymagała, aby dał znać o swej obecności, choćby tylko poruszając fotelem lub powstając z miejsca. Niepohamowana jakaś ciekawość powstrzymała go — pozostał nieruchomy na miejscu, powstrzymując oddech. Gdy łkanie nie ustawało, przerywane westchnieniami: »Ach mój Boże, Boże!« ciekawość jego wzrosła, zbliżył się do okna z najwyższą ostrożnością. Płacz nie ustawał. Zdawało mu się, że poznaje głos kobiety.

Nigdy nie mógł sobie wytłumaczyć, jaka siła skłoniła go do przestąpienia małej baryerki dzielącej balkony — i zbliżenia się na palcach do okna, z którego płacz wychodził. Okno było pół otwarte. Mógł dostrzedz kobietę siedzącą w fotelu z głową odchyłoną w tył, rękoma złożonemi na kolanach, w postawie wyrażającej straszną rozpacz, policzkami zalanemi łzami, ustami drżącemi, cała poruszana łkaniem konwulsyjnem. Nieznajoma była młoda i tak piękna, że łyzy nie szpeciły jej wcale. Filip mógł dojrzeć, że była blondynką, oczy miała niebieskie, które przez łyzy wydawały się jeszcze jaśniejsze, rysy twarzy nadzwyczajnej delikatności, cerę białą, przeświecającą różowo, usta pełne, zęby białe i drobne, ręce i nogi drobne. Swem spojrzeniem człowieka przywykłego do zauważenia najmniejszych szczegółów, zauważył w tej chwili, że nie miała żadnego

pierścionka na palcu — to utwierdziło go w przekonaniu, że ma przed sobą całkiem młodą dziewczynę.

Powróciwszy prawdopodobnie dopiero co ze spaceru, położyła na krześle obok siebie kapelusz, woalkę, parasolkę, rękawiczki, siedziała w sukni białej, dosyć krótkiej, która odkrywając jej zgrabne stopy, nadawała jej wygląd jeszcze młodszemu, prawie dziecięcy.

Ten charakter młodzieńczy rozlany w całej jej postaci stanowił dziwny, pełen wdzięku kontrast z szaloną rozpaczą jaką wyrażała jej śliczna twarzyczka.

Widok tego dziecka płaczącego i smutnego, którego cała postać zdawała się być stworzoną do szczęścia i wesołości, wywarł na Filipie tak silne wrażenie, że instyktownie, zapominając, że jej nie zna, postąpił parę kroków ku niej.

Młoda dziewczyna spostrzegła go. Poruszyła się i wydała lekki okrzyk. To było wystarczające aby się cofnął, wybąkując parę słów wytłumaczenia i cały zmieszany, zawstydzony wrócił do swego pokoju, pełen wzruszenia, które sobie tłumaczył wyrzutami sumienia z powodu swej niedyskrecyi, podczas gdy nieznajoma obok zamknęła szybko okno.

Dzwonek wzywający na obiad był pierwszym dowodem dla bohatera tej niemej sceny, że wzruszenie jego nie miało źródła w prostym zmieszaniu na jakie go naraziła dwuznaczna jego sytuacja. Pierwszą jego myślą po usłyszeniu dzwonięcia było: »Ona przyjdzie do sali i zobaczą ją«.

Widzenie się jednak z nią po tylko co zaszłym zdarzeniu wydało mu się tak przykrem, że zerwał się

by zadzwonić i kazać sobie przynieść obiad do numeru. Gd jednak położył rękę na dzwonku powstrzymał się.

Wydało mu się jeszcze przykrzejszem uniknięcie jedynej może okazji zobaczenia raz jeszcze tej twarzy, której rysy delikatne stanęły mu nagle przed oczyma z taką dokładnością, że przymknął powieki, aby dłużej napawać się tym cudnym obrazem.

Trwało to jedną sekundę, lecz wystarczyło, aby serce jego zabiło podwójną siłą. Uspokoił się wreszcie zdziwiony mocno tem uczuciem, całkiem dla niego nowem, które opanowało całe jego jestestwo; nie śmiał sobie jeszcze wyznać, że tam na balkonie, przy blaskach zachodzącego, słońca pograżającego w cień jezioro i góry, przed tą młodą, zapłakaną, dziewczyną, serce jego straciło dawny spokój i miłość pierwsza, namiętna, poczęła wkradać się do niego.

Obraz znikł. Począł się teraz obawiać nie spotkania się z nią, lecz ewentualności nieprzyjścia jej na obiad. Począł nadstuchiwać. Zdawało mu się, że słyszy kroki jakies w sąsiednim pokoju i szybko — gdy sobie to dziś przypomniał, śmieszyła go ta gorliwość — począł szukać na dnie kufra fraka, nietkniętego od czasu wyjazdu z Paryża, koszuli najmniej zmiętej przez pakowanie i jak najświeższej krawatki czarnej.

Nareszcie po drugim dzwonku, poważny uczony, dla którego ubieranie było zawsze pańszczyzną, udał się do sali jadalnej wystrojony wizytowo ze starannością panny idącej na pierwszy bal.

— »Czy ona też będzie?« pytał się siebie idąc drżącym krokiem ze schodów. — Ale kto ona jest? Jak się

dowiem tego? W jaki sposób zdołam zbliżyć się do niej, mówić z nią, wytłumaczyć me niedyskretne podejście pod okno?... Jak biedactwo serdecznie płakało!... Co jej jest?... Ach gdybym mógł co zrobić dla niej!... Jak ją poznać?...

Szereg tych pytań cisnął mu się do głowy i napałwał go dziwnym dreszczem. Nagle drgnął. Wszedłszy do »halli« gdzie parę osób przed wejściem do jadalni zatrzymało się, spostrzegł młodą dziewczynę, którą wyobrażał sobie w tej chwili zalaną łzami, siedzącą w rogu sali i rozmawiającą z trzema osobami: panią w średnim wieku, prawdopodobnie matką i dwoma panami, z których jeden zdawał się najwyżej liczyć lat trzydzieści...

W drugim poznał Filip ze ściśniętym sercem (nie wiedział czy z zazdrości czy ze zmartwienia) jednego ze swych kolegów z Akademii, radcę dymisyonowanego 4 września niejakiego Andrzeja de Montérau. Nie było sposobu cofnięcia się, Montérau poznał go od razu, pełen zdziwienia podbiegł do niego, wyciągając ręce na powitanie:

»Ach to ty mój drogi d'Audiguer. Co za szczęście! Co za szczęście!« Przybywasz tu przepędzić wakacje we Włoszech? Przywozisz nam nowe cuda, jestem przekonany. Co słyhać z naszym pałacem d'Orsay? Cóż porabiają nasi wszyscy koledzy? Nie widziałem ich od wieków. Miałeś więcej cierpliwości odemnie, nie opuściłeś ich. Ale pogadamy jeszcze o tem wszystkim. Teraz pozwól, że cię przedstawię pani de Montérau, mojej córce Antoninie i panu Albertowi Duvernay memu przyszłemu zięciowi.

»Małżeństwo to uszczęśliwia mnie. Opowiem ci to później«.

Całą masą tych zdań bez związku, wypowiedzianych tonem radosnym, a zarazem lekko tryumfującym, że po tylu latach niewidzenia może poszczycić się przed swym dawnym przyjacielem dzisiejszem szczęściem, obsypał Filipa, który stał, nie mogąc słowa przemówić. Nie przejął go jednak tak bardzo kontrast pomiędzy uradowaną miną dawnego kolegi, a nieszczęściem narodowem, w którym zdawał się nie brać żadnego udziału. Zdziwiony był natomiast mocno tem co spostrzegł, stojącym w zupełnem przeciwieństwie do jego przypuszczeń. Nigdy w życiu nie byłby w stanie zapomnieć wrażenia jakiego doznał zbliżając się ze swym przyjacielem do grupy pod oknem; banalnego uśmiechu pani de Montérau, ukłonu eleganckiego, młodego narzeczonego i dziwnego spojrzenia ślicznej panny. Czy to była ta sama, która pół godziny temu zanosila się od płaczu na górze w pokoju? Ta delikatna, ładna twarzyczka którą chwil parę temu widział całą zmienioną od łkań i łez, nie nosila najmniejszego śladu jakiegokolwiek bądź wzruszenia.

W całej postaci wyrażającej szczerosc i naturalność, przytem tak idealnej, tak dziewiczej, malował się wyraz wielkiej słodyczy, kobiecego wdzięku, spokoju, brak najmniejszej nawet hypokryzyi i skrytości. Lecz wiedząc to co wiedział i znajdując teraz to dziewczę zamiast we łzach, siedzące spokojnie i wesoło obok rodziców i narzeczonego, mimowoli dostrzegł, w niej jakąś tajemniczość. W jednym mgnieniu oka twarz jej oblała się łuną rumieńca, w błękitnych oczach błysnął rodzaj stra-

chu i prośby. Lecz ani narzeczonej, ani rodzice nie nie spostrzegli. Czy żadne z trzech osób jej otoczenia nie przypuszczało, że Antonina pod maską zupełnego spokoju i wesołości ukrywała szalony ból i rozpacz? — Instynkt szeptał mu, że nie. Instynktownie odczuł też, że powód tej rozpaczki leżał tutaj, w tem małżeństwie, które ojciec z rodzajem tryumfu mu oznajmił; a teraz widząc dwoje ludzi jedno obok drugiego, ani chwili nie wątpił, że przypuszczenia jego były trafne i odgadł prawdziwą przyczynę łez panny de Montéreau. Zbyt wielki był kontrast pomiędzy dwojgiem narzeczonych. Podczas całego obiadu, siedząc przy małym, sąsiednim stoliku, zatopiony był w studyowaniu młodej pary i zarazem w pożeraniu wzrokiem młodej dziewczyny — krew zdawała się inaczej krążyć mu w żyłach, jakieś nowe życie wstępowało w niego. Im więcej wpatrywał się w pełną idealnego wdzięku, trochę zmęczoną twarzyczkę młodego dziewczęcia, tem silniej stawała mu przed oczami chwila, gdy widział ją oddaną tak strasznej rozpaczki i ogarniała go ogromna litość i żal. Mógł się teraz przyjrzeć w najmniejszych szczegółach jej delikatnym rysom, które od pierwszej chwili go tak zachwyciły. Znajdował je teraz jeszcze więcej wytwornemi, miłemi: podziwiał jedwabny połysk blond włosów, lekko falujących nad klasycznie zarysowanym czołem, śliczną linię nosa i najpiękniejsze ze wszystkiego usta, ponsowe, pełne, z końcami boleśnie w dół spuszczone, czarujący wyraz błękitnych oczu, którym łzy wylane przed chwilą dodały dziwnie smętnego uroku — przezroczywą bladą cerę, z lekkim ru-

mieńcem. Suknia Antoniny z lila fularu, wycięta trochę, odkrywała szyję wysmukłą, białą, którą z niewysłownym wdziękiem pochylała. Naprzeciwko niej siedział człowiek, dla którego to śliczne stworzenie było przeznaczone. Cała jego powierzchowność, układ, sposób mówienia, trzymania się, jedzenia, patrzenia, nawet oddychania był w najwyższy sposób pospolity. Był to mężczyzna dość tęgi, ciężki, choć nie można było powiedzieć, aby był brzydki, gdyż rysy miał dość regularne, wygląd zdrowy i silny. Ale jego pospolitość była tak w najwyższym stopniu niemiła, że wydałby się niesympatycznym nawet, każdemu mniej stronniczemu aniżeli Filip. Nizkie pochodzenie ujawniało się w każdym jego ruchu, czuć było, że cywilizacja i wychowanie trochę tylko okrzesało tego człowieka. Jego duże nogi w lakierowanych trzewikach oparte były niezgrabnie o poręcz stołu, ręce porośnięte włosem trzymały niezręcznie nóż i widelec.

Czy ordynarność zewnętrzna tego plebejusza szła w parze z ordynarnością wewnętrzną? Później dowiedział się, że tak. Dowiedział się też o szalonym poświęceniu panny de Montéreau, która idąc za wolą rodziców zgodziła się na to małżeństwo. Była to historia zwykła — jak bardzo jednak w swej prostocie tragiczna.

Montéreauowie byli całkowicie zrujnowani i sprzedawali wprost swą córkę bogatemu parweniuszowi, pociągniętemu prawdopodobnie ku niej właśnie przez wielki kontrast, lub też przez chęć złączenia swego plebejuszowskiego nazwiska z rodem starożytnym i znany. Panna de Montéreau przyjęła jego propozycję, wi-

dząc nędzę czekającą rodziców. Poświęcając siebie, chciała zapewnić im dobrobyt do końca życia, otoczyć ich bogactwem, do którego przywykli i bez którego egzystencya ich stawałaby się niemożliwą. Dramat ten familijny zarysował się w całej pełni przed oczyma Filipa. Przyglądał się badawczo obojgu narzeczonym, czytał w ich oczach myśli, jakie krążyły w ich głowach. Coraz większa litość opanowywała go nad losem biednej dziewczyny. Widział ją przed chwilą w tak strasznej rozpacz. Cała jej natura buntowała się przeciw kajdanom, które sobie sama narzuciła. Młode życie złożyła na ołtarzu miłości dla rodziców. Skargi wynurzała przed Bogiem jedynie. Czyż mógł choć chwilę wątpić, że inny powód miała ku temu? Znał Montéroua bardzo dawno, nie stykał się z nim wprawdzie nigdy bliżej, z opowiadań jednak kolegów znał jego nawyczki do życia wystawnego, marnotrawstwa i gry.

O wszystkim dowiedział się po obiedzie, gdy jego dawny kolega wzięwszy go pod rękę, począł spacerować z nim po alei d'Orsay i głosić hymny pochwalne na cześć przyszłego zięcia.

Młoda para tymczasem przechadzała się po terasie nad brzegiem jeziora. Podniósłszy głowę mógł dojrzeć Filip okno pokoju, w którym córka jego towarzysza, przed dwoma godzinami opłakiwała powód radości ojca. Obejrawszy się za chwilę, ujrzał ją, jak owinięta w szal siedziała teraz pomiędzy matką a narzeczoną i wpatrywała się bezmyślnie w fale jeziora, uderzające lekko o brzeg rozjaśniony światłem gwiazd i księżyca. Towarzysz jego nie przestawał opowiadać:

»Tak kochany Filipie, bardzo, bardzo jestem uszczęśliwiony tem małżeństwem! Nasza karyera nie prowadzi do bogactwa. Szczególniej stosuje się to do mnie. Ty byłeś bogatym z domu, zresztą żyłeś jak anachoreta. Nie miałeś w życiu żadnych awanturek, ani nie odczuwałeś spokojnych domowych rozkoszy, które nawiasem mówiąc najwięcej kosztują. Nie masz pojęcia ile kosztuje utrzymanie domu, żony i córki. Masz wprawdzie twą żyłkę do zbierania starożytności, wiem, ale...

Umieszcza się tu jednak kapitał, który się podwaja, szczególnie przy twem znawstwie na tych rzeczach... Przytem ja nie mam szczęścia. Wiesz jak ślepo wierzyłem w Cesarstwo.

Gdy w lipcu ogłoszono wojnę, byłem pewnym zwycięstwa. Zagalopowałem się w kupnie papierów. No, i to mnie zrujnowało jak zresztą wielu ludzi...

Widzisz rodzina Duvernay, Albert i ojciec jego, podwoili majątek, który i tak przedtem był olbrzymi. Mają ogromne fabryki sukna na północy Francyi. Nie możesz mieć pojęcia, ile zarobili dotychczas na dostawach, ani ile codziennie zarabiają.

Oni ubierają całą armię. Antonina będzie miała wspaniałe stanowisko. W tych warunkach, mając przy boku męża, wprost zaślepionego na jej punkcie, będzie mogła urządzić sobie życie jak tylko będzie chciała.

Ach ona zasługuje na to w zupełności. Nie dlatego, że jest moją córką, ale faktycznie jest to anioł istny.

No dzięki Bogu los jej jest zapewniony. Moja żona i ja zamkniemy oczy spokojni o jej przyszłość. Ja

prawdopodobnie teraz, ponieważ jestem całkiem swobodnym, zajmę się też interesami mego zięcia. Tak wielkie przedsiębiorstwo potrzebuje dobrej głowy. Mam nadzieję, że poświęcając im me pozostałe lata, wiele dopomogę do powiększenia ich bogactw.

Jak jasno i dokładnie stawało Filipowi przed oczyma wspomnienie tego wieczoru! Z jaką łatwością przychodziło mu przypomnieć sobie najmniejszy szczegół pierwszego spotkania z jego Antoniną. »Jego Antonina!« Zawsze ją tak nazywał w swych myślach, mimo że nigdy nie należała do niego i gdy ją poznał już była innemu przyrzeczoną . . .

Gdy sięgnął myślą w te czasy, obrazy nasuwały mu się przed oczy, zlewały, postępowały po sobie z dokładnością, z jaką postępowały po sobie w owych pamiętnych dniach.

Ze wzruszeniem musiał przyznać, że kochał prawdziwie pannę de Montéreau, kochał ją pierwszą i ostatnią miłością, miłością wielką, namiętną, a jednak beznadziejną. Przedewszystkiem miał dwadzieścia lat więcej od niej. Wiedział że nie była wolną — nie miał najmniejszej nadziei zerwania tego nieszczęsnego małżeństwa, mimo głębokiego przeświadczenia o wielkiej ofierze z jej strony. — Wszystkie jego zresztą przypuszczenia o powodzie łez młodej dziewczyny utrwaliły się i zamieniły w pewność po przebyciu tygodnia razem z Montéreauami. Czując, że źle robi zostając, nie miał siły wyjechać. Gdy już pierwszego wieczoru nie mógł się zdobyć na tyle woli, by pozostać w swoim pokoju i nie starać się o poznanie ślicznej nieznajomej, tem więk-

szem niepodobieństwem było dla niego teraz, poznawszy ją, oddalić się i stłumić w sobie wzrastającą miłość. Musiał zostać w willi d'Este. Zamiast uciekać z miejsca, w którym spotkało go największe szczęście i nieszczęście jego życia, pozostał w niem tak długo, jak długo ona tam była. Widział się z nią nazajutrz rano, następnych dni, spotykali się przy stole, w ogrodzie, na terrasie. Budził się i zasypiał z myślą widzenia jej lub przynajmniej kogokolwiek z jej otoczenia. Po śniadaniu, przed obiadem, wieczorem wyszukiwał chwili, by móżdżek z nią choć słów kilka zamienić. Z dniem każdym zaufanie obopólne powiększało się. Po każdej rozmowie coraz jaśniej widział Filip, z jak szalonym zaparciem się siebie poświęcało się biedne stworzenie dla egoizmu rodziców. Nie trzeba było zbyt wielkiej bystrości by poznać, że Antonina nie tęskniła wcale za zbytkami i bogactwem i jedynie zadowolenie zachcianek rodziców miała na celu, zgadzając się na poślubienie pana Duvernay.

Ojciec na każdym kroku dawał jej uczuć, że jedynie możność wydawania pieniędzy na prawo i lewo, zdołała go uszczęśliwić. Co do matki zaś, jej dbałość o wykwint, staranie podtrzymania znikającej mody, zamiłowanie w życiu bezczynnem, błyskotliwem, bałwochwalcza prawie cześć dla Paryża i jego wielkich przyjemności, wszystko to znamionowało, że myśl o szczęściu córki ani chwili nie zaprzętała jej głowy, gdy namawiała młodą dziewczynę do przyjęcia oświadczyn Alberta. Pieniądz i użycie, użycie i pieniądz — te dwie idee przewodnie stanowiły błędne koło, w którym się przy-

szłość Antoniny ważyła. Historia ich była równie logiczną jak banalną; rujnowali się na podtrzymanie świetności domu, który wymagał szalonych kosztów i na dogadzanie wszelkim swym fantazyjom. Chętka odzyskania całego majątku przez grę na giełdzie, dokonała reszty — znaleźli się na progu nędzy, przynajmniej nędzy w ich pojęciu.

W jaki sposób dowiedziała się córka o ich ruinie? Czy domyśliła się sama, czy też samolubni rodzice wprost jej o tem powiedzieli, chcąc ją skłonić do bogatego małżeństwa? Było to prawdziwą zagadką dla Filipa, której rozwiązać sam nie był w stanie. Gdy później Antonina stanęła z nim na stopie szczerzej przyjaźni, wyznała mu, że przyjęła propozycję Alberta Duvernay z własnej woli, dla naprawienia nierozwagi, z jaką stracili wszyscy troje majątek i dla zabezpieczenia starości ojcu i matce. Nigdy ani jednym słowem nie dała mu do poznania, że do ofiary tej zmuszono ją. Jedną z głównych cech jej charakteru była wielka skrytość co do swych uczuć i wielkie panowanie nad sobą. Będąc jeszcze tak młodą w czasach gdy ją pan d'Audiguer poznał, potrafiła już wtedy ukryć pod maską spokoju i zadowolenia, szaloną rozpacz i żal za życiem straconem.

Dla Filipa, który był przypadkowym sposobem świadkiem wybuchu tej rozpacz, była ona wieczną zagadką. Przez cały tydzień ciągłego przebywania z nią, ich rozmów przyjacielskich, starał się dopatrzeć w głębi jej oczu błękitnych, tak łagodnych, tak spokojnych, śladów łez wylewanych prawdopodobnie codziennie; w jej uśmie-

chu zawsze słodkim, śladu skrzywienia bolesnego, w jej miłym, wesołym głosie, echa skargi — wszystko nadaremnie. Przypuszczałby, że chyba śnił o owej scenie na balkonie, która na jawie nigdy nie istniała, że nigdy nie widział tych ust jęczących z bólu, tych oczu pełnych łez, tej postaci wstrząsanej łkaniem, gdyby bladeść na licach coraz więcej wychudłych, nie zdradzała jej, a przedewszystkiem, gdyby nie czuł przebywając z nią razem, że otacza ich jakaś dziwna, nieokreślona atmosfera zwykła u ludzi bardzo dawno i bardzo dobrze się znających, przedewszystkiem jednak wtedy, gdy kobieta czuje, że mężczyzna zna dobrze tajniki jej serca i jest panem jej tajemnicy. Każda prawie kobieta postępuje w takich razach podobnie. Poczyna niedowierzając człowiekowi, który wie to, co tak bardzo pragnęła ukryć. Nawet wtedy, gdy jest przekonaną, że nie zdradzi jej, nie powie o tem nikomu, lęka się, że będzie rościł pewne pretensye w zamian za swą dyskrecyę; że pozwoli sobie na zachowanie więcej poufałe, jakie nie przystoi zwykłej znajomości, nadewszystko, że będzie ją wciąż zarzucał pytaniami, wdzierał się w najgłębsze tajniki jej serca i ostrożnie, powoli postara się o zaprowadzenie całkowite nad jej myślami, marzeniami, tak, że w krótkim czasie nic w jej duszy nie będzie należeć do niej jednej tylko — musi wszystko dzielić z istotą, która nieproszona wtargnęła w jej umysł i serce.

Gdy jednak przeciwnie — spostrzeżga u niego pewną nieśmiałość, chęć uzyskania przebaczenia za swą niedyskrecyę, obawę urażenia choćby słowem tej, która jest poniekąd na jego łasce, wyrzuty sumienia, że śmiał

posiąść jej tajemnicę, wtedy w kobiecie subtelnej, rozumnej, a nawet całkiem przeciętnej, rządzącej się sercem, powstaje uczucie wielkiej przyjaźni, graniczącej z wdzięcznością i wielkiem zaufaniem. Czuje, że jest w zupełności zrozumianą — nie może obojętnie przejść koło człowieka, który potrafił ją pojąć. Cała gama uczuć świeżo powstałych w sercu Filipa nie zdołała od samego początku zamienić serca Antoniny. Nieufność jednak i żal zmieniły się w krótkim przeciągu dni ośmiu w szczerą sympatyę, która nigdy nie zapomnianą poezją otoczyła ich stosunek przyjacielski i doprowadziła wkońcu Filipa do szalonej miłości.

Przypominał sobie teraz całkiem dokładnie, jak strasznie cierpiał przez pierwsze czterdzieściom godzin tego pamiętnego tygodnia; do rozpaczyny doprowadzały go widoczne starania młodej dziewczyny o niedopuszczenie go do rozmowy ze samą sobą. Bez robienia mu najmniejszych afrontów — nie postępując niegrzecznie względem niego, umiała jednak, przebywając z nim razem, nie widzieć go, nie słyszeć, nie uważać wprost na jego obecność, co go doprowadziło w stan tak szalonego rozdrażnienia, że postanowił odjechać najbliższym pociągiem. Przypominał sobie chwilę, gdy po długim przemówieniu z jego strony, ona jakby nic nie słysząc obróciła się do ojca i zażądała zmiany pokoju.

Zasłużyłem na to wszystko, mówił sobie, przyjmując z pokorą ten afront.

Z jak wielkiem zdziwieniem spostrzegł nagle, że zachowanie jej zmieniło się nieco, tak jakby Antonina powzięła o nim inne zdanie. Z jakim wzruszeniem za-

czał nieśmiało z nią rozmawiać, szczęśliwy, że raczyła choć półsłówkami mu odpowiadać. A potem ta niezapomniana rozmowa sam na sam jednego popołudnia podczas zwiedzania parku i willi leżącej po drugiej stronie jeziora!...

Wspomnienie to również zapisało się niezatartemi głoskami w jego duszy.

Gdy Filip myślał o owej dalekiej przeszłości, czas dzielący go od tych chwil zdawał się znikać. Zdawało mu się, że zaledwie wczoraj przeżył szczęsne chwile ich pierwszej rozmowy — zadzierzgającej węzeł przyjaźni między nimi. Widział dokładnie długie aleje starych dębów, z posągami bielejącymi między zielonością liści, nad nimi niebo przeczyste, błękitne, zlewające się w jedno z szafirowo zabarwioną wodą jeziora. Widział siebie idącego daleko przed całym towarzystwem, mając »ją« obok siebie. Miał przed oczyma jej drogą sylwetkę, wiotką i zgrabną; jej twarz tak jasną w okoleniu dużego kapelusza, jej ruchy zręczne, chód lekki. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze jej miły łagodny głos, którym go pyta o jego obrazy, zbiory w Paryżu, o ich historię — o przyczynę jego namiętności do nich. — o projekta jego na przyszłość — opowiada o ich podróżach, wreszcie jej okrzyk: »Jaka szkoda, że pan już wraca i nie będzie mógł nam pokazywać cudów Florencyi!« Czuł się wtedy raz pierwszy w życiu prawdziwie szczęśliwym. Rozmowa ich wchodziła w tory coraz więcej przyjacielskie i zaufane. Antonina stawiała się coraz szerszą; wkońcu bojąc się aby nie wyznać wszystkiego, nie otworzyć zanadto głębi swego serca,

zatrzymała się nagle, przywołując swego narzeczonego, który szedł w tyle z panem i panią de Montéreau. I Filip widział ciężką i pospolitą postać Alberta Duvernay zbliżającego się ku nim aleą, palącego cygaro i poruszającego niezgrabnie laską. Myśl o przyszłym małżeństwie ukochanej mu istoty z tym wstrętne ordynarnym i głupim mężczyzną wydała mu się tak straszną, że sprawiła mu wprost ból fizyczny nie do wytrzymania. Teraz gdy myślał o tem, miał jak w owej chwili, oczy łez pełne. Czy widziała ona te łzy litości błyszczące w oczach poważnego mężczyzny, czy odczuła, że poza litością kryje się inne, głębsze, silniejsze uczucie? Czy wobec tego odkrycia obawiała się pozostać panią siebie, nie dowierzała swemu własnemu sercu? Coś w tem musiało być prawdy, gdyż od tej chwili porzuciła na nowo unikać rozmów poufnych z Filipem.

Wejrzeniem jednak zdawała się błagać go o przebaczenie za swe postępowanie terażniejsze. Z subtelnością prawdziwie kobiecą starała się wynagrodzić mu to, zbliżając się do ojca i matki, gdy z nimi przebywał, słuchając gdy mówił z uwagą pełną zachwyty, dając mu odczuć na każdym kroku; że tym razem nie brak zaufania, lecz inne względy powodują jej czynami.

Czyniła to wszystko z tak zachwycającym wdziękiem, że biedny Filip zamiast obojętnieć, czuł się z każdą chwilą więcej zakochanym i w wigilię wyjazdu postanowił za jakąbądź cenę rozmówić się z nią sam na sam. Chęć zamienienia z nią słów kilku bez świadków, stała się u niego silniejszą nad zwykłą mu nieśmiałość, nawet nad wszelkie konwenanse.

Montérauowie wyjeżdżali nazajutrz rano przez Medyolan do Wenecyi. Filip do Francyi. Wieczorem błędząc po sali hotelowej spotkał się z Antoniną niosącą książki do biblioteki. Nie namyślając się długo podszedł do niej.

Zbliżyli się razem aż do balustrady na terasie i tam oparci o balkon, stali chwilę w milczeniu, wsłuchani w szum fal jeziora. Filip tamował wzruszenie opanowujące go tu na tem miejscu, na którym ujrzał ją raz pierwszy we łzach; wreszcie dziwiąc się sam swej odwadze, począł mówić drżącym głosem:

»Jutro rozstajemy się panno Antonino. Znam panią tak krótko!... Nie mam prawa przemawiać do pani tonem przyjaciela. Jednak mój wiek — dawne koleżeństwo z ojcem pani, pełna uszanowania, głęboka sympatya jaką czuję dla pani — pewne okoliczności przeto, uprawniają mnie do zabrania głosu w tej chwili tak ważnej dla pani i błagania jej o nieczynienie żadnego kroku niebacznego, nie dającego się potem nigdy naprawić, bez należytego zastanowienia się...«

— »Zastanowiłam się dobrze« — przerwała mu żywo, patrząc nań z wyrazem nadzwyczajnej energii; »Tak — powtórzyła — zastanowiłam się bardzo dobrze. Wiem czego chcę, dlaczego chcę i że tak być »musi«. Co do okoliczności, do których pan uczynił aluzję...«

»Dotknąłem panią« zawołał. »Ach przebacz mi pani!«

»Powinnabym się czuć dotkniętą« — przerwała mu znowu z uśmiechem, którego wdzięk łagodny stanowił dziwny kontrast z tonem energicznym z przed chwili —

»lecz sama nie wiem dlaczego, choć znam pana zaledwie krótki czas, mam dlań tyle szacunku, taką zupełną ufność, że zamiast czuć urazę za wdzieranie się w me sprawy, mam ochotę podziękować panu za to serdecznie« ...

I schodząc z terasy, jakby dla zaznaczenia, że nie chce przedłużać tej rozmowy, dodała: »Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze, odwiedzi mnie pan, gdy wyjdę już zamaż, będziemy przyjaciółmi, jeżeli« — tu twarz jej słodka przybrała wyraz poważny i stanowczy — »potrafi pan zapomnieć to, co trzeba zapomnieć« — potem z uśmiechem rozpogadzającym drogie mu oblicze, dorzuciła: »a zechce pan pamiętać o reszcie« ...

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

II.

Matka i córka.

Nadzwyczajnie wrażliwa, czuła, zawsze i wszędzie panująca nad sobą, kryjąca przed ludźmi każde silniejsze wzruszenie, — stała i stanowcza, nieugięta na pewnych punktach, przy nadzwyczajnej przytem łagodności i słodyczy. — przez stosunki domowe zmuszona do pewnego rodzaju dwulicowości swego charakteru, będąc wychowaną pomiędzy ojcem a matką, tak różnymi od niej pod każdym względem, którym nie mogła się okazać taką jaką była w istocie, — przywykła do szukania oparcia moralnego tylko w samej sobie, będąc zawsze samą ze swemi myślami, tak samą, jak może być tylko kobieta zbyt subtelną i czułą dla otoczenia nie rozumiejącego jej wcale, — piękna urodą nadzwyczajną której wdzięku dziwnego nadawała pewna tajemniczość otaczająca jej charakter: taką była Antonina de Monterau, gdy poznał ją Filip w willi d'Este i taką została jako pani Duvernay do końca, przez czternaście lat ich znajomości, minionych od chwili zobaczenia jej na terrasie, chwili, która całe życie jego pokierowała na całkiem inne tory niż się spodziewał. Miłość szalona, jaka opanowała go podczas pierwszego tygodnia ich wspól-

nego pobytu w Alpach, przetrwała lat czternaście w tej samej sile. Gdy w czterdziestym roku mężczyzna zachowa czystość ducha i myśli, uszlachetni się swymi czynami dla wielkiej idei, dla obowiązków familijnych lub religijnych, dla miłości sztuki — serce jego pozostawszy świeżem i nieskażonem, bywa zdolnem do miłości rzadkich, wielkich, których zwyczajny sceptyk wyśmieje, nie zrozumie ich całkiem, nie pojmie, że one właśnie potrafią wzniesć duszę ludzką do wyżyn niedoścignionych, uświęcić ją wprost, nadać jej nadziemski charakter.

Miłość taka platoniczna zdarza się rzadko; jest ona jednak, żyje niezaprzeczenie — nadano jej nazwę od imienia starożytnego filozofa — wysmiano ją — nie zdołano jednak zaprzeczyć jej istnienia. — Żyje ona w zakątku serca każdego człowieka — rodzi się z pierwszym drgnieniem, a ginie z ostatniem; — jeżeli to serce potrafiłoby pozostać czystem i wrażliwem, czuje się nagle opanowanem wielką namiętnością, nigdy niepodzieloną, namiętnością dla istoty młodej, nieskalanej, o której myśl sama zażądania wzajemności zdaje się być profanacją. — Pojawia się w jesieni życia, w chwili, gdy człowiek przestaje mieć wszelkie pretensye do świata, opanowuje go całego, niema w sobie ani odrobiny egoizmu. Wie się, że się kocha, kocha całą duszą, całe jestestwo pochłania ta wielka miłość bez wzajemności. Świadomość kochania uszczęśliwia tak bezgranicznie, że o wzajemności ani się marzy.

Nie pożądamy wcale kobiety ukochanej, nie czyniąc żadnych kroków dla pozyskania jej wzajemności,

nie wyszukując chwili, w którejby można skorzystać z jej słabości — myśli się jednak o niej ciągle i stale, żywa się z nią do tego stopnia, że wkońcu przejmuje się nią zupełnie — cieszy się jej radością, płacze nad jej nieszczęściem, odczuwa jej tylko troski i kłopoty, uważając jako najwyższy stopień łaski być przyjętym za powiernika, sługę — podporę moralną. Możliwość znajdowania się często przy niej — oddychania atmosferą, która ją otacza, słuchania jej głosu i patrzenia w oczy ukochane, daje mu bezgraniczne szczęście, wypełnia życie w zupełności. Czyż nie jest to najpiękniejszy rodzaj miłości nieegoistycznej poświęcającej swoje »ja« dla uszczęśliwienia ubóstwianej istoty!

Wszak każda miłość wielka musi iść w parze z poświęceniem. Trzeba wprawdzie mieć dużo szlachetności i zaparcia się siebie, by wytrwać do końca na swem stanowisku, nie dać się unieść temperamentowi. Miłość choćby najbardziej platoniczna, posiada w sobie sporą dozę namiętności; częste przebywanie z kobietą kochaną podnieca ją na każdym kroku — człowiek szlachetny, wiedząc, że prócz przyjaźni nic więcej nie otrzyma, stawia sobie od początku pewną linię demarkacyjną, oddzielającą przyjaźń od miłości i nie przekroczy jej prawie nigdy. — Żyje życiem wewnętrznym, miłość jego przechodzi w rodzaj kultu nabożnego, stwarza w swem sercu ołtarz dla swego ideału, modli się do niej i — czuje, że osiągnął szczęście na ziemi.)

Możliwym jest, że młodość Filipa d' Audiguer, poświęcona pielęgnowaniu chorej matki, spędzona zdala od świata, ludzi i ich namiętności, przysposobiła go do

stanięcia od razu na stanowisku przyjaciela i powiernika Antoniny, do zrozumienia od razu tej miłości bez wzajemności, której cała tragiczność objawiła się w sławnym okrzyku: »jeżeli ja cię kocham, czyż to nie dosyć«.

Może jego upodobanie i namiętność do sztuki pięknej, odkrywając mu tajemnicę poezyi i rozmyślania — powiększyły u niego możność czczenia młodej kobiety jak bóstwo!...

Jakiegokolwiekby były źródła tej miłości, która pojawiła się w sercu jego na widok młodej dziewczyny — oddzielonej od niego na zawsze warunkami życia — zdołały jednak opanować go do tego stopnia, że nawet teraz, po śmierci Antoniny pamięć jej pozostała mu świętą i nieskalaną.

Czternaście lat, sto sześćdziesiąt ośm miesięcy. — Jak to długo! Jak długo to przeżyć. Jak krótki jednak czas się ten wydaje, gdy się cofa myślą w przeszłość, by wspomnieć ubiegłe chwile! Zdaje się, że wczoraj zaledwie byliśmy młodymi — marzyli o złotej przyszłości.

Filip miał czasami wrażenie, jakie odczuwać musi podróżnik, gdy po długich godzinach męczącej i niebezpiecznej drogi wejdzie na szczyt wysokiej góry, obejrzy się i widząc drogę, którą dopiero co przebył, dziwi się, że wygląda ona tak łatwą i krótką — krótką, a jednak tak daleką! Podróżnik stara się zorientować i szuka wzrokiem miejsc mniej lub więcej przyjemnych do przebycia. — Dróg, gdzie z narażeniem życia, zawieszony nad przepaścią, piał się wyżej i wyżej! — Tak samo też d'Audiguer szukał myślą wszystkich stacyj swej dłu-

giej, ciężkiej drogi, z których każda zaznaczyła się na zawsze w jego sercu, a ostatnią stanowił »jej« grób. Dokąd dążył, rozpoczynawszy tę żmudną drogę? Jaki był cel jego podróży?...

Wszystko co posiadał, wszystko co miał, całą swą naukę — każdą kroplę krwi — wszystkie skarby swego muzeum, oddałby za jedną godzinę z lat ubiegłych, za jedną chwilę z »nią« przepędzoną! — Jak te czasy wydawały mu się bliskie, jak bardzo jednak były dalekie!

Czyto nie wczoraj spotkał Monterauów wracających z Włoch, nie wczoraj przyszła Antonina do niego po raz pierwszy w towarzystwie ojca celem zwiedzenia jego galeryi?

Ach, jak wszystkie stare obrazy, stare rzeźby jaśniały młodością, dnia tego! — Czyto nie wczoraj, łudząc się do ostatniej chwili nadzieją, że nieszczęsne to małżeństwo nie dojdzie do skutku — ukryty za jednym z filarów patrzył z rozdartym sercem na orszak weselny wkraczający do kościoła świętej Klotyldy — gdzie do dziś dnia nie był wstanie wejść bez wzruszenia. Dźwięki organów napełniły całą świątynię, gdy Antonina, oparta o ramię ojca, kroczyła ku stopniom ołtarza. Jak ona była piękną w sukni ślubnej, w wianku nad czołem, z wejrzeniem poważnem, mającem tyle silnej woli w sobie, z obliczem bladym, z głową w górę podniesioną.

A gdy się zbliżył do niej w zakrystyi, nie przywitała go jak innych gości uśmiechem pełnym uprzejmości, lecz spojrzała na niego dziwnie ostro, wprost nakazująco, jak gdyby chciała mu przypomnieć ich ostatnią rozmowę nad jeziorem Como i kazać mu raz jeszcze,

by pamiętał o jej słowach. Odwrócił wtedy szybko głowę, by nie wyczytała w jego oczach podziwu, a zarazem straszego żalu nad tem młodem stworzeniem, które się sprzedawało, by dogodzić egoizmowi rodziców. Świadomość tej ofiary rozdzierała mu serce — nikt jednak, nawet on, nie mógł wyczytać na tem ślicznem obliczu, tak pogodnem na oko, śladu walki wewnętrznej...

Czy nie wczoraj powrócili oni z poślubnej podróży i zainstalowali się w świeżo kupionym pałacu przy ulicy Lisbonne, gdzie Filip bywał tak często, tak często, gdzie ona go uszczęśliwiała swą przyjaźnią i zaufaniem, z jakim zwracała się do niego w najdrobniejszych nawet sprawach?

Całą swą wiedzę, naukę, czas poświęcał jej na usługi. Z jakim zapałem biegał czasem z nią razem po sklepach, magazynach, za różnymi sprawunkami. Nigdy, nawet gdy zdobył przedmioty najcenniejsze do swego muzeum, nie czuł się tak szczęśliwym jak wtedy, gdy mógł dla niej wynaleźć jaki rzadki mebel, materję, którą sobie życzyła, lub bronz kosztowny. Obojętność z jaką zapatrywał się pan Duvernay na tę coraz bardziej wzrastającą ich przyjaźń, byłaby zbyt wielkim dowodem dla Filipa, jak mało był niebezpiecznym, gdyby sam nie był o tem jak najsilniej przekonany. — Jedno spojrzenie w lustro, widok swej twarzy zwiędłej, włosów siwiejących, ruchów niezgrabnych obok jasnego wejrzenia, świeżej cery, całej postaci Antoniny tchnącej wiosną, przywodził mu co chwilę na pamięć różnicę wieku, jaka ich dzieliła.

Nie te jednak refleksye napępniały go goryczą i odbierały spokój. Stawszy się codziennym gościem u pań-

stwa Duvernay, przekonał się, że pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarł Albert, było całkiem słuszne. Ten człowiek zmysłowy i nieokrzesany miał dla swej żony uczucie czysto fizyczne. Podobała mu się zewnątrz, więc zdobył ją przez małżeństwo. Czy odbył się między nimi jeden z tych dramatów życiowych, w których wstręt kobiety zamienia miłość męską w nienawiść?

Czy też należał on do ludzi, którzy kochają tylko pożądając, a posiadając obojętnieją?

Którykolwiekby z tych powodów działał, spowodował on jednak, że w drugim roku pożycia zaczął Albert traktować swą żonę z najwyższą w świecie surowością. Spodziewała się słabości, która zapowiadała się tem niebezpieczniej, że przed samą chorobą zmarł ojciec jej i matka prawie jednocześnie. Było to dla niej wielkim ciosem.

Czy nie wczoraj znalazł Antoninę tak strasznie znękaną, nazajutrz po pogrzebie pana de Montéreau w swym małym saloniku leżącą o szarej godzinie na szezłagu przy kominku? Tam po raz pierwszy i ostatni w życiu przerwała milczenie, nakazane przez nią samą i dochowywane skrupulatnie przez nich oboje. Widział ją jeszcze całą wciąż wpatrzoną swemi przesmutnemi oczyma w ogień, rozpoczynającą rozmowę o willi d'Este, wyznającą nakoniec prawdziwą przyczynę swych łez wtedy — opowiadającą o swych walkach, wahaniach, swej rozpacz przed stanowczą decyzją — wreszcie decyzję; tortury narzeczeństwa i gorsze jeszcze tortury małżeństwa.

Okrzyk usłyszany wtedy przez Filipa: »O mój Boże, mój Boże«, miał teraz swą rację bytu.

Rozmowa ta nie powtórzyła się już nigdy między nimi. Wystarczyła przecież, by Filip poczuł jeszcze większy żal nad młodą kobietą, tak słodką, tak łagodną, zmuszoną do strasznej ofiary i zdumiał się wprost, do jakich rozpaczliwych walk i buntów zdolną była. Dnia tego wzbudziła się w jego duszy po raz pierwszy obawa, którą daremnie starał się oddalić...

Przyszło mu na myśl, że przyjdzie godzina, w której spotka ona człowieka, zdolnego zawładnąć jej sercem i jaki wpływ wywrze ta miłość na nią?

Namiętny charakter, ujawniający się w walkach przebytych dawniej i teraz w codziennem pożyciu, nieprzyjazny stosunek z mężem, brak rodziców, wszystko to zamiast uciszać, powiększało jego obawę. Z największą radością powitał przyjście na świat Eweliny, starając się widzieć w dziecku oparcie moralne dla matki i zapórę do przekroczenia drogi prawej, rzucenie na bok wszelkich względów dla dogodzenia własnej namiętności. Od tego czasu datowała się jego miłość dla dziecka. Powinien był je nienawidzieć, jako żyjący dowód związku, o którym myśl sama doprowadzała go do szaleństwa.

Gdy jednak schylił się nad kołyską, gdzie spało biedne maleństwo, owinięte w poduszki, jedno jedyne uczucie owładnęło nim — nieskończona wdzięczność dla nowoprzybyłej za spokój, jakim go obdarzyła, zajmując miejsce w sercu Antoniny i nie dopuszczając tym sposobem do ciągłego strachu o ukochaną mu istotę.

Druga stacya: Ewelina powoli wzrastała, a wraz z nią powiększała się w sercu Filipa, ciągle i stale wiernego, wdzięczność dla niej, poczęta nad jej kołyską. Było to całkiem słuszne, gdyż dziecko zdawało się faktycznie uspakajać rozbudzone namiętności w sercu matki. Pierwsze lata, następujące po urodzeniu się Eweliny, w czasie których wzrastała mu przed oczyma jak piękny kwiat — stanowiły prawdziwą oazę w wspomnieniach d' Audiguer'a. Było to, w ciężkiej podróży jego życia, rodzajem miękkiego gazonu z trawy, gdzie nogi wypoczywają, a pierś swobodniej się podnosi. Możliwoby przypuścić, że Antonina sama sobie życzyła, by lata te przeszły bez chmurki. Widocznie odgadła instynktownie podejrzenia, jakie gnębiły Filipa, które teraz poniekąd miały swą rację bytu, gdyż po skończeniu żałoby, na życzenie męża dom otworzyła, zaczęła bywać w świecie, dzięki swej urodzie i bogactwu, otoczona rojem wielbicieli. Aby utrzymać ich stosunek przyjacielski, bardzo jej drogi, starała się wszelkimi sposobami uspokoić go zupełnie, zachowując dla niego zawsze tę samą życzliwość, zjednując go różnemi drobnemi rzeczami, które go coraz więcej przywiązywały: wracając dla niego specjalnie o oznaczonej godzinie do domu, zapraszając te tylko osoby, które mu były sympatyczne, opuszczając najlepszą zabawę dla jego towarzystwa. Rozwinęła, jednym słowem, cały swój wdzięk i spryt kobiecy; na dnie jego poznał jednak Filip chęć uspienia jego podejrzeń, ciąglą baczność na niego. Wszystko to wydawało mu się bardzo podejrżane i powiększało tajemniczość jej cudnej postaci.

Lecz pocieszał się, że tajemniczość ta nie miała żadnych złych powodów, że te śliczne oczy miały teraz na co spoglądać, czem się cieszyć. Druga para oczu zupełnie podobnych do tamtych, patrzyła z miłością i całym oddaniem na nią. Gdyż pomimo różnicy wieku, jaka je dzieliła, istniało podobieństwo zadziwiające między matką a córką.

Mimo dwudziestu dwóch lat je dzielących od siebie, mała istotka miała już dziś tę samą delikatność rysów, tę samą cerę przezroczystą właściwą blondynkom, ten sam kształt głowy, ręki, nogi, te same ruchy, wejrzenie, nawet chód. D'Audiguer odgadywał, że będzie to też ta sama natura zamknięta w sobie, szlachetna, poświęcająca się.

Malowały się teraz w jego wspomnieniach jedna obok drugiej, jedno dziecko, druga kobieta, tak podobne do siebie, gdy je obie razem porównywał.

Kochał je obie jednakowo prawie, jedną dla niej samej, drugą dlatego, że jej wpływ dobry zdawał się dodawać sił Antoninie w znoszeniu wszelkich trosk życiowych i poskromieniu swego namiętnego temperamentu.

Trzecia stacya: zdarzenie dość proste, do którego Filip nie przywiązywał żadnej wagi, rozpoczęło nagle okres obaw coraz silniejszych.

W roku 1880 Antonina owdowiała. Albert Duverney zapalony myśliwy polując w swych dobrach w okolicach Compiegne przeziębił się, stojąc uparcie na stanowisku w dniu jesiennym deszczowym i dostał zapalenia płuc. W tydzień było już po pogrzebie.

Antonina wdowa! Antonina wolna!, wolna, mogąca na nowo zacząć życie! — wolna, mogąca kochać i poślubić człowieka kochanego!

Czyż biedny zakochany, który czuł się obdarzony jej przyjaźnią, dlatego, że nikogo nie kochała, o nikim nie myślała, nie miał powodu do niepokoju i zmartwień?

Nie miał powodu lękania się każdej chwili możliwości powtórnego wyjścia zamąż młodej kobiety — tym razem małżeństwa z miłości?

Jakie straszne męki zazdrości, na razie bezpodstawnej, przechodził!

Jakie wyrzuty sam sobie czynił z powodu tego egoizmu!

Gdy zdążył ku pałacowi przy ulicy Lisbonne, zbliżywszy się do okien, stanął chwilę, by ochłonać ze wzruszenia, jakie go opanowywało. Serce jego pękało na myśl spotkania w tym salonie ozdobionym, umeblowanym jego gustem, człowieka, któryby zawładnął sercem Antoniny do tego stopnia, że zdecydowałaby się spróbować raz drugi szczęścia w życiu!... Ale jak straszne chwile przechodził wtedy, jak gorzkie czynił sobie wyrzuty za swój egoizm!

Dziś jeszcze wspomnienie dni nieszczęsnych, wywoływało mu łzy w oczach.

Wreszcie mała Ewelina wyprowadziła go z błędnego koła, w jakim się znajdował. W jaki sposób?

Li tylko swą obecnością.

Drobny przypadek posłużył ku temu:

Mniej więcej w pięć miesięcy po śmierci Alberta Duverney jadł Filip dnia jednego śniadanie razem z An-

toniną i jej córką. Dziecko siedziało między matką a nim, sama bez guwernantki Angielki, która ją wychowała i zwykle nie rozstawała się z nią ani na chwilę. Na pytanie d'Audiguer'a odpowiedziała pani Duverney, że nauczycielka została natychmiastowo zawezwana do Londynu, do umierającego ojca i z powodu różnych stosunków rodzinnych prawdopodobnie już do Paryża nie wróci. D'Audiguer wiedział dobrze, że Angielka była ukochaną faworytką Eweliny, zdziwiła go więc mocno obojętność, z jaką mała wysłuchiwała słów matki. Po śniadaniu poprosiła o pozwolenie pójścia do swego pokoju. Gdy się oddaliła, Filip opowiedział pani Duverney przyczynę swego zdziwienia.

— »Zdaje się panu, że ona tego nie odczuła?« — odrzekła mu na to: »Proszę, chodź pan za mną«.

Zaprowadziła go do pokoiku dziecka, gdzie zastali ją leżącą na łóżku i konwulsyjnie szlochającą. Uspokoiwszy ją pieścizotami i pocałunkami, powrócili do salonu, gdzie matka odrzekła:

— Widzi pan, jak mylnie sądził pan przed chwilą.

Jej natura jest już taka, im więcej jest wzruszoną, tem więcej się ukrywa. — Odnajduję siebie w tem małym stworzeniu i to napawa mnie strachem przed jej przyszłością.

Wiem aż nadto dobrze, jak bardzo boli zamykać się ciągle w sobie, przeżywać wszystko samej, nigdy nie wyjawiać swych trosk. Nieszczęście niepodzielone cięży podwójnie.

Jest to też jednym z powodów, gdybym ich więcej nie miała, dla którego bym absolutnie po raz drugi zamąż

nie wyszła. Bałabym się dać Ewelinie ojczyrna, choćby on był jak najlepszy.

Drobne to zdarzenie stanowiło ważną datę w życiu Filipa. Zaznaczyło ono czwartą stację jego pielgrzymki życiowej — stację ostatnią.

Zbyt dobrze znał swą przyjaciółkę, by nie być przekonany, że powiedziała to z pewną intencją. Odgadła instynktownie jego obawy, niepokój i postanowiła uspokoić go w zupełności.

Oświadczenie, że nie zdecydowałaby się nigdy dać ojczyrna Ewelinie: »choćby był najlepszy« trafiło jednak w jego czułą strunę. Odgadł bowiem, że wyrażenie »najlepszy« odnosiło się specjalnie do niego. Przypomniało mu to raz jeszcze, że nigdy, nigdy nie poślubiłaby go ona, że nie pokocha go nigdy. W zupełności jednak miał wynagrodzenie za jej zapewnienie, że »nikogo« nie da córce jako drugiego ojca.

Czytał w oczach młodej kobiety ten oryginalny wyraz silnej woli, który znał bardzo dobrze — widział go niegdyś w willi d'Este, kiedy źrenice jej zwykle tak słodkie i łagodne, zabłysły nagle surowością i powagą.

Ani na chwilę nie wątpił, że postanowienia została wdową do końca życia, nie zmieni, również jak wtedy, gdy nie zmieniła postanowienia zaślubienia pana Duvernay.

I zaczął się wtedy dla niego okres życia krótki, ale tak rozkoszny! Na wspomnienie tych chwil nie mógł się oprzeć wrzuceniu.

Miłość do matki i wdzięczność serdeczna dla dziecka, zlewały się w jedną wielką całość, napełniając jego serce bezgranicznem szczęściem.

Szalony! Tak mógł wtedy przypuszczać, że takie szczęście może być długotrwałem!

Mysłał wtedy, że będą żyli tak w nieskończoność — ona wiedząca od czasu swego wdowieństwa życie kobiety odosobnionej, otwierając dom swój li tylko dla pewnej liczby krewnych i przyjaciół, oddanej całkowicie wychowaniu córki, życie kobiety, starającej się ukryć przed światem, by przejść do końca życia niespostrzeżoną przez nikogo; — on, codzienny gość tego spokojnego domu, patrzący z miłością na matkę i córkę, których widok opromieniał jego zbliżającą się starość, wierny, — oddany im całym sercem, nie widzący świata poza niemi.

Znalazł sposób pogodzenia swej miłości do nich z namiętności dla swoich zbiorów. Testamentem przekazał pani Duvernay i jej córce całe swe muzeum w spadku po nim. Z większą więc jeszcze troskliwością dbał o jego upiększenie. Jedyne rozłączenia z niemi stanowiły jego wyjazdy do Włoch, niewyczerpanej skarbnicy cudnych starożytności, w które zaopatrywał swoją galeryę. Z każdej takiej wycieczki przywoził jakieś arcydzieło, ciesząc się, że wtedy, gdy odejdzie na zawsze, duch jego, zaklęty w ukochanych zbiorach, będzie otaczał Antoninę i jej córkę.

Niestety los pokierował wszystko inaczej.

W grudniu 1885 r. wracając z jednej ze swych podróży przez Pizę z Montalenio i Sienny otrzymał telegraficznie straszną, druzgoczącą go wiadomość: Pani Duvernay uległszy wypadkowi, została zabita! Okropne szczegóły podały nazajutrz dzienniki. Wysiadała ze swego powozu na Polach Elizejskich. Nagle konie przestraszyły

się czegoś i poniosły. Z szybkością strzały pędziły ku placowi Zgody. Tam stangret nie mający siły by je zatrzymać, skierował je na wóz z meblami. Powóz został strzaskany na drobne kawałki, pani Duvernay wyleciała na trotuar, głową uderzyła o kamień i na miejscu wyzionęła ducha...

Bywają nieszczęścia tak niespodziewane, tak straszne, że gdy czas nieubłagany zatrze trochę pierwsze wrażenie, dziwimy się, jak mogliśmy wytrwać wtedy, nie upadłszy pod ciosem, który nas dotknął.

Tajemnica siły, z jaką go znosimy, da się wytłómaczyć tylko tem, że na razie nie jesteśmy w stanie zdać sobie sprawy, czy doprawdy to wszystko dzieje się na jawie, czy też nie jest jakimś okropnym snem tylko. Stan dziwnego, umysłowego oszołomienia, w który wpadamy, jest dla nas prawdziwym dobrodziejstwem. Pozwala nam łudzić się chwilami, że nieszczęście jest fikcyjnym wytworem naszej bujnej wyobraźni. Nie zdajemy sobie sprawy z ogromu ciosu, który w nas uderza.

Powoli, powoli przywykamy do myśli, że wszystko to jest straszną prawdą, — czas leczy wszelkie rany.

Pozwala nam to istnieć nadal, nawet po śmierci tych, z których życiem wszystkie nasze marzenia o szczęściu były związane.

Oni odchodzą, a my dalej cieszymy się, smucimy, życie nasze płynie znów zwykłym torem. Jak kręgi na wodzie, gdy wrzucimy w nią kamień, zwolna niktą i niktą — tak i pierwsze wrażenie gromu, który nas dotknął, powoli zaciera się, tracąc swą pierwotną siłę.

Filip przypominał sobie teraz swój powrót do Paryża po otrzymaniu strasznej wiadomości, widział siebie idącego bez przytomności za pogrzebem. Patrzył i nie wierzył, by to było prawdą. — Nawet widok trumny, karawanu, łez biednej, małej Eweliny, nie zdołał utwierdzić go w przekonaniu, że wszystko już skończone. Cała groza straszego ciosu stanęła mu przed oczyma dopiero później, gdy mianowany w testamencie Antoniny jako wykonawca jej ostatniej woli, musiał zająć się wszystkimi jej sprawami. Co spowodowało młodą, w sile wieku stojącą kobietę do pisania testamentu, tego nie mógł w żaden sposób dociec.

Testament ten, spisany najdokładniej w świecie, drobiazgowo prawie, datowany był na parę miesięcy przed jej śmiercią.

W wykonywaniu ostatniej woli zmarłej, rozpacz jego znalazła pewien rodzaj pociechy. Widział w tem ogromny dowód tego samego zaufania, jakim go całe swe życie obdarzała, że pomijając krewnych, jego właśnie ustanowiła wykonawcą swej woli i poleciła uporządkowanie interesów majątkowych Eweliny.

Czemu jednak nawet teraz, po śmierci pozostała równie tajemniczą, jak nią była życie całe? Jak dawniej nie pozwoliła mu nic wyczytać ze swych głębokich oczu, tak i teraz zazdrośnie uniosła w grób ze sobą wszystko co ukryć chciała.

W liście zaadresowanym do niego dziękowała mu w serdecznych słowach za przyjaźń okazywaną jej od pierwszej chwili poznania w willi d'Este i prosiła o ostatni dowód tej przyjaźni. Poruczała mu spalenie jej oso-

bistych papierów, które znajdzie w skrzynce zamkniętej na sztuczny zamek. Załączała kluczyk do listu i nalegała by się najdokładniej zastosował do instrukcyi napisanych na kopercie, w której się znajdowały papiery. Wkońcu prosiła go również o przebaczenie, że nie może mu nic wyznać.

Nie potrzeba dodawać, że Filip wykonał wszystko z drobiazgową skrupulatnością. Po długich szukaniach znalazł wreszcie skrzynkę, a wewnątrz niej papiery, tak zazdrośnie ukrywane przez Antoninę. Były one złożone w kopercie białej, skórzanej, na której pani Duvernay napisała: Dla mego przyjaciela Filipa d'Audiguer, którego proszę o spalenie »w całości«.

Zrozumiał dobrze zastrzeżenie zniszczenia »w całości«, słowa te podkreślone przez Antoninę miały mu dać do poznania, że nie powinien zapoznawać się z treścią dokumentów. Przyczyna, dla której ona sama ich nie spaliła, była łatwą do odgadnięcia. Prawdopodobnie nie chciała się z niemi rozstawać do śmierci. Były jej widocznie zbyt drogie, by miała się ich dobrowolnie pozbawiać...

Przypomniał sobie teraz wszystko dokładnie. Wziąwszy drogi mu depozyt, wrócił z nim do domu. Kazał zapalić ogień na kominku. Stał przed nim, trzymając w ręku kopertę, przez delikatną skórę czuł pod palcami kartki papieru... patrzył w drzewo płonące i nie miał siły usłuchać od razu rozkazu Antoniny. Tysiące myśli napływało mu do głowy. Jaki cel miała jego przyjaciółka w tem, by tych kilka kartek papieru zniknęło bezprowrotnie? Co zaszło w jej życiu takiego, o czem on nie

miał pojęcia? Coś, czego ślad skrzętnie chciała zatrzeć. Dlaczego? Dla kogo? Może to były listy miłosne?

Wpadłszy raz na taką myśl, począł sobie przypominać najdrobniejsze szczegóły z jej życia. Pamiętał, że mniej więcej w epoce napisania testamentu, uroda jej nadzwyczajna zaczęła nagle gasnąć, jak gdyby szczęście jakieś, które ją dotychczas upiększało, zniknęło. Oczy jej poczęły tracić blask młodości, uśmiech, wyraz swobodny i wesoły.

Czyżby ona kochała? Ona? Kochała?... Ależ nie, to niepodobne. Jakby w kalejdoskopie przesunęli mu się przed oczy wszyscy mężczyźni bywający w pałacyku przy ulicy de Lisbonne i stanowczo mógł twierdzić, że żaden z nich nie był w stanie zająć serca pani Duvernay. A przytem — on przecież wiedziałby o tem. Czyż możebne, żeby się to przed nim ukryło?...

Położył wreszcie kopertę na płonącym drzewie — patrzył jak powoli płomienie ją roztwierały. Odszedł do okna, by go nie zdjęła pokusa przeczytania słów nakreślonych na tajemniczych kartkach papieru.

Setki przypuszczeń napływało mu do głowy. Co skłoniło Antoninę do takiego postępowania? Czy doprawdy zaszło w jej życiu coś, czego się wstydzić musiała? Wspomnienie Eweliny zakończyło straszną mękę moralną, jaką przechodził. Wszak to jasne, czemu zmarła pragnęła zniszczenia papierów. Ze względu na dziecko, gdyż prawdopodobnie zawierały one tajemnicę ciągłych nieporozumień między nią a Albertem. Był to z pewnością dziennik jej, prowadzony od pierwszych tygodni małżeństwa, oskarżający surowo męża. Nie chciała po-

zbywać się go za życia, kompletując go bezustannie, obawiała się jednak, by córka nie dowiedziała się nigdy o tem, jak silna dysharmonia panowała pomiędzy ojcem a matką.

Będąc przyzwyczajoną życie całe do ukrywania swych uczuć, chciała by ten pamiętnik, któremu swe najskrytsze myśli powierzała, nie był czytany nawet przez jej jedyne przyjaciela i powiernika.

Zaledwie nasunęło mu się do głowy podobne przypuszczenie, już począł je uważać za pewnik.

Uszczęśliwiała go głębokie przekonanie, jakiego znów nabrał, że pani jego serca pozostała do śmierci czystą i wierną zasadom. Podszedł szybko do kominka, by dorzucić świeżych dREW do ognia, niszczącego powoli resztki papierów.

Wola Antoniny została spełnioną, był to ostatni dowód miłości, jaki mógł jej Filip okazać.

Na kominku wreszcie pozostało tylko trochę popiołu. Patrzył przed siebie — po raz pierwszy od śmierci pani Duvernay objął myślą cały ogrom nieszczęścia, które go dotknęło. Czuł jak w nim coś zamierało, stygło. Szczęście odleciało bezpowrotnie!...

Zaczynało się życie szare, jednostajne, życie tych, którzy utraciwszy wszystko, co mieli najdroższego, żyją tylko wspomnieniem.

Pozostała mu jednak pamiątka po Antoninie. Żywy jej obraz w postaci małej Eweliny. Ach, gdyby mógł mieć ją przy sobie, wychowywać ją, strzedz, śledzić rok za rokiem, tydzień za tygodniem, coraz więcej wzrastające podobieństwo do matki; chronić ją przed

najmniejszym niebezpieczeństwem, na jakie narazić ją mógł jej namiętny a skryty charakter! Niestety, los pokierował wprost przeciwnie. Ewelina została oddaną na wychowanie do swej najbliższej krewnej, siostry ojca. Była ona żoną hrabiego Muriel, pochodzącego z rodziny właścicieli wielkich dóbr w Normandyi, sławnej za czasów cesarstwa.

Hrabina Muriel była bardzo poczciwą kobietą. Pochodzenie chłopskie, które u jej brata objawiało się w postępowaniu szorstkiem i brutalnem, u niej znalazło wyraz w prawdziwie szczerzej dobroci, w dobroci prostej, instynktownej.

Pomimo, że była matką czworga dzieci, wzięła do siebie bez wahania siostrzenicę. »Przybyła mi piąta córka« powiedziała, i dotrzymała słowa.

D'Audiguer wiedział od razu, że hrabina, mimo że kocha Ewelinę, nie będzie nigdy wstanie zrozumieć jej należycie. Nie usiłował nawet tłumaczyć hrabinie przedziwnych komplikacji nerwowego charakteru dziecka. Byłby to trud daremny, bo hrabina pomimo swych pięciukroć stu tysięcy renty, stała na bardzo niskim stopniu rozwoju umysłowego.

Zmiana otoczenia wpłynęła jednak bardzo korzystnie na Ewelinę. Atmosfera, którą dotychczas oddychała, wyrabiała w niej nadzwyczajną wrażliwość i czułość, teraz towarzystwo ludzi zdrowych, bez nerwów, działało na nią nader uspokajająco. Pogodził się więc z losem, usunąwszy się do swego zacisza, utrzymując ciągle stosunki z jej opiekunami i konstatuując za każdym widzeniem się z nimi, że byli dla niej bardzo tro-

skliwi i serdeczni i że Ewelina czuła się u nich zupełnie szczęśliwą.

Przynajmniej, że tak zdawało się na pozór, bo Ewelina, podobna do matki, nie zdradzała się nigdy ze swemi myślami. Wszelkie jednak pozory utrwały go w tem mniemaniu, że jest jej niepotrzebnym, oddał się więc cały swemu muzeum, wzbogacając je coraz to nowymi zbiorami, suggestyonując się chwilami, że pracuje jeszcze dla »niej«, dla Antoniny.

A jednak — mimo rozłączenia, nie jakaś sympatyczna nie przestała łączyć tych dwojga istot — jego i dziecko, które widział po raz pierwszy nazajutrz po urodzeniu i — co dziwniejsze — dziecka z nim.

Uznawał to za całkiem naturalne, wierząc święcie, że zmarła, której żywy obraz miał ciągle przed oczyma, była duchem ciągle z nimi razem, łącząc ich wspólnie jedną wielką miłością. Wiedział, że Ewelina mimo objawów gorącej miłości ze strony ciotki i wszystkich kuzynów — nie mogła w ich otoczeniu zadowolnić pod niektórymi względami swej subtelnej natury i czuła dobrze, że nigdy w życiu nie spotka lepszego przyjaciela, niż jej ubóstwiany d'Audiguer. Kult ten dla starego powiernika jej matki, objawiał się u dziewczynki, już wówczas, gdy była jeszcze małą, nadzwyczaj czułości i serdecznymi przywitaniem po długim niewidzeniu się i straszną rozpaczą przy rozstaniu. Będąc starszą okazywała mu na każdym kroku swe przywiązanie, nie tracąc najmniejszej sposobności, by go obsypać dowodami swej pamięci.

U panny dorosłej dowody te przybrały formę tego wielkiego zaufania, tej uległości naiwnej i wruszającej, która pragnie rady, podpory, opieki... I każdego razu, gdy widział nowy dowód wielkiego zaufania z jej strony, Filip zawsze wierzący w kontakt z życiem pozagrobowem — jak wszyscy, którzy nie chcą utracić choć tyle pociechy, że przynajmniej dusza ukochanej osoby przebywa z nimi — przypisywał zachowanie się młodej dziewczyny wpływowi drogiej mu zmarłej, składając w swem sercu gorące podziękowanie tej, z którą pragnął jak najprędzej się połączyć, żyjąc tylko myślą spotkania jej tam wysoko...

Czyż można się teraz dziwić, że nosząc w sercu tyle skarbów uczucia serdecznej miłości, niewygasłego żalu, namiętnego przywiązania, nasz bohater czuł się wzruszonym do głębi okrzykiem rozpaczony rzuconym przez córkę tej, która była jego jedyną miłością.

List Eweliny, w którym prosiła o widzenie się z nią i mówiła o »straszmem nieszczęściu« o tyle więcej go jeszcze przestraszył, że był on dowodem jednym z wielu — dowodem najlepszym i najdokładniejszym, że przypuszczenia jego i obawy były tym razem całkiem słuszne. Do dziś dnia jednak łudził się, że nadzwyczajna troskliwość i dbałość o szczęście rodziny, kazały mu widzieć tragedię tam, gdzie jej nigdy nie było. Niepokój jego i niewiara w jej szczęście małżeńskie powstały same z siebie, bez najmniejszych powodów. Już wiadomość o jej zaręczynach napelniła go dziwnym strachem.

Mniej więcej czternaście miesięcy temu Ewelina spędzała zimę na południu w Hyères razem z ciotką i jednym z kuzynów, który przychodził do zdrowia po zapaleniu płuc. Panna Duvernay liczyła wtedy lat dwadzieścia, a Filip słyszał od pewnego czasu, że rodzina postanowiła wydać ją za mąż. Powinien więc był przywyknąć do tej myśli. Wiedział dobrze, że pani Muriel zdecydowaną była pozostawić swej siostrzenicy zupełną swobodę w wyborze męża. Gdy więc Ewelina doniosła mu o swych zaręczynach ze Stefanem Malclerc, był pewnym, że kwestya pieniężna nie wchodziła w grę zupełnie. Hrabina Muriel ze swej strony dała mu wyczerpującą wiadomość co do narzeczonego. Pan Stefan Malclerc liczył lat trzydzieści cztery. Należał do bardzo dobrej rodziny obywatelskiej, zamożnej i szanowanej. Przepędzał również zimę na południu; po krótkiej bytności w Nicei, która mu z powodu swego hałaśliwego życia nie przypadła do gustu, przybył do Hyères i tam spotkał Ewelinę. Poznał ją. Hrabina Muriel widząc go zajętem siostrzenicą, której również zdawał się nie być obojętnym, dowiadywała się pilnie nie tylko o jego pozycję i majątek, lecz również o charakter i sposób życia. Informacye zadowolniły ją w zupełności.

Widząc coraz bardziej wzrastającą sympatyę między młodymi, nie miała powodu sprzeciwiać się temu i na oświadczyzny Stefana odpowiedziała przychylnie. Nie było więc nic nienaturalnego w tych zaręczynach. Były one wprawdzie nieco za nadto raptowne, gdyż Ewelina знаła swego narzeczonego zaledwie od czterech miesięcy, lecz poza tem wszystko poszło trybem

zwyczajnym. Wreszcie czyż można się dziwić, że w warunkach trochę niezwykłych, sierota bez ojca i matki, zdecydowała się na małżeństwo rychlej, niżby to inna na jej miejscu była zrobiła? Ileż to małżeństw przychodzi do skutku w jeszcze krótszym przeciągu czasu, co ich szczęściu bynajmniej nie stoi na przeszkodzie.

Ewelina prowadziła ze swym starym przyjacielem bardzo regularną korespondencję — opisywała mu szczegółowo tryb życia w Hyères. Dziwiło go więc nieco, że wspominając kilka razy o panu Malclerc nie nadmieniła nigdy o swej wzrastającej sympatii dla niego. Nie byłoby jednak całkiem naturalnem?

Czyż nie wiedział, że na tym punkcie tak samo jak na innych, przypominała żywo swą matkę, nie opowiadając o swych uczuciach; czyż nie pamiętał słów Antoniny o skrytości Eweliny w jej sympatyach, radościach i smutkach. Ewelina stała mu żywo przed oczyma, przygnębiona po odjeździe ukochanej nauczycielki, a jednak kryjąca swe łzy nawet przed matką; tak jak Antonina kryła w głębi serca skarby uczucia, nie wyjawiając ich nikomu.

To jednak właśnie szalone podobieństwo do matki nappełniło jego duszę dziwną jakąś obawą o jej przyszły los. Nadaremnie starał się tę obawę stłumić porównując warunki, w jakich odbyły się zaręczyny Antoniny, a okoliczności towarzyszące zaręczynom jej córki.

Gorączkowo począł zbierać na własną rękę najszczegółowsze informacje co do przyszłego męża Eweliny. Nie dowiedział się nic, coby mogło stać w sprze-

czności z wiadomościami, podanemi mu przez jej ciotkę. Był on przeciętnym typem młodego człowieka swojej sfery: Wychowanie odebrał na prowincyi. Nauki skończył w Paryżu, gdzie po odbyciu służby wojskowej kształcił się na uniwersytecie. W dwudziestym drugim roku, zostawszy panem ogromnego majątku — stracił ojca w tym czasie — przepędzał życie między Paryżem, gdzie trzymał wspaniały apartament przy jednej z ulic sąsiadujących z polami Elizejskimi, a swym majątkiem w okolicach Dôle, w którym mieszkała jego matka i siostra zameżna.

Z prawdziwą namiętnością oddawał się podróżom, odbył nawet podróż naokoło świata, trwającą piętnaście miesięcy. Próbował też pisać trochę, wydał nawet opis swej ostatniej podróży, dość interesujący i bezpreten-sjonalny. Mimo to nie wzniósł się ani trochę ponad zwykły szablon młodych ludzi. Nie było jednak czem się martwić. Mógł być bardzo dobrym materiałem na męża. Nie słyszał o nim nigdzie nic złego, to było bardzo wiele.

Co do jego charakteru, d'Audiguer nie wyrobił sobie jeszcze pewnego zdania. Przeglądając tomik jego opisów, znalazł w słowach na pozór banalnych i nic nieznaczących, sporą dozę prawdziwej inteligencji, szczególnie w opowiadaniach o przedmiotach sztuki pięknej.

Oczekiwał więc z niecierpliwością chwili poznania człowieka, od którego zależało przyszłe szczęście lub nieszczęście Eweliny. Na pierwszy rzut oka wywarł na nim bardzo sympatyczne wrażenie. Ujrzał przed sobą

młodzieńca szczupłego, o wyglądzie młodszym niż sobie wyobrażał, o twarzy nadzwyczaj interesującej, gdyż przypominała mu rysami włoskie typy spotykane na starych portretach mistrzów. Ruchliwy, nerwowy, z zachowaniem się eleganckim, niepozbawionem jednak lekkiej dozy arogancyi, miał twarz ściągniętą, nos prosty, brodę wydatną, usta, któreby można nazwać szalenie zmysłowemi, gdyby kąty ich nie nadawały im charakteru stanowczego; przedstawiał typ męczyzny bardzo przystojnego. Jego włosy płowe, z odcieniem rudawym, układały się bardzo ładnie nad czołem. Przedewszystkiem jednak spojrzawszy na niego, widziało się jego dziwne oczy. Oczy, które co chwila przybierały inny wyraz, na widok których doznał d'Audiguer dziwnego wrażenia. Sam sobie nie umiał wytłumaczyć, jakiego rodzaju ono było; był to początek wielkiej sympatyi lub też zdecydowanej antypatyi.

— »Jak on się panu podoba?« spytała Ewelina, gdy zostali sami.

— »A ja jemu?, odrzekł z lekką złościwością.

— »Wie, że pana bardzo kocham« odpowiedziała młoda dziewczyna »i dlatego kocha pana już także«.

Ta naiwna odpowiedź, zdradzająca jasno i szczerze potrzebę jej serca, by istoty ukochane przez nią pozostawały we wspólnej harmonii, wzruszyła do głębi Filipa. Tem krytyczniej jednak patrzył teraz na jej przyszłego męża. Odczuł też, że Malclerc, patrząc na niego, dziwnego doświadcza wrażenia. Oczy ich zdawały się wydawać sobie walkę. Pociągały i odpychały się wzajemnie.

Były to jednak tylko lekkie, ledwie dostrzegalne błyski. Widzieli się ze sobą bardzo krótko i cała znajomość ograniczyła się na razie na konwencyonalnych grzecznościach ludzi światowych. Do dnia ślubu nie mieli sposobności do dłuższej rozmowy. Sposobności i... ochoty. D'Audiguer tłumaczył sobie to różnie — może przyczyna leżała w jego dzikim usposobieniu? — może zbyt wielka różnica wieku ich dzieliła?

Zaraz po ślubie wyjechali młodzi małżonkowie na wieś, a potem do Włoch.

Listy Eweliny zrazu bardzo otwarte i szczere, zaczęły powoli przybierać ton coraz więcej skryty a nadto stawały się coraz radsze i krótsze. Filip odczuł w nich jakiś przymus. Zmianę tę tłumaczył sobie wpływem męża. Prawdopodobnie pisząc do Eweliny nadużywał praw, jakie mu nadała znajomość jej od urodzenia; wtrącając się w nieswoje sprawy, radząc jej i pytając o niejedno. Drażniło to widocznie Malclerc'a i wymógł, by ze swej strony nie dawała mu najmniejszej zachęty do przedłużania tego rodzaju korespondencji. Za powrotem ich jednak przekonał się, że przypuszczenia jego były całkiem mylne. Młoda kobieta wróciła z poślubnej podróży zmieniona, pobladła, smutna, z wyrazem dziwnie bolesnym, przypominająca mu żywo Antoninę w epoce miodowych miesięcy.

Ostrożnie i delikatnie starał się dowiedzieć od Eweliny, co było przyczyną zmiany jej usposobienia i tu jednak, tak jak dawniej u matki, spotkał się z dziwną skrytością. Obok wielkiej słodyczy i łagodności odziedziczyła po niej charakter zamknięty w sobie, nie wyja-

śniający nigdy swych trosk i bólów. Zachowanie się pana Malclerc, widoczne unikanie przyjaciela jego żony, utwierdziło Filipa w strasznym przekonaniu, że córka Antoniny nie znalazła również szczęścia w małżeństwie. Gdy niedługo po powrocie zaszła Ewelina w stan poważny, obojętność, z jaką mąż obchodził się z nią wówczas, dokładnie przypominała mu dawne czasy, podobne postępowanie Alberta Duvernay, jego równą obojętność dla żony. Nie ulegało wątpliwości, że pan Malclerc, mimo pozornej dystynkcji, rządził się również tylko brutalną namiętnością, że nie kochał nigdy Eweliny czystą, idealną miłością, pożądał jej zmysłami, gdy była mu jeszcze niedostępna. Posiadłszy — ostył zupełnie.

Wszystko to nie mogło się przyczynić do spokoju Filipa. Jak niegdyś losy matki doprowadziły go do rozpacz, tak teraz widząc córkę zmienioną, znękaną i nie mogąc nic na to poradzić, martwił się i gnębił — napróżno jednak.

Pocieszała go jedynie nadzieja, że macierzyństwo, które tak uspokoiło Antoninę, wywrze również zbawienny wpływ na jej córkę. Za miesiąc spodziewała się słabości, Filip czekał tego jak zbawienia, będąc silnie przekonany, że zacznie się wtedy nowa szczęśliwsza dla niej epoka. Nagle teraz dowiedział się, że zaszło coś nadzwyczajnego pomiędzy panem Malclerc a jego żoną, coś, co może wywrzeć skutek całkiem przeciwny jego nadziejom.

W inny sposób nie mógł sobie tłómaczyć treści biletu dziś otrzymanego. Jaki wypadek? Jakie było to »straszne nieszczęście«, o którym biedna kobieta pisała,

które musiało być istotnie ważne, jeżeli ogrom jego zniewolił ją, tak zwykle skrytą, do zawezwania jego pomocy. Jeszcze kilka minut — zegar wskazywał dochodzącą dziesiątą — a będzie wiedział wszystko.

W miarę zbliżania się chwili przyjścia Eweliny, powiększało się jego zdenerwowanie. Chodził coraz szybciej po pokojach pomiędzy rzeźbami i obrazami, nie patrząc całkiem na nie. Zatrzymywał się, nadśluchiwał...

Gdy rozległ się dźwięk dzwonka, serce zaczęło mu bić tak gwałtownie, że musiał usiąść, by ochłonać ze wzruszenia tak silnego, jak gdyby na miejscu sześćdziesięcioletniego d'Audiguer'a siedział młodzieniec ośmnastoletni, oczekujący pierwszej schadzki. Przyszło mu jednak na myśl, że Ewelina przychodzi tu do niego wzruszona, słaba, spodziewająca się u niego znaleźć oparcie i pomoc, musi się więc opanować. Wszak miał dość sposobności do wykazania swej zimnej krwi. Niegdyś matka Eweliny wchodziła do niego po raz pierwszy — serce jego przepelnione miłością wielką, namiętną, musiało milczeć — przyjął ją spokojnie, z uśmiechem na ustach — teraz ten sam spokój powinien mu towarzyszyć przy powitaniu z jej córką. Parę sekund wystarczyło, by się opamiętał i gdy Ewelina otwierała drzwi, d'Audiguer swobodny, pogodny jak zwykle, bez śladu zdenerwowania, podszedł ku niej z wyciągniętymi rękami.

III.

Tajemnica małżeństwa.

Ewelina uścisnęła je, te ręce starego, wiernego przyjaciela, patrząc nań niespokojnie, oraz czyniąc znaki, że nie może teraz słowa wymówić.

Pozwoliła się poprowadzić na fotel, padła nań wyjąkując z trudem »dziękuję« — d'Audiguer milczał także — wreszcie wyszeptała: »Tak bardzo bałam się, że pana nie zastanę... Tak bardzo« !

Znowu pokazała gestem, że nie może mówić, drżenie przebiegło ją, wtuliła się w fotel. Filip wzruszony jej nadwyczajnem wzruszeniem, patrzył na nią z niepokojem :

— Uspokój się najpierw — rzekł jej — potem będziesz mówiła.

Nie widział jej od kilku dni, zmiana wielka na twarzy uderzyła go, patrzył i nie poznawał jej. — Policzki biednej kobiety pobladły i zapadły się. Naokoło oczu rysował się cień siny, znak łez i nieprzespanych nocy. Gorączka spaliła jej usta. Ślady cierpień wyciśnięte na twarzy przybierały jeszcze tragiczniejszą formę wobec stanu w jakim się znajdowała.

Płaszcz zsunął jej się z ramion, nerwowe drżenie raz po raz wstrząsało jej biednym ciałem.

Widząc ją tak zmienioną, zgnębianą, nie mógł wprost oprzeć się wzruszeniu, czuł, że łzy napływają mu do oczu, łkanie ściska gardło, wielka, ogromna litość i żal nad tem młodem życiem złamanem, podobnie jak niegdyś było życie jej matki, opanowuje go w zupełności.

Jakże żywo stanęły mu przed oczyma dawne czasy: Antonina również we łzach zgnębiona, nazajutrz po pogrzebie ojca, po raz pierwszy otwierająca mu wnętrze swego serca. Teraz nadeszła taka chwila dla Eweliny. Oczekiwał, zarazem jednak lękał się wybuchu szczerości. Nauczony pierwszym doświadczeniem, wiedział ile czynników musi działać, by osoba o naturze tak skoncentrowanej i zamkniętej w sobie, doprowadzona do ostateczności otwarcia, wyjawiała swój ból, oraz jak straszną bywa taka otwartość dla osób kochających ją.

Nie wiedział co w nim przeważało: strach, litość czy też niecierpliwa chęć dowiedzenia się nareszcie prawdy. Stał przed nią, wpatrzony w jej drżącą twarzyczkę. Słońce rzucało jasne, wesołe blaski — świergot ptaków nappełniał cały ogród wesołym brzmieniem, przez otwarte okna z daleka dolatywał szum miasta — wszystko nokoło nich zdawało się promienieć radością i szczęściem, nawet obrazy i stare rzeźby przybierały młodsze, łagodniejsze formy, tylko ich dwoje zdawało się nie widzieć budzącej się ze snu natury. Życie Filipa skoncentrowało się w tej drobnej istocie siedzącej naprzeciw niego, całej zatopionej w swym bólu.

Powoli Ewelina uspokajała się, oddech stawał się regularniejszy, drżenie nerwowe ustawało, oczy poczy-
nały nabierać zwykłego blasku. D'Audiguer z miłością
prawdziwie ojcowską, pochylił się nad nią i przybierając
ton pół łagodny, pół żartobliwy, którego lubił używać,
gdy była jeszcze dzieckiem, począł mówić do niej:

»Lepiej ci dziecko? Jak mogłaś być tak nierozsądną
i pomimo osłabienia przychodzić aż tutaj na ulicę de
Lisbonne?«

— (Malclerc'owie po powrocie do Paryża, mieszkali
w dawnym pałacu pani Duvernay).

»Trzeba mi było napisać, bym przyszedł do ciebie.
Natychmiastbym przybiegł!

»Wiem o tem«, odrzekła pani Malclerc. Uśmiech
wdzięczności rozpromienił jej twarz, w tej chwili jednak
przestrach zmienił ją do niepoznania.

»Do mnie? — o nie, nie — to niemożliwe. Stefan
zarazby się dowiedział o pańskiej obecności. Wszedłby do
mego pokoju i przeszkodził naszej rozmowie. — Za jaką-
kolwiekby cenie trzeba było tego uniknąć. Musi pan
raz wszystko wiedzieć.

— »Więc to o niego idzie, spytał d'Audiguer — o niego?
— Ewelina skinęła głową potakująco — »Odgadłem więc
prawdę — zawołał — nie jesteś szczęśliwą!«

Nie kładąc wagi na doniosłość słów, które mu mi-
mowoli z ust się wyrывały, powtarzał smutno: »Nie jesteś
szczęśliwą — ty także — tak jak ona — jak ona! Ale
ja tu jestem przy tobie, by ci pomagać — podtrzymywać
cię — bronić cię. — Zaufaj mi w zupełności — powiedz
mi wszystko, co się stało? co ci jest? co się u was dzieje?

— »Ach« odparła boleśnie — »gdybym wiedziała. Gdybym pojęła, co jest memu mężowi. — Zgadłeś pan, że o nim chcę mówić — o nim i o naszym małżeństwie, jeżeli można nazwać małżeństwem życie takie, jakie my prowadzimy — jedno obok drugiego, rozdzieleni czemś nieuchwytnem, czego nie można określić — nazwać — co jednak istnieje, dręczy nas...

Nie myśl pan, że trapię się niepotrzebnymi myślami, nie wiedząc sama o co mi idzie. — Mój mąż jest ofiarą jakiejś dziwnej idée fixe, której nie znam, nie jestem w stanie odgadnąć. Pochłania go to, gryzie się, cierpi nad tem do tego stopnia, że sam siebie znieść nie może! dzisiejszej nocy — słyszy pan — tej nocy chciał się zabić«.

Filip z przestrachem badawczo spojrział na nią.

»Nie chcesz mi pan wierzyć, myślisz, że jest to wytworem mej bujnej imaginacji — dodała. — Zatem proszę posłuchać: Wczoraj wieczorem, zaraz po obiedzie, wyszedł jak zwykle. Ja sama nakłaniam go do tego — nie chcę, by siedział w domu, boję się naszego sam na sam. — Wrócił wcześniej niż zwykle i o dziesiątej przyszedł powiedzieć mi dobranoc. Powinnam była odrazu odgadnąć, że stać się ma coś niezwykłego — był jakiś inny niż zwykle, patrzył na mnie długo, długo! — Ale, ostatniemi czasy wszystko jest u nas jakieś inne, dziwne, — nie zwróciłam więc szczególniejszej uwagi na jego usposobienie dzisiejsze.

Położyłam się, usnęłam natychmiast, później jednak zbudziłam się. Przez drzwi łączące nasze pokoje przeciskał się słaby promień światła. Widocznie nie

spać jeszcze. — Spojrzałam na zegarek, wskazywał trzecią. Zaniepokoiło mnie to — może był chory? — Wstałam z łóżka. Ale widzisz, nie czuję się swobodną wobec niego. Bałam się, że zagniewa go może moje wejście do jego pokoju. Zaczęłam nadłuchiwać... Chodził szybko po pokoju... Potem cisza. Podeszłam wreszcie do drzwi — lekko je uchyliłam. Siedział przy biurku odwrócony tyłem do drzwi, porządkując papiery i listy, które kładł do dużej koperty. Był tak zajęty swą czynnością, że nie słyszał mego wejścia. Na biurku leżało kilka listów zapieczętowanych, a obok w koszu masa podartych. Dreszcz przejął mnie na widok tych złowrogich przygotowań. Gotowało się tu coś strasznego! Stefan nie rozbierał się widocznie. Tak jak wrócił z miasta, siedział teraz na krześle, spokojny i zdecydowany. Dla czego jednak? Nie śmiałam dać wiary okropnej myśli, która mi w tej chwili przyszła do głowy — nie, chyba się myliłam. — Ukryta w portyerze, czekałam drżąc na całym ciele, tak jak teraz drzę. — Ach! mój przyjacielu! jakie to straszne! jakie straszne! — Gdy uporządkował papiery trzymane w rękach, włożył je w kopertę, zapieczętował i położył na miejscu widocznym między innymi listami. Potem... otworzył szufladę biurka, wyjął pudełeczko z nabojami zaczął nabijać rewolwer. Nie mogąc dłużej panować nad sobą, krzyknęłam przeraźliwie...

Pierwszą jego czynnością było ukrycie broni. Lecz ja stałam już przy nim, trzymając go w objęciach. Wiedział, że widziałam wszystko, wszystko! Ach jeżeli nie umarłam w tej chwili, to tylko dlatego, że doprawdy człowiek ma dość siły, by znieść wszystko.

»I cóż ci powiedział? — spytał d'Audiguer — mówiłaś mi przed chwilą, że nie wiesz, co między wami stoi. W takiej chwili chyba spytałaś go o to? Powinien był ci odpowiedzieć. Co ci odpowiedział?«

— »Myśli pan, że się przyznał? Zaprzeczył wszystkiemu, zaparł się wszystkiego. — Listy? — Była to poprostu późno w nocy załatwiana korespondencya — chodziło o sprawy majątkowe. Nie mógł zasnąć, — zaczął więc pisać... — Rewolwer? — znalazł go w szufladzie. Obok leżały naboje... Czasami wraca późno, nie ma broni przy sobie, zawsze lepiej dla pewności być uzbrojonym; chciał więc go nabić i położyć na kominku, by nie zapomnieć wziąć go jutro ze sobą. — Jego przestрах gdy weszła?... Przeląkł się mego krzyku. Pomyślał odrazu, że ujrzawszy rewolwer będą Bóg wie co przypuszczać, jak się też stało — lepiej więc będzie go ukryć. Bładość jego twarzy, wzrok niespokojny, całe zachowanie aż nadto świadczyły, że wszystko co mówił było nieprawdą. Ach! powiedziałam mu to, błagałam ze łzami o szczerłość! Wszystko napróżno. Zakłęcia, prośby me, tłumaczenia, że przecież powinnam znać prawdziwą przyczynę, dla której chciał się życia pozbawić — pozostawił bez odpowiedzi. Ach wolę najstraszniejszą prawdę, niż tę okropną niepewność, ten strach, że nie ujrzę go już może jutro i nigdy wiedzieć nie będę, dlaczego go straciłam!... Ciągłe powtarzał jedno i to samo wkołko, jak gdyby dziecku rozpieszczonemu: »Mylisz się moja droga, mylisz się!« — Wszystko to doprowadziło mnie do stanu takiego zdenerwowania, że nie wiedziałam już co robię. Czułam, że jeszcze jedna chwila, i zwaryuję. — Chwyciłam za broń, którą dopiero co

nabił i nim zdołał mi przeszkodzić, skierowałam ją ku sobie, wołając: »Zatem ja chcę umrzeć!« — Chwycił mnie za ramię w chwili, gdy pociągałam za cyngiel. Rewolwer wystrzelił. Kula przebiegła koło mnie, nie raniąc mnie i utkwiała w jednym z obrazów. Instyktownie stanęliśmy nieruchomi oboje, nadsluchując. Na szczęście służba spała na drugim piętrze, nie usłyszała więc huk. Nikt się nie przebudził. — Teraz siły odmówiły mi posłuszeństwa: płacząc, upadłam w objęcia Stefana, który zaniósł mnie do mego pokoju, położył do łóżka i sam usiadłszy na brzegu łóżka, począł mówić do mnie najczulszemi słowami, pieszcząc mnie i całując. Gdy powtarzał mi i przysięgał, że kocha mnie zawsze, spytałam go — »Więc dlaczego chciałeś umrzeć?« — Teraz nie śmiał kłamać. Był zanadto wzruszony. Nic nie odpowiedział. — Spytałam go znowu, wkońcu rzekłam: »Jeżeli mówisz, że mnie kochasz, daj mi słowo honoru, że drugi raz nie zrobisz tego«. Wahał się, wkońcu litość nad stanem, w którym się znajdowałam, wydarła mu te słowa: »Daję ci je« — Było to zarazem przyznaniem się do winy. Nie daje się słowa na coś czego się nie robiło.

Uspokoilo mnie to jednak bardzo. Jestem teraz pewną, że nic mu się już nie stanie. Bez tej obietnicy, nie byłabym przyszła tutaj. Nie opuszczałabym go ani na krok...

— »Więc ty nic nie wiesz — nic nie podejrzewasz, coby go mogło nakłonić do tych desperackich myśli?« — spytał Filip. — Opowiadanie Eweliny wstrząsnęło nim do głębi. Gdy mówiła o swem przerażeniu, rozpaczy,

malując z taką dokładnością straszne chwile wczorajszej nocy, on sam instynktownie chwycił jej ręce w swe dłonie, ściskając je mocno i tuląc do piersi. — »Gdyście się dzisiaj zobaczyli — dodał — nic ci już o tem nie wspominał, nie wyjawiał wszystkiego? — Zresztą pocóż cię pytam — sama przed chwilą powiedziałaś, że nic nie wiesz. — Ależ na Boga, gdy się nic nie wie, robi się przynajmniej przypuszczenia. Wszak już przedtem zaszło coś pomiędzy wami, coś, co oziębilo wasze stosunki? Powinnaś przecież domyślać się przyczyny jego wczorajszego postąpienia. Przypomnij sobie. — Co was przedtem poróżniło?«

»Chciałabym panu wszystko wytłómaczyć — rzekła Ewelina — zbieram myśli i, doprawdy sama nie wiem, nie umiem tego wysłować. Wszystko to było takie dziwne. Nie da się opowiedzieć... chłód panujący między mną a Stefanem, ma przyczyny tak nieokreślone... nieuchwytnie... Nie, scen między nami żadnych nie było. Przynajmniej jeżeli były, to tak drobne, nieznaczące, że nie warto do nich wagi przykładać. Przyszło to wszystko samo z siebie. Czy nie zdarzyło się panu przebywać w towarzystwie jednego ze swych przyjaciół, który nosi w sercu jakąś urazę do pana, czujesz pan to w jego słowach, spojrzeniu, zachowaniu się, nie jesteś jednak w stanie pojąć przyczyny tego. Prawda? — A zatem, wyobraź pan sobie takie położenie, przeciągające się całe tygodnie, miesiące, pogorszające się z każdą chwilą, tem bardziej gdy, jak to u mnie się dzieje, ta druga osoba jest istotą najdroższą mi na świecie. — Oto moje życie. —

Przed naszymi zaręczynami, gdy zaczął często bywać u ciotki, miewał chwilami napady szalonego smutku, które nań przychodziły w chwili, gdy był najweselszy i najswobodniejszy. Czułam, że mu nie jestem obojętną, przypisywałam więc te zmiany humoru niepewności jego, co do mej wzajemności.

Wyjechał nagle z Hyères, potem wrócił, nie tłumacząc nawet swej nieobecności. Robił wrażenie człowieka, który walczy ze sobą.

Kochałam go jeszcze więcej za to! Kochałam go od pierwszej chwili naszego poznania.

Ach, jak ja się czułam wtedy szczęśliwą! Jeżeli się wahał — bał się mej odpowiedzi — kochał mnie widocznie. — Zaręczywszy się ze mną, uspokoił się zupełnie, wierzyłam więc, że razem z niepewnością, nagle zmiany humoru znikły bezpowrotnie. Niestety, zaraz po ślubie zaczęło się to samo. — Ach, ten pierwszy dzień naszych miodowych miesięcy — nie zapomnę go nigdy! — O ile pan sobie przypomina, zatrzymaliśmy się przed wyjazdem do Włoch w zamku, leżącym w dobrach jego matki. Nikt nie może sobie wyobrazić, co cierpieć może kobieta, widząca swego męża nazajutrz po ślubie milczącego, zachmurzonego, pochłoniętego jakąś myślą, która go dręczy i której nie chce wyznać. Stefan poznał, jak bardzo cierpię w skutek tego, starał się zmienić — niestety na próżno. — Pytałam go o przyczynę smutku. Zbył mnie żartami. — I od tego czasu zaczęły się moje męczarnie — to dziwne jego postępowanie, nagły przeskok z czułości do obojętności, kolejno serdeczna ufność i zamknięcie się zupełnie w sobie, sza-

lone uniesienia miłosne i gwałtowne usuwanie się, dochodzące wprost do wstrętu. — Poczęłam się bać o jego zdrowie. Podejrzywałam go, że cierpi widocznie, nie chce mi jednak tego wyznać, by mnie nie martwić. — Nakoniec przyszło mi przypuszczenie, że może we mnie jest coś, co mu się nie podoba.

Badalam samą siebie, każdy mój ruch, każde słowo wyrzeczone.

Nie, to nie to. — Pytałam go znowu kilkakrotnie, dawał zawsze odpowiedzi niejasne. — Zrozumiałam wreszcie, że powód leżał w czemś innym — w czem jednak?

Wyjechalśmy do Włoch — tam, nie rozstając się z nim przez dni całe, mogłam go obserwować.

Zauważyłam, że napady melancholii przychodziły nań zwykle po chwilach najjaśniejszych — najpiękniejszych — po wybuchach serdeczności, uniesień miłosnych! Możliwe przypuścić, że zły duch jakiś stanął między nim, a mną, nie dopuszczając do wspólnej zażyłości. I żadnej rady na to nie było — żadnej! — Gdy spostrzegłam tylko cień na jego twarzy, wiedziałam już z góry, że za chwilę opuści mnie na godzin kilka — usunie się, nie mówiąc ni słowa. — Wracał... dni parę panował spokój, potem znowu to samo! —

Pewnego dnia w Neapolu zażądałam od niego stanowczej odpowiedzi — starał się wmówić we mnie, że cierpi na chorobę nerwową i w pewnych chwilach przychodziło nań lekkie rozdrażnienie, że musiał sam pozostawać, by się uspokoić. — Zarazem w słowach niepewnych, rwących się, prosił mnie, bym została dni parę

sama w Neapolu i bym mu pozwoliła wyjechać. — Zgodziłam się na to. — Wyjechał do Lorrento. Nazajutrz wrócił — błagając mnie o przebaczenie — obsypując mnie pieścizotami, które mi prawdziwy ból sprawiały. Zrozumiałam wtedy po raz pierwszy — to, co potem widziałam na każdym kroku, dzisiejszej nocy także, — (że jeżeli mnie kocha i miłość tę mi okazuje — powoduje się tylko litością — jedynie litością nademną.

Ach co za poniżenie!}

Przerwała swe opowiadanie, zamyślając się głęboko, jak gdyby chciała uprzytomnić sobie stosunek łączący ją z mężem. Jak strasznie wiele musiała cierpieć biedna kobieta, doszedłszy po roku małżeństwa do przeświadczenia, że to nie miłość popycha w jej objęcia człowieka ukochanego. Zdawała sobie teraz zupełnie jasno sprawę z tego, że w pieścizotach jego przejawiało się wszystko inne, tylko nie miłość. Świadomość tej okropnej prawdy była dla niej zapewne torturą nie do zniesienia.

W słowach jej czuł d'Audiguer ogromny żal za tem wszystkim, co roiła, śniła... i znowu uderzyło go podobieństwo jej losu z losem matki. Słuchał, nie zdając sobie sprawy, czy doń mówi matka, czy córka — nie rozumiejąc prawie jej słów, wiedząc tylko to, że znowu nieszczęście wkrada się pod dach domu osoby mu drogiej i że on nic temu zaradzić nie jest w stanie.

— »Ależ on chyba szalony!« — wykrzyknął wreszcie — »szalony... szalony...« — powtarzał... I gdy Ewelina zaprzeczyła mu ruchem głowy, dodał: »Nie? jak więc sobie tłumaczyć jego postępowanie?«

»Zupełnie sobie nie tłumaczę — odrzekła — i to właśnie doprowadza mnie do rozpacz. Ja też pierwiej podejrywałam go o początki szaleństwa. Jednak tak nie jest... Musi się być przy zdrowych zmysłach, by odczuwać jakiś ból wewnętrzny — U niego właśnie jest taki ból — bezimienny smutek, — jakaś troska, której wyjawić nie chce, czy nie może. W tem leży tajemnica jego postępowania.

Tylko w tem... Przypuszczałam, że może miał przed ślubem jaki stosunek — potem zerwał z kochanką i obawia się teraz jej zemsty. Szukałam, badałam, śledziłam wszędzie... Nie i nie.

Przytem, gdy przyjechał wtedy do Hyères, był właśnie po powrocie ze swej wielkiej podróży na Wschód. Roku poprzedniego był w Hiszpanii i Marokko. Dwa lata przedtem w Indjach.

Żyjąc lat tyle prawie ciągle w wagonie lub na okręcie, nie miał kiedy nawiązać stosunków tak bliskich, by teraz następstwa ich przerażały go.

Potem znowu myślałam co innego. Może miał dziecko i nie śmiał wyznać mi tego? — Nie miał słuszności. Kocham go tak bardzo, dziecko także kochałabym. Raz pół żartem, pół seryo powiedziałam mu o tem.

Po odpowiedzi jego zmiarkowałam, że się mylę. Wszystko nie to, nie to!... Nie, nie wiem, co nas rozdziela, nie mogę zbadać tej tajemnicy, wiem tylko to jedno, że od czasu naszego powrotu jest z dniem każdym coraz gorzej... Czasami robi wrażenie, jak gdyby wstręt jego nie odnosił się specjalnie do mnie, do mej osoby, lecz też do sprzętów otaczających nas, do domu,

w którym mieszkamy, do wszystkiego, z czem ma jakąkolwiek styczność!

Łudziłam się nadzieją... dodała głosem drżącym ze wzruszenia — że perspektywa ojcostwa uspokoi go zupełnie i wyleczy radykalnie ze wszelkich trosk i smutków. Nigdy jednak nie był więcej zdenerwowanym, niespokojnym, jak podczas tych ostatnich miesięcy. A wreszcie to straszne zajście dzisiejszej nocy! Teraz pan wiesz wszystko...

Sądziłam, że nie starczy mi odwagi do wypowiedzenia panu wszystkiego, co mi leży na sercu. Mówić kobiecie o swem małżeńskim pożyciu!... Jakie to bolesne.

Dumą naszą powinno być ognisko rodzinne — nikt obcy nie powinien się wdzierać w tajniki jego.

(Mąż i żona powinni sobie wystarczać, jedno dla drugiego tylko żyć powinno)... Ale gdybym się nie wygadała przed panem, czuję, że oszalałabym. Zwrócić się do ciotki? Nie mogłam, znasz ją pan dobrze. Dotknęłaby mnie mimowoli swym brakiem subtelności. — Nie zrozumiałaby mnie. — A ja mam duszę znękaną, zranioną! Tylko do pana jednego mogłam się z tem udać, bo w panu jest trochę mojej mamy...«

— »Czemuż jednak nie posiadam jej przenikliwości w sprawach sercowych«, zawołał d'Audiguer z akcentem rozpaczony w głosie. — »Mógłbym ci teraz dopomóc, wesprzeć cię mą radą — znalazłabyś teraz we mnie oparcie moralne, — gdy przeciwnie, widzisz mnie wzruszonego, odchodzącego wprost od zmysłów. Ja też nic a nic nie mogę pojąć, co stoi między wami...

Ale masz rację. — Trzeba, by twój mąż wytłumaczył swoje zdenerwowanie.

Posiadać żonę taką jak ty! — i patrząc na nią z czułością powtarzał: »jak ty« — i unieszczęśliwił ją!..

Widzieć ją w stanie, w jakim ty teraz się znajdujesz i narażać na tak okropne przejścia, ależ to zbrodnia! — Malclerc dowie się o tem, powiem mu to!...«

— »Właśnie o to chciałam pana prosić, — przerwała mu Ewelina błagalnym tonem, — abys mu pan żadnych nie robił wymówek, gdy będziesz się z nim widział. Tak — dodała — chcę abys się pan z nim widział.

Gdyby żyła mama lub ojciec, to po tem co zaszło między nami tej nocy, to rzecz naturalna, staraliby się z nim zobaczyć. Pan mi ich teraz zastępujesz — pan, który mnie znasz od dnia mego urodzenia i byłeś wykonawcą testamentu maminego...

Są rzeczy, o których mężczyzna nie będzie mówił ze swą żoną, które jednak wyzna przed drugim mężczyzną... Przytem — jestem pewną, że się nie mylę; gdy staliśmy tam... razem wtedy przy biurku, na ostatniej kopercie, którą zakleił, widziałam wypisane pańskie imię...

Może mu pan to powiedzieć, powołując się na mnie. To co pisał do pana w tej strasznej godzinie, było przeznaczone do przeczytania po jego śmierci... niech to panu teraz pokaże...«

— »On pisał do mnie? do mnie?« — rzekł d'Audiguer. »Mylisz się, to niemożliwe... Jeżeli teraz mamy oboje chwilę szczerości — pocóż mam dłużej ukrywać przed

tobą, że od pierwszego dnia naszego poznania okazywał mi zawsze tylko żywą antypatyę?...«

»Obawiał się pańskiej bystrości umysłu« — rzekła pani Malclerc — i prawdziwej przyjaźni dla mnie. Oto wszystko. Lecz to nie było nigdy antypatyą.

Nie słyszałam nigdy, aby wyrażał się o panu inaczej, jak z największym szacunkiem, czcią nieledwie. Niedawno temu, gdyśmy raz rozmawiali ze sobą poufalej niż zwykle — mówił mi o panu. Dopiero teraz pojęłam znaczenie słów jego. Powiedział mi, że gdyby kiedykolwiek bądź zabrakło mi jego, w panu znajdę opiekuna i obrońcę! — Tak szczerze i sprawiedliwie osądzał pana, a gdy chwalił twój charakter, sposób życia, to tylko uwielbienie przebijało się w jego słowach. — Za ledwie słów parę zamienił z panem, a zna cię tak dobrze jak ja. Moje przeczucie nie zawiedzie mnie, jestem tego pewną... — Jeżeli wogóle powie cośkolwiek o swych troskach, pan będziesz jedynym, do ktorego mieć będzie zaufanie. Przytem chociażby nic nie wyznał, będziesz pan przynajmniej widział go, będziesz z nim rozmawiał. — Zrobisz swoje spostrzeżenia. Może odgadniesz wszystko?

Jakże więc? Pójdiesz pan? — Błagam cię, nie odmawiaj mi! — I nie rób mu żadnych wymówek — przyrzeknij mi to. Może ja sama jestem winną wszystkiemu? Gdybym była nie tak niezręczną — sprawy pokierowałyby się całkiem inaczej!...«

— »Pójdę« — odpowiedział d'Audiguer uroczyście. — »Pójdę i przyrzekam ci, że mu nie zrobię najmniejszej wymówki. Zrobię wszystko co zechcesz. — Ale... mam mało wiary, czy wpłynie to na polepszenie waszych

stosunków. W każdym razie jest to krok nader ważny. Czy mi się uda dowiedzieć się prawdy? — Czy Stefan będzie szczerym wobec mnie?

Chociażby nawet tak się stało, nie wiadomo jaki obrót weźmie cała sprawa — dlatego wymagam od ciebie pewnej obietnicy: po rozmowie z twym mężem, możliwym jest, że dam ci radę, nie taką jakiej się spodziewasz. Przrzeknij mi, że pójdziesz, a przynajmniej będziesz się starała pójść za nią... .

— »Przrzekam święcie« rzekła Ewelina głosem drżącym. »Dorozumiewam się jednak, o co panu chodzi. — Myślisz pan, że trzeba będzie byśmy się rozeszli?«

»Na jakiś czas może« — odparł. »Ale teraz sam nic nie wiem i nic wiedzieć nie będę, póki się nie rozmówię ze Stefanem. Musisz go przygotować do mej wizyty. Kiedy mogę się z nim widzieć? o jakiej porze?«

— »Ależ, nawet w tej chwili!« — zawołała. — »Teraz zastaniesz go pan w domu. Oczekuje mnie. Wysłałam rano mówiąc, że idę do kościoła. Nie skłamałam. Przechodziłam koło kościoła św. Klotyldy, gdzie moja biedna mateczka ślub brała... Czemu jej teraz przy mnie niema! Nie potrzebujesz pan ukrywać mej bytności u ciebie. Przeciwnie, lepiej powiedz mu o tem. Jeżeli nie będzie otwartym teraz, po tej okropnej nocy — nie będzie nim już nigdy... Dobrze więc? Zgadzasz się pan? Mój powóz czeka na pana na dole... Ach! Pan mnie uratujesz, uratujesz mnie! Jak szczerze będę się modlić podczas pańskiej rozmowy!«

Z temi słowy rzuciła się na szyję Filipowi, wybuchając głośnym płaczem; — uspokoiwszy się nieco,

uczyniła krzyż na jego czole i odprowadziwszy na kurytarz, wróciła sama do pokoju, uklękła koło fotelu, w którym przed chwilą zwierzała się przed d'Audiguer'em, zanosząc korne modły do Boga. — Madonny pędzła starych mistrzów, ozdabiające muzeum Filipa, niejednokrotnie pewno patrzyły na gorące modlitwy, zanoszone do nich, gdy uśmiechały się jeszcze w ołtarzach kaplic włoskich. Nigdy jednak czystsze i więcej znękanе serce nie skarżyło się przed niemi ze swych stosunków, jak serce tego biednego stworzenia dwudziesto-dwuletniego, które w przeddzień zostania matką, w pierwszym roku po ślubie, w epoce życia, która powinna tchnąć szczęściem, nadzieją, radością, upadało pod ciężarem nieszczęścia, którego nawet nie znała i nie domyślała się jego ogromu. Jeśli wysłuchane były prośby inne, tem bardziej teraz na głowę tej płaczącej kobiety powinny były spłynąć pokój i cisza. Gdzie dąży nasza modlitwa? Gdy całą głębią naszej duszy porusza błagalne wołanie do Boga, nie możemy wprost pojąć, by to błaganie nie zostało wysłuchanem. Jakie są tajne drogi Opatrzności? Czemu przychodzi nam często cierpieć tak strasznie? Tego nie dowiemy się nigdy, jak nigdy znaną nam nie będzie przyszłość. Możemy zwątpić we wszystko lub roić o wszystkim, los nieubłagany przyniesie nam to, co miał przynieść.

Często zadajemy sobie pytanie: czemu jest nam tak, a nie inaczej? czemu? — czemu?

Żona Stefana Malclerc mimo, że zasłużyła li tylko na szczęście, spotykała na drodze życia ciernie i troski.

Modliła się bardzo długo, wreszcie opanowawszy swe wzruszenie powstała z klęczek i otarłszy zapłakane oczy, podobnie jak d'Audiguer przed godziną, poczęła wpatrywać się niecierpliwie w zegar. Wskazówka puruszała się powoli, myśli Eweliny leciały daleko za Filipem. Niecierpliwosć wzmagala się z każdą chwilą. Wyobrażała sobie obu mężczyzn naprzeciw sobie i obawiała się skutków tego spotkania. — Dlaczegoż doprowadziła do tego, by d'Audiguer pytał Stefana o przyczynę ich nieporozumienia? Przychodziła jej do głowy myśl, by wziąć dorożkę, pospieszyć do domu i przeszkodzić ich rozmowie. — Zaraz jednak stawała jej przed oczyma noc dzisiejsza. Więc ma znowu przechodzić to samo? Nigdy! Niech się dzieje co chce, raz prawdę musi poznać. — Dłużej tak być nie może. Lecz czy pozna wszystko? Czy dowie się o wszystkim? Padała na kolana, modląc się znowu: Ach Boże, daj bym nareszcie dowiedziała się wszystkiego!

Godzina upłynęła na tem rozmyślaniu, modlitwach i oczekiwaniu niespokojnem, wreszcie turkot powozu zatrzymującego się przed bramą oznajmił jej powrót wysłannika. Nie posiadała tyle siły woli co jej przyjaciel, by przyjąć go ze spokojem, lecz oszalała wprost z niepokoju biegła na jego spotkanie.

— »A więc! — widziałeś go pan? Co powiedział?« zawołała, pozerając oczyma twarz zbyt znaną, by nie zdołała wyczytać z niej całej prawdy.

Cofnęła się z przestraczem, spotkawszy wzrok poważny, brwi ściągnięte a na całym obliczu malujący się wyraz stanowczy i zdecydowany.

Co znaczyła ta powaga? Dlaczego d'Audiguer odjechawszy wzruszonym i drżącym, wracał tak dziwnie surowy, prawie jej obcy?

Dlaczego, gdy odpowiadał na jej pytania, czuć było w jego głosie pewne wahanie jak u człowieka, który każde słowo dobrze rozważa zanim je wymówi. Zmiana była na pozór bardzo drobna, lecz Ewelina miała zbyt wysubtelnione nerwy wypadkami ostatnich czasów, by nie odczuć tego w tej chwili. Stojąc obok niego, pochłaniała słowa swego przyjaciela:

— »Tak, widziałem go« — mówił — »nie powiedział mi nic innego, niż tobie. Ale najpierw uspokój się, drogie dziecko.

Inaczej nie będę mógł opowiedzieć ci wszystkiego szczegółowo. Przyjechałem więc. Oczekiwał mnie. Widząc, że nie wracasz, domyślił się twej wizyty u mnie... Utrzymuje, że prawdę powiedział ci już w Neapolu. Cierpi na straszny rozstrój nerwowy, chwilami przychodzą mu bez żadnej przyczyny tak czarne myśli do głowy, że nie jest w stanie kogokolwiekbaż widzieć obok siebie. Całe wasze nieporozumienie polegało na tem, że tań przed tobą swój stan, a to rozbudziło w tobie nieufność. Co do dzisiejszej nocy zaręczał mi, że faktycznie cierpiał na bezsenność i z tego powodu usiadł do załatwiania korespondencji. Rewolwer nabijał po to, aby jak ci zresztą mówił, nie zapomnieć go nazajutrz. Dodaje, że przyrzekając ci słowem honoru, że nie targnie się na swe życie, zrobił to ponieważ żądałaś od niego tego przyrzeczenia. Było to, całkiem naturalne i nie znaczy wcale, by przedtem miał zamiar to zrobić... Pragnie

byś wróciła teraz do domu i by nigdy więcej nie było między wami mowy o wydarzeniach dzisiejszej nocy — byście mogli na nowo rozpocząć wasze wspólne pożycie. Obiecałaś mi bezwzględne posłuszeństwo, przypominasz sobie? zastosujesz się więc do życzenia twego męża, a to życzenie, jest też i mojem także. Dobrze, moje dziecko?«

— »To wszystko coś się pan od niego dowiedział?«
odparła Ewelina; »ale, cóż pan myślisz o tem wszystkim?«

— »Co ja myślę? Myślę przedewszystkiem, że niema najmniejszego powodu do podejrzewania prawdziwości jego słów. — Ale, gdy idzie o sprawę dotyczące dwojga istot — wkrótce trojga« — dodał przyciskając do piersi młodą kobietę i całując jej czoło — »trzeba mieć trochę cierpliwości, i czekać stanowczego zakończenia tego całego nieporozumienia.

Pewnem jest na razie to, że oboje przeżyliście okres bardzo smutny — który się już nie powinien powtórzyć i — tu zaakcentował silniej ostatnie cztery słowa — nie powtórzy się więcej! Zrób więc to co ci radzę. Wróć do domu. Zachowuj się wobec męża tak jak gdyby nic między wami nie zaszło. Teraz ja stoję przy was; po rozmowie dzisiejszej z tobą i z nim, jestem wam bliższy — masz pewność, że we mnie znajdziesz podporę i nie będziesz potrzebowała cierpieć w milczeniu. Jeżeli mąż twój był szczerym, a powtarzam ci, że wierzę w to w zupełności — to te napady nerwowe są bardzo przykre, lecz znosić je można. Bywają większe nieszczęścia moje dziecko. Ufaj mi tylko i pamiętaj, że masz zostać matką, i że każde wzruszenie twoje odbije się na dziecku«.

Przez cały czas gdy mówił do niej, trzymał jej głowę na swych piersiach w ten sposób, by nie mogła patrzeć mu w oczy. Obawiał się jej przenikliwości, mocą której mimo całego zaufania doń, nawet teraz w chwili gdy z poddaniem się i ufnością słuchała rad jego — mogłaby ze spojrzenia jego wyczytać więcej niż chciał powiedzieć. Ewelina jednak nic nie podejrzewała. Nie pytała nawet dalej. Narzuciła płaszcz na ramiona i kładąc woalkę i rękawiczki przygotowywała się do wyjścia. — »Ustucham pana — rzekła. — Przymuszę się do spokoju... nie wspomnę nigdy przeszłości... ponieważ pan utrzymujesz, że tak będzie lepiej...«

Przed wyjściem jednak nie mogła oprzeć się, by nie spojrzeć d'Audiguer'owi prosto w oczy i zapytać raz jeszcze głosem poważnym: »Nic pan przedemną nie ukrywa? — Nic a nic? Pamiętaj pan, że mama patrzy na nas«. Wtej chwili jednak widząc jak starzec załamawszy ręce, rozpaczliwie wzniosł oczy do góry, pożałowała swych słów niebaczących. Wstyd jej było własnej niewiary i tego, że powołała na świadka pamięć zmarłej, tak świętej dla niego. — »Przepraszam cię ukochany przyjacielu — dorzuciła szybko — dotknęłam cię memi słowy. Jesteś tak dobrym! Wierzę ci! Tybyś mnie nie zwodził... Ale ten list, który Stefan pisał do ciebie? Nie oddał ci go? Nie pytałeś o zawartość tej koperty?«

— »Zapomniałem o tem zupełnie. Mówiłaś mi, że koperta była bardzo duża. Przypuszczam, że odsyłał mi katalogi obrazów«. Rumieniec oblał mu lica, zdradzając zakłopotanie w jakie go wprowadziły jej słowa.

Ewelina chciała mu zadać jeszcze jedno pytanie — zamikła jednak. — Uczuła, że Filip ukrywa coś przed nią — podobne odpowiedzi dawał jej mąż zwykle. Odkrycie to uderzyło w nią jak grom, nie spodziewała się tego — stanęła jak wryta. Spojrzała smutno na swego przyjaciela i podając mu czoło do pocałowania zakończyła rozmowę: »Do widzenia drogi przyjacielu, dziękuję ci za wszystko coś dla mnie dziś zrobił«.

Wyszła szybko nie dając Filipowi czasu dla rozpróśnienia strasznych podejrzeń powstałych w jej umyśle na widok jego zmieszania. Stał nad słuchując. Ewelina odjechała, wyszedłszy od niego dręczona gorszymi myślami niż wówczas, gdy przestępowała próg jego domu, nie czuł jednak na razie, nawet litości dla niej. Nie zdawał sobie sprawy z jej usposobienia terażniejszego.

Pierwsze wrażenie odniesione po jej odejściu była myśl, że nareszcie uwolnionym jest od grania dalszej komedyi.

Ulęgą prawdziwą była dlań samotność. Po raz pierwszy w życiu człowiek ten zmuszonym był kłamać słowy, twarzą, zachowaniem. Gdyby był dłużej rozmawiał z Eweliną, nie potrafiłby ukrywać przed nią całej prawdy. — Musiał kłamać. Czyż mógł wyznać jej wszystko? Opowiedzieć rozmowę z jej mężem, która zapisała się niezatartymi zgłoskami w jego duszy.

Teraz po usłyszeniu turkotu powozu zwiastującego odjazd biednej kobiety, wydarł mu się z duszy okrzyk pełen boleści:

— »Ach nieszczęśliwa!«

Pod jednym względem nie skłamał d'Audiguer.

Gdy przybył do pałacu przy ulicy Lisbonne, pierwsze słowa, któremi go Malclerc przywitał były:

»Czekałem na pana. Byłem pewnym, że Ewelina pojechała do pana i że pan tu przybędziesz«.

— Poczem dodał cicho jakby do siebie. »I lepiej się stało«.

Zrezygnowany ton mowy Stefana uderzył starca. Patrzył nań nie poznając go wcale. — Byłże to ten sam człowiek niedawno jeszcze tak dumny i skryty, dzis znękany, złamany, stojący przed nim jak winowajca?

— »Co panu powiedziała Ewelina?« spytał. »Proszę powtórz pan wszystko. Chcę wiedzieć o wszystkim«.

Stuchał opowiadania d'Audiguer'a oparłszy ręce na stole z twarzą ukrytą w dłoniach, nie przerywając mu ani słowem, nie dając żadnego znaku wzruszenia, drżąc tylko na całym ciele. Wreszcie zwrócił ku niemu swe smutne oczy i podnosząc swą klasycznie piękną głowę patrzył nań zamysłony, zdając się nie widzieć go wcale.

— »Tak dawno znam pana« — począł mówić — »tak dawno — blisko dziesięć lat — pan mnie jednak nie znasz zupełnie... Uwielbiałem zawsze pana jako najlepszego, najszlachetniejszego człowieka, którego spotkałem w życiu. Dowodem na to jest list, o którym biedaczka wspominała i który faktycznie był przeznaczonym dla pana, po mej śmierci. Tak, to prawda; chciałem umrzeć. Mówię: chciałem. Znadto żał mi było Eweliny, by nie przymusić się do dotrzymania danej jej obietnicy. Powtarzam raz jeszcze: przymusić się. Sam tak dalej jednak żyć nie mogę... Nie mogę... Możliwe, że pan poznawszy całą prawdę powiesz mi, bym złamał słowo

i odszedł stąd sobie«. A na ruch przeczący Filipa dodał: »Nie wiadomo jak się pan będzie na to zapatrywał, dowiedziawszy się o wszystkim«. Potem wyjmując z szuflady biurka dużą kopertę, która tak zaniepokoiła Ewelinę rzekł z dziwną powagą:

— »Tu są papiery, które chciałem panu przesłać z biletem wyjaśniającym to, co teraz opowiem. Gdy po długich męczarniach postanowiłem raz wszystko zakończyć, wiedziałem, że nazajutrz po mem samobójstwie Ewelina będzie szukać przyczyny nieszczęścia. Gdybym miał tę pewność, że nigdy nie dowie się prawdy, zniszczyłbym wszystkie dokumenta mogące jeśli nie obronić to przynajmniej wyjaśnić całe me życie. Niestety nie miałem zupełnej co do tego pewności. Pisałem niegdyś listy, które nie wiem czy zostały zniszczone. Niedawno temu jeszcze stykałem się z ludźmi, o których nie wiem czy mnie nie szpiegowali. To wszystko przyszło mi na myśl podczas ostatnich chwil jakie, zdawało mi się, że zostawały mi jeszcze przed śmiercią. Powinienem był przewidzieć, że Ewelina dowie się raz wszystkiego co tu napisane w tych papierach. Nie mógłbym znieść myśli, że kiedyś, poznawszy całą prawdę od osób obcych, osądzi mnie niesłusznie, nie wiedząc nic o walkach jakie przechodziłem przed postanowieniem odebrania sobie życia.

Dlatego podczas długich nocy bezsennych wydarłem z pamiętnika prowadzonego przezemnie, sześćdziesiąt kartek zawierających zwierzenia z dwóch krytycznych chwil mego życia — przed ślubem i po nim. Ułożyłem je w porządku.

W nich znajdziesz pan wszystko com przeżył, przecierpiał. Cała ma historia tragiczna jest w nich spisana. Pragnąłem dawniej by Ewelina nigdy wszystkiego się nie dowiedziała. Jeżeliby jednak tak stać się musiało, by przynajmniej nie usłyszała tego z ust obojętnych może nieżyczliwych, lecz od człowieka mądrego, szczerze jej oddanego. — Taby jej cierpienia osłodziło. Takim człowiekiem jesteś tylko pan, panie d'Audiguer. Tę misyę powierzyłem panu, prosząc go o to w liście tu załączonym. Teraz gdy przymusiłem się do zaniechania myśli o samobójstwie, musisz pan jednak dowiedzieć się o wszystkim. Powtarzam raz jeszcze, że sam jeden nie mam sił do wytrwania — potrzebuję kogoś, któryby mi dopomógł, kogoś któryby mnie wsparł swą radą. — Inaczej oszaleję chyba. Milczenie mnie zabijało. Dłużej tak nie wytrwam. — Czy zgodzisz się pan przez wzgląd na Ewelinę, by być mą podporą, mą obroną? — Jeżeli kto może mnie zrozumieć, pomódz mi — to tylko pan jeden na świecie.

Niech pana nie dziwią me słowa. Po przeczytaniu tych papierów zrozumiesz wszystko. Weź je pan, proszę. To co mi każesz potem zrobić — zrobię... Na wszystko jednak błagam pana, niech Ewelina teraz jeszcze nie dowie się nic o naszej rozmowie, ani o zawartości papierów. Potem, uczynisz pan tak, jak uznasz za stosowne. Na razie najlepiej będzie zapewnić ją, że wszystko było prawdą co jej wczoraj mówiłem, że panu odpowiedziałem podobnie i nic pan więcej nie wiesz. Dziś, jestem tego pewny, mieć będę dość siły by zachowywać się wobec niej spokojnie i serdecznie.

Podzieliwszy swe nieszczęście z panem, czuję pewną ulgę. Nie pytaj mię pan o nic więcej i pozwól uściskać twą dłoń. Może ostatni raz to robię? Tak, dodał rozpaczliwie — może więcej nie będziesz pan chciał mnie widzieć?

Po wymianie tych zdań dwaj ludzie rozstali się serdecznie. D'Audiguer usiadłszy do powozu uczuł nieprzepartą chęć, by natychmiast poznać treść koperty. Otworzył ją, zawierała istotnie sześćdziesiąt kartek powyrywanych z zeszytów różnej wielkości i ponumerowanych niebieskim ołówkiem. Gdy starzec rzucił okiem przypadkiem na jedną z kartek ujrzał napisane imię, na widok którego wykrzyknął głośno. To co wyczytał było straszne, potworne! Malclerc będąc bardzo młodym, znał panią Duvernay — był jej kochankiem — a potem poślubił jej córkę. — Teraz straszne wyrzuty sumienia mściły się na nim. Popęłił czyn okropny, karygodny! Posiadając matkę, posiadał następnie córkę. W jednej chwili uprzytomniał sobie Filip dawne czasy, zrozumiał wszystko, całe postępowanie Antoniny wydało mu się teraz mniej zagadkowym.

Teraz był sam. Mógł nareszcie czytać spowiedź Stefana, pochłaniać ją oczyma. Pobiegł do przedpokojku — wyjął szybko kopertę ze szafy, gdzie ją był schował po powrocie do domu. Wydał służbie rozkaz by nie puszczano nikogo — nawet pani Malclerc i usiadł z papierami w swem muzeum pomiędzy ukochanymi zbiorami, świadkami jego życia — marzeń, rojeń, bałwochwalczej miłości dla Antoniny. Do każdego sprzętu przywiązaną była pamięć o »niej«: dla »niej« zbierał

wszystko, — »ją« kochając, kochał każdy drozbiąg dla niej przeznaczony. Fale dawnych wspomnień napływały mu całą siłą do głowy. Widział siebie stojącego lat temu dziesięć przed wysokim kominkiem, tak samo jak teraz z dużą kopertą w ręku, by pójść za wolą swej przyjaciółki i spalić jej papiery w ogniu. Jak oburzał się wtedy sam na siebie za przypuszczenie, że koperta mogła zawierać miłosne listy. Na to wspomnienie uśmiech gorzkiej ironii wykrzywił jego spokojne zwykle rysy. W tej chwili jednak straszna rozpacz odmalowała się na nich. Cały gmach marzeń, wszystko co kochał i czcił, widział rozpadające się w gruzy! Począł czytać... patrzył na kartki z osłupieniem, nie mogąc wprost wierzyć swym oczom. Nareszcie miał się dowiedzieć, ile namiętności, szalonych uniesień miłosnych ukrywało się poza oczyma zawsze spokojnymi, uśmiechem łagodnym i całą słodyczą drogiej mu zmarłej.

BIBLIOTEKA

URZĘDNIKOWA WZAJNEJ UBIEG KRAKOWIE

SEKCJA IV.

IV.

Spowiedź.

Pierwsze urywki z pamiętnika Stefana Malclerc.

I.

Nicea, 3. grudnia 1892.

... Było to u nas... u nas... w naszym ukochanym gniazdku, gdzie kryliśmy zazdrośnie naszą miłość przez trzynaście miesięcy; siedm lat temu, w czasie krótko poprzedzającym tę śmierć tragiczną, której smutna rocznica jutro przypada. — Wieczór zapadał, wieczór mglisty i szary, ostatnich dni października i nappełnił swą melancholią mały apartament przy ulicy de Saxe, który urządziłem specjalnie by ją tam przyjmować.

Co działo, że teraz po siedmiu latach te same myśli przychodzą mi do głowy? Pamięć tych trzech pokoi z meblami i obrazami dziś już sprzedanymi, jest mi tak drogą!

Tego wieczora nie zamknęliśmy okienic w oknach wychodzących na mały ogródek. Nie zapaliliśmy światła

— ogień na kominku oświecał pokój — zmrok zapadał coraz większy. Antonina siedziała na niskim krześle koło kominka. Patrzyłem na jej profil rysujący się na tle ciemnych już ścian. Opierała twarz na rękę, ramię jej białe, nagie wychylało się z poza szerokiego rękawa, miękkiego, jedwabnego peniuaru, który jeszcze do dziś chowam wraz ze wszystkimi rzeczami do niej niegdyś należącymi. Patrząc na nie, odnajduję w nich odbicie kształtów jej cudnego ciała, subtelny jego zapach, jej ruchy, gracyę — wszystko to co dziś przestało istnieć!

Ogień palący się, rzucał złoty odblask na jej blond włosy spięte w gruby węzeł na karku, cała postać gubiła się w cieniu, widziałem jednak oczyma duszy klasyczne pochylenie ciała, ten nieuchwytny czar i wdzięk, którego prócz niej nikt nie posiadał. — Mówiła do mnie głosem cichym, który zdawał się płynąć wprost z duszy i poruszał mnie zawsze do głębi, pobudzając całą mą namiętną miłość jaką czułem do niej. Było to dziwne uczucie — słodkie, uspokajające, zarazem jednak upajające jak haszysz.

Miała wtedy przed sobą jeszcze tydzień życia i czując swój blizki koniec mówiła do mnie słowy — które dziś jeszcze zdaję się słyszeć:

— »Skarbie mój jedyny... widzisz, teraz powinnam odejść, w dniu kiedy mnie najwięcej kochasz. Długo już piękną nie będę. Chciałabym przestać istnieć przed pierwszą zmarszczką na twarzy, — usunąć się przed pierwszą oznaką znudzenia z twej strony... Byłabym pewną — całkiem pewną, że zostawiam ci po sobie wspomnienie jasne, ślad w sercu, którego nic nie zdoła

zatrzeć... Będziesz miał inne miłości, — o nie, precz! może się ożenisz. Nie mogę ci zawiązywać życia. Poznałam, cię za późno — i gdybym cię nawet wcześniej poznała, zawsze byłabym starszą od ciebie. Nie mogłabym cię poślubić... Ale kocham cię tak bardzo, tak głęboko, że dla biednej twej Anty zostanie zawsze kącik w twym sercu — zostanie, jeżeli teraz mnie utracisz... Ach! pozwól mi wesprzeć głowę na twym sercu. Tylko wtedy odczuwam szczęście wielkie »szczęście...«

Przycisnęła mnie do siebie. Ukląknęłam przed nią, przytulając jej ukochaną głowę do piersi. Milczeliśmy. Noc zapadała zatapiając nas w ciemności. Przez wielkie okno dolatywał szum świata tak daleki, taki pusty. Upajałem się zapachem jaki wydawały jej włosy — czar jej obecności wciskał się w najgłębsze tajnie mego jestestwa, unosząc mnie w nadziemskie światy. — O słodki czarowny cieniu! to prawda, że kochałaś mnie za dużo, to prawda, że zostawiłaś w mem sercu ślad, którego nic już na świecie nie wymaże. — Pomiędzy mem sercem, a kobietami, które próbowałem pokochać, stawał zawsze twój obraz, by mi przypomnieć, że nikt tak nie umie kochać, jak ty kochałaś i dla nikogo me serce nie zabije z taką siłą jak dla ciebie! Dowodem nań najlepszym jest to, że każdego roku przy zbliżaniu się fatalnej daty czwartego grudnia, pamięć twoja zamiast zanikać występuje z podwójną siłą. Każdy drobiazg ją pobudza: śmieszne poróżnienie z inną kobietą, stawia mi przed oczy biedną mą ukochaną Antę, siedzącą wieczór przy kominku i mówiącą do mnie swym słodkim, drogim głosem. Wystarczyło wczoraj małe zdarzenie by mnie zra-

zić, do młodej hrabiny Osmine, która nawet dość mi się podobała. Byłem u niej wczoraj o piątej, potem ona nagle zerwała się i zadzwoniła na służącego: »Nie cierpię szarej godziny, nie znoszę zapadającego zmroku!«

A tak podobały mi się jej czarne aksamitne oczy, jej cera biała alabastrowa, jej minki i kokieterya. Wiem, że i ja nie wzbudzam w niej antypaty; jest wolną, więc mógłbym bardzo miło przepędzić zimę, gdyż prawdopodobnie zostanę tu nad morzem, aż do wiosny. A jednak to jedno zdanie tak naiwnie przez nią wypowiedziane, przywiodło mi natychmiast na pamięć kontrast szalony z tobą — całą przeszłość — naszą przeszłość; niestety! wszystko zniknęło!

Opuściłem zaraz willę Osmine, pod jakimś błahym pozorem i jestem teraz sam z memi myślami, z marzeniami o tobie, ty moja jedyna! jedyna!

Nicea, 4. grudnia.

Dzisiaj 4. grudnia w dniu smutnej rocznicy, odczytuję jej wszystkie listy, jak to zwykle czynię w ten dzień od lat siedmiu.

Umiem je na pamięć. Każdy raz jednak odkrywam w nich nowe piękno.

Ach! słusznie mogę żałować przeszłości... utraty szczęścia niepowrotnego — nigdy mi już nie było tak dobrze, jak z tobą ukochana... tęsknię za tobą — za sobą, tym dawnym, tak niepodobnym do dzisiejszego. Tęsknota wżera mi się w serce i mózg, pochłania myśli wszystkie — nie jestem w stanie być tym »dawnym« gdy ciebie mi niestało... Czyż dwa razy w życiu mogą

przyjść takie chwile jak te któreśmy razem przeżyli? Czy dwa razy w życiu spotyka się istotę do Ciebie podobną? Jeśli te trzynaście miesięcy opromieniły całą mą młodość — to nie tylko dlatego, że Antonina posiadała czar niewypowiedziany, zmuszający do zachwytu i uwielbienia, wdzięk i miękkość kobiecą, urodę olśniewającą, słowem wszystkie przymioty, zdolne do wywołania czaru bez końca.

Przyczyniło się też do tego wiele, że i ja wniosłem w nasz stosunek duszę entuzjastyczną, nadczuła i to wielkie ukochanie człowieka dwudziestopięcioletniego, żyjącego tylko myślą dla niej, jedynie dla niej... Czyż świat cały zdolny mi jest wydrzeć pamięć tych trzynastu miesięcy? — wynagrodzić mi całem swem bogactwem owe ciche wieczory spędzone razem w naszym gniazdku?

Byłem tym, na którego ona życie swe całe wyczerkiwała. Strasznie nieszczęśliwe małżeństwo — troski, zawody, nieziszczone marzenia lat młodych — wysubtelniły jej serce. Były w niej zarazem pożądanie i strach miłości, niezmierna drażliwość uniesienia wprost rozpaczliwe — upajanie się szczęściem i lęk o to szczęście nareszcie uzyskana obawa by go nie stracić, staranie się przedłużenia go w nieskończoność — upiększania go, chęć zrobienia z niego arcydzieła! I ja to właśnie, z mem usposobieniem zarazem czułem i namiętnem, idealnie myślący, a jednak zmysłowy, musiałem się z nią spotkać w życiu, by stworzyć najwspanialszą harmonię w miłości. Byliśmy dla siebie jakby umyślnie stworzeni.

W zamian za skarby uczucia ofiarowałem jej serce mężczyzny ubóstwiającego ją — którego nauczyła tak kochać, jak pragnęła być kochaną.

Te myśli napływają mi do głowy, teraz podczas długich godzin, w których przeżywam w duszy wszystkie chwile naszej miłości. Nigdy, nigdy nie wróci się to więcej — nigdy! straszne to słowo!.. Druga Antonina nie istnieje na świecie i ja raz drugi kochać tak już nie potrafię.

Jaką szaloną namiętność pokrywał pozorny jej spokój! Z jakim zapalem pragnęła wykorzystać każdą chwilę życia! Bywają kobiety posiadające dziwną znajomość swej duszy i serca — wiedzą co dać mogą istocie ukochanej, pozwalają wzrastać swemu uczuciu, unosić się temperamentowi — wiedząc, że nigdy zmiany nie przyjdą i w stosownej chwili nie dopuszczą do wzajemnego przesytu. — Bywają ludzie których niecierpliwość i chęć użycia pragnie znieść wszystko, by dojść jak najprędzej do zamierzonego celu. By dogodzić swej fantazyi, poświęcają wszystko — wyciągają ręce ku owocom jeszcze niedojrzałym, ku kwiatom nierozwiniętym. — Czas płynie im zawsze za wolno. Do takich ja należałem. Od dzieciństwa — pragnienie czegoś — było u mnie silniejszym nad wszelkie względy — siłą wyższą której opanować nie mogłem i nie chciałem. — Chcieć i mieć, zlewało się u mnie. — Po kim odziedziczyłem tę szaloną wyobraźnię, tę niepowściągliwą żądzę posiadania? Nie wiem. — Jakim sposobem ja, wzrosły i wychowany w otoczeniu spokojnej rodziny, na prowincyi — nieznający świata, nabrałem takiej szalonej gorączki życiowej

— pragnienie rzucenia się jak najprędzszego w wir zabaw i rozrywek — pragnienie, które potem zamieniło się w namiętne pożądanie i potrzebę wielkiego kochania? Nie wiem, czy nieczysta i bezbożna atmosfera panująca w obydwóch liceach, w których się chowałem, obznajmiając mnie z upojeniami zmysłowemi, oddała mnie przedwcześnie na łup mej własnej niepohamowanej wyobraźni? Czy działały tu książki czytowane przezemnie w tym czasie — pobudzające mą zmysłowość i tak dość rozwiniętą?

Pochłaniałem je całemi masami, różne, bez wyboru, poczynawszy od najidealniejszych, a skończywszy na takich, w których autor używa wszystkich możliwych środków, by grać na strunach duszy ludzkiej, by dać pojęcie czem jest życie. Czasami widząc jak używanie rozkoszy zmysłowych, gdy w nich duch udziału nie brał, pozostawiło mi po sobie jedynie niezadowolenie i rozczarowanie; czując jak wielką rolę w mych rozkoszach i troskach zajmowały nadzieje zawiedzione — myśli, marzenia o czemś niedoścignionem — przypuszczałem, że całe to wielkie pragnienie kochania zrodziło się na gruncie nierozbudzonej i niezaspokojonej pobożności. Może tkwił we mnie materiał na ascetę, mistyka? Wielki zapal do miłości, unoszący mnie w tak młodym wieku, czy nie była to poprostu tęsknota za modlitwą?

Może też byłem zwykłym typem dziecka dziewiętnastego wieku, zrodzonego w czasie zupełnego zastoju umysłowego w społeczeństwie, gdy żadna wielka idea nie porusza tłumów, żadna ziemia obiecana nie jaśnieje na horyzoncie? Zresztą co mnie obchodzą przyczyny.

Pewnem jest tylko to, że od czasu, gdy począłem sobie zdawać sprawę z tego co myślę i czuję, dążyłem do jednego tylko szczęścia, żyłem jednym pragnieniem, uganiałem się za jedynym ideałem. Kochać i być kochanym!... Kochać!... być kochanym!... Ileż razy powtarzałem sobie te słowa, pomiędzy piętnastym a dwudziestym rokiem życia.

Upajałem się ich dźwiękiem! drżałem na myśl, że nigdy może nie dosięgnę tego najwyższego szczęścia. Czyż nie poświęcałem wszystkiego, swej kariery, wszystkich ambicyi, wszelkich obowiązków, dla tego, co nazywałem i nazywam dotąd, »świętem uczuciem miłości«.

Całą głębią uczucia młodzieńczego, całą namiętnością człowieka dojrzałego, pokochałem Antoninę. Czy zdobyłbym się dziś choć na iskierkę dawnego żaru? Nie. Nic już we mnie nie pozostało, prócz obojętności, rozpaczliwego zniechęcenia jakim mnie natchnęły przedwczesne rozczarowania życiowe. Lata biegły od czasu ukończenia liceum — do czasu spotkania się z nią upłynęły tak szybko! — Zadaję sobie teraz pytanie, czy wogóle słusznie postępowałem? Czy istotnie tą drogą, którą kroczyłem, dochodzi się do szczęścia? Teraz widzę jasno, pojmuję, że nie umiałem jej jednak pokochać tak jak na to zasługiwała.

Czemu szukając ciągle nowych wrażeń, nowych uniesień, nie znajdowałem aż do czasu poznania się z nią, żadnego zadowolenia? A potem znalazłszy to, com pragnął, nie umiałem należycie ocenić mego szczęścia! W męczyźnie młodym, wstępującym w życie, tkwi jakaś dziwna, niepokonana chęć kochania, kochania praw-

dziwego; gorączkowo rwie się do miłości, przywiązując się do pierwszej lepszej kobiety, spotkanej na swej drodze, choć trochę podobnej do wymaganego ideału, który nosi w sercu.

Suggestyonuje się myślą, że ona właśnie jest tą, wymarzoną, zmusza się do uczucia, którego nie ma dla niej w sercu. Nie kocha tej kobiety — stara się ją pokochać.

Nadchodzi jednak chwila, w której poznaje swój błąd, dobrowolna komedia ustaje — spostrzega, że nie kochał prawdziwie.

Idzie dalej — rozpoczyna znowu poszukiwania, by odczuwać nowe rozczarowanie... szuka wrażeń — łudząc się za każdym razem, że teraz cel osiągnął; — przekonuje się wreszcie — późno niestety — że wszystko, co przeżył, nie jest tem, czego szuka...

Ach — jak mało brakowało, by ta smutna pogoń za szczęściem, nie stała się mym udziałem! Kto wie, co byłoby się ze mną stało, gdyby nie przypadek — jeden z tych, które każą nam wierzyć w przeznaczenie rządzące nami. — Przypadek zaprowadził mnie, w jeden z jasnych dni majowych w roku 1884, do pani Saulmier, starej przyjaciółki naszej rodziny, której raz do do roku składałem wizytę. Pani Duvernay, która ją знаła, przychodziła tam również czasami. Właśnie dnia tego była u niej! Ujrzałem ją w całym blasku jej piękności, jej postać, owianą wdziękiem i melancholią — jej spojrzenie łagodne, a jednak stanowcze, tę cudną twarz, okoloną blond włosami, delikatne ręce, wiotką figurę i pojąłem w jednej chwili, że jeżeli dotychczas

marzyłem o uczuciu wielkiem, o uniesieniach namiętnych, nie odczuwając ich nigdy — dla tej kobiety potrafię rozbudzić to wszystko w sobie.

Miałem tak dużo kochanek, nie kochałem żadnej. Spojrzawszy na nią odgadłem natychmiast po wyrazie dziwnym jej oczu, że nie była szczęśliwą. — Znaczyło to, że prawdopodobnie i ona dotychczas nigdy nie kochała.

Musiła jednak tęsknić za miłością — i nie wiem dlaczego od pierwszej chwili byłem prawie pewnym, że nikt tylko ja, będę tym, któremu odda swe serce. Czy działało tu znowu przeznaczenie?

Postanowiłem zapoznać się z nią bliżej. — Lecz w jaki sposób?

Trzeba było mieć na to dwadzieścia pięć lat, tak jak ja miałem, by zdecydować się na tak nierozsądny — nieprawdopodobny krok — na jaki się nazajutrz po naszym spotkaniu zdecydowałem. — Trzeba było przejść to wszystko, co przeszedłem, szukając ciągle uczucia, którego znaleźć nie mogłem, pożerany straszną myślą, że nigdy nie osiągnę najwyższej rozkoszy, jaką daje prawdziwa miłość — że młodość całą zmarnuję nie kochając nikogo prawdziwie, by móżdżek zaryzykować wszystko aby tylko nie stracić kobiety, którą — czułem — że pokocham całą głębią mej duszy!

Najnaturalniejszą, najprostszą drogą, byłoby pójście do pani Duvernay po poznaniu jej, złożenie jej wizyty — nadskakiwanie jej we własnym domu. Zamiast tego odważyłem się na krok szalony. Nipisałem do niej... i jaki list!... Ma się rozumieć nie odpowiedziała mi nań

Ośmieliłem się na napisanie drugiego, trzeciego, czwartego i wielu innych. I rzecz dziwna... nie czułem najmniejszej obawy zrażenia jej sobie na zawsze.

To czego się obawiałem, leżało we mnie samym — drżałem na myśl, że uczucie wzbudzone jest może znowu tylko ułudą.

Gdy tak w gorących słowach wyznawałem miłość kobiecie, z którą ani razu nawet nie rozmawiałem; gdy upajałem się sam własnymi wyznaniemami namiętnymi czyinionami jej w listach — narażałem się na wielkie niebezpieczeństwo. — Przypadek złączy nas kiedy ze sobą — kto wie, czy różnica pomiędzy ideałem wymarzonym w mej bujnej wyobraźni — a kobietą żywą — nie będzie zbyt silną? — A przy mem kobieco-egzaltowanem usposobieniu — rozdźwięk choćby chwilowy, może ostudzić natychmiast me serce. — Na szczęście tą kobietą była Antonina, z jej dobrocią — urodą — inteligencją — wdziękiem.

Człowieka poznanego przez listy tak dziecinne — odczuła odrazu swą subtelną duszą. Namiętne błaganie o wzajemność nie pozostawiła bez odpowiedzi. — Miłość urojona — zamieniła się w cudną rzeczywistość — w uczucie najgorętsze — najsilniejsze jakie kiedykolwiek łączyło dwoje istot przyciągniętych ku sobie dziwną, niezrozumiałą siłą.

Co za wspomnienia! Jak żywo najdrobniejszy szczegół staje mi teraz przed oczyma: — Moja powtórna wizyta u Pani Saulmier, u której dowiedziałem się, że pani Duvernay też powróciła; (odgadłem natychmiast, że przyszła by o mnie czego się dowiedzieć) — moje długie

wyczekiwanie na ulicy, by widzieć ją wychodzącą. Nie miałem odwagi pójścia do niej. Widzę siebie w chwili, gdy zrozpaczony zwątpilem w możliwość naszego zbliżenia. Pamiętam pierwszą odpowiedź od niej — nasze pierwsze rendez-vous, potem te wszystkie spacery, w odległym ogrodzie botanicznym, wreszcie nasze gniazdko przy ulicy de Saxe i nasze ciche słodkie szczęście. Słyszę jeszcze głos jej oznajmiający mi swą wolę absolutnego rozdziału pomiędzy życiem ze mną, a życiem jej jako wdowy i matki — wolę ekscentryczną szaloną na pozór, tak jak szalonymi były me listy do niej, jak dziwnem przecucie, którem wiedzeni, zbliżyliśmy się ku sobie — wolę tak mądrą w zasadzie, która zrobiła z naszej miłości prawdziwe arcydzieło uczucia, o którym zawsze marzyła, na które złożyła się jej energia i moje bezgraniczne posłuszeństwo. Mówiła mi: — »Gdy się dwoje ludzi kocha — powinni żyć razem zupełnie, albo całkiem odosobnieni... Przyrzeknij mi, że nie będziesz nigdy próbował zmienić tego, co jest — nie będziesz pragnął przychodzić do mnie — mieszać się w me życie domowe. Utracilibyśmy nasze szczęście. Nie krzywdzę mej córki, kochając cię — nie krzywdzę też ciebie ją kochając — gdyż nie znacie jedno drugiego, nie możecie być zazdrośni o siebie... Jestem wolną. Zawezwij mnie, przyjdę zawsze. Gdy nie będziesz chciał, nie pokażę się więcej. Chcę byś był całkiem swobodny — mógł iść, wracać kiedy zechcesz, by nasza droga tajemnica, towarzyszyła zawsze twym myślom, nie przedstawiając ci się jednak jako obowiązek, lecz tylko jako słodkie upojenie. Tak jak pałac zaczarowany, do którego możesz wejść

zawsze, będziesz w nim zawsze z uwielbieniem przyjęty — możesz jednak także wyjść zeń bez przeszkody.

Będzie to mą jedyną zemstą nad tą, która raz posiadzie cię na zawsze: — że byłam dla ciebie zawsze tem, czem nigdy żadna kobieta nie była.

Mówiła, a ja przyrzekłem, przysiągłem szanować zawsze jej wolę. Przez cały przeciąg tych trzynastu miesięcy nie spotkałem jej nigdy w towarzystwie. Mogłobyż to wydać mi się zupełnie naturalnem gdyby nalegania jej trzymania się zawsze zdala od niej, były wywołały podejrzenia z mej strony?

Tak jednak nie było. Widziałem, że Antonina była zawsze szczerą do głębi duszy. Przytem przebywając z nią razem, nie byłbym w stanie sprzeczać się o jej słowa. Obecność jej wywierała na mnie tak dziwny magnetyczny wpływ, że zmuszonym wprost się czułem myśleć, działać według jej woli. — Niejednokrotnie patrząc na mnie swemi cudnemi, lazurowemi oczyma, w których malowała się równocześnie słodycz i energia, szeptała mi: »Chciałam, byś mnie pokochał... Tak potrzebowałam twej miłości«. Było to prawdą — nakazywała mi kochać się tak, jak chciała. Byłem jej własnością tak całkowitą, tak zupełną! — do dziś dnia to odczuwam — nawet w tej chwili pytam siebie, czy nie stoi ona przy mnie niewidzialna, by mi powtarzać: »Kochaj mnie — kochaj«.

Nicea, 6. grudnia.

Czemu teraz opanowały mnie te wspomnienia ze zdwojoną siłą? — Czemu wczoraj i dziś nie jestem

w stanie nic myśleć, działać, by nie mieć przed oczyma mego ubiegłego szczęścia. — Czemu z dniem każdym ogarnia mnie żal coraz większy. W pierwszych latach po jej stracie, byłem bliski uwierzenia, że świat pozagrobowy musi mieć jakiś kontakt z nami. — Chciałem uwierzyć. — Niestety! trzeba mieć odwagę powiedzenia sobie, że niema nic — nic więcej... A jednak uczeni dowodzą istnienia telepatyi — tajemniczego działania na odległość.

Istnieje coś, czego zbadać nie jesteśmy w stanie — jakaś dziwna siła kierująca nami.

Czyż moje nagłe wyjście z willi Osmine, było spowodowane jedynie wykrzyknikiem młodej hrabiny, że zmroku nie znosi? Stanowczo zaprzeczam temu. — Nieokreślone przecucie skierowało me kroki do domu gdzie upajałem się wspomnieniami mej biednej »Anty«. A potem? Siedzieliśmy z mym towarzyszem podróży Jakóbem de Brèves w salonie, paląc i rozmawiając, gdy nagle wszedł nasz dawny kolega klubowy René de Montchal, o którym wiedzieliśmy, że bawi w Hyères ze swą matką.

»Przyjechałem — rzekł uprzedzając nasze pytania, odetchnąć nieco po familijnem życiu — przytem Lucya Tardif ma parę dni wolnych przed przybyciem Abła Mosé. — Wyczytałem wasze nazwiska na spisie gości hotelowych, więc wstąpiłem przywitać się z wami. Nie przeszkadzam?»

Wcale ładny chłopiec ten René de Montchal, o ry-sach delikatnych, w dwudziestym siódmym roku jednak

jest już zblazowany fizycznie i moralnie. Jest typowem dzieckiem swego wieku.

Przywitawszy się zaczął szeroko rozprawiać o swych stosunkach w półświatku paryskim, dając niedwuznacznie do poznania, jak bardzo mile jest tam widziany.

— »Mówiłem ci już dawniej — rzekł drwiąco doń Jakób, że niema jak Nicea. — Cannes — Saint Raphael — Hyères — są za ucziwe miasta dla ciebie — musisz się tam kapitalnie nudzić.

— »Zapominasz, że jestem teraz pod kuratelą matki — muszę tam siedzieć, gdzie jej się podoba — przerwał mu René — przytem gdyby nie Lucya, przepędzałbym tam obecnie czas bardzo przyjemnie. Złożyła się dobra partya pokera w klubie — mamy parę bardzo miłych domów.

W oczach Jakóba zamigotał płomyk, płomyk znany mi dobrze. — Odgadtem, że ma ochotę wykpić trochę biednego René. — Znaną mi dobrze przyczyna jego postępowania. Nie przebaczy mu nigdy Lucyi — a raczej nie przebaczy Lucyi jego. Dawniej cieszył się też jej względami — krótko wprawdzie, lecz wystarczająco, by dziś licząc lat czterdzieści pięć, pałać niechęcią do swych młodych następców. Dałby wiele za to, by rozłączyć parę kochającą — (o ile można temu dać miano kochania). — Tymczasem pociesza się przedrwiwaniem Renégo na każdym kroku. Zwracając się do mnie przemówił z komiczną powagą:

— »Stefanie, przypatrz się dobrze temu młodzieńcowi. Nie dam ani centyma za to, że w przeciągu pół roku

palnie kapitalne głustwo! — Mówię o małżeństwie« — dodał.

»Ja? Cóż za przypuszczenie!« zawołał Montchal zarumieniwszy się lekko.

»A Lucya?«

»Będzie opłakiwać twą stratę — odrzekł Brèves. Jeżeli taki ulubieniec kobiet jak ty, mający tak świetną tradycję światowca w najlepszym i najgorszym stylu, mówi o przyjemnie przepędzonych chwilach »w miłych domach«, to jest na drodze do porzucenia stanu kawalerskiego... Czekał — dodał — biorąc tygodnik kąpielowy leżący na stole — załóżmy się o obiad w Monte Carlo, z Lucyą i Mallec'em, że odgadnę tu nazwisko przyszłej pani de Montchal?«

— »Dobrze — spróbuj... zaśmiał się wesoło René. — Jakób zaczął czytać rubrykę z Hyères — pod którą zapisaną była cała masa nazwisk pań i panien mieszkających po willach i hotelach; za każdym razem Montchal odpowiadał monosylabami jak: »nieznana«, »młoda« lub »stara« — »wcale niczego« lub »okropna«, aż do chwili gdy czytający wymówił pierwsze nazwisko, które mnie zainteresowało podczas tego śmiesznego egzaminu: »Hrabina Edwardowa Muriel z rodziną. Villa Cystes«. — »Pięćdziesiąt pięć lat« odpowiedział Montchal. — Zdawało mi się, że nieznaczny rumieniec przebiegł znów po jego twarzy. »Tak« nalegał Jakób — pięćdziesiąt pięć lat — »ale rodzina?« — »Cztery córki i siostrzenica«. — »Jakże córki?« — »Tak sobie« — »A siostrzenica?« — »Bardzo ładna«. — Znowu lekki rumieniec, głos jednak pozostał spokojny. Tak spokojny, że Jakób nic nie spostrzegłszy,

ciągnął dalej swe badanie aż do chwili, gdy rzuciwszy gazetę zawołał:

— »Przegrałem zakład. Kiedy chcesz mieć obiad?«

— »Kiedy zechcesz« odrzekł Montchal.

— »Dlaczegoby nie dziś wieczór?« — zapytałem.

— »Dobrze, dziś wieczór — odpowiedział René. — Lucya jest właśnie wolna«.

— »Myślałem, że jesteś zaproszony do hrabiny Osmine?«

— »Uwolnię się. — Jutro Lucya może nie mogłaby pójść z nami — lubię bardzo patrzeć na nią — ty także — nie zaprzeczaj«.

Czy mógłbym koledze z klubu, nieznanemu mego życia prywatnego, podać prawdziwą przyczynę opuszczenia przyjęcia u pani Osmine? — Nieostrzegalne zmieszanie małego Montchal gdy Jakób wymawiał nazwisko hrabiny Muriel, pozwalało mi przypuszczać, że rzeczywiście nosi się z myślą poślubienia jednej z córek tej pani. — Może siostrzenicę? — Tą siostrzenicą — byłem tego pewny — jest córka biednej Ante. Że Edwardowa Muriel jest siostrą męża Antoniny, wiedziałem od dawna. Wiem także, że po śmierci matki, Ewelina została oddaną jej na wychowanie, wiem, że powinna mieć teraz dwadzieścia lat — poza tem nic a nic. — Słuchając ślepo woli Antoniny, nigdy nic dokładnego nie wiedziałem o jej rodzinie. — Pomiedzy jej życiem domowem a mną, postawiła granicę, której nigdy nie pozwoliła mi przestąpić.

Ileż razy utraciwszy ją już, pragnąłem zobaczyć jej dziecko, poznać je, mówić z niem, widzieć czy przypomina choć trochę matkę. Zbliżenie się jednak do jej

rodziny, uważałem za złamanie słowa mej Ante, za świętokradztwo popełnione na jej pamięci. — Ileżto razy marzyłem o jakimś przypadku, który postawiłby nas naprzeciw siebie: dziecko i mnie — o przypadku całkiem niespodzianym, w którymby »moja« wola nie grała najmniejszej roli! — Niestety spotkanie nasze nigdy nie miało miejsca. Dowiadywałem się o nią ciągle — robić to jednak musiałem bardzo ostrożnie, by nie zwrócić na siebie podejrzania. Panna Duvernay przepędzała rok cały poza Paryżem. — Ja zaś przez ten czas podróżowałem, przez długie siedm lat starałem się napróżno oduczyć, zapomnieć choć trochę o mej tęsknocie, za nią, za tą jedyną!

Nagle teraz dowiaduję się, że dziecko to znajduje się tak blisko mnie, że przypadek zbliża nas nareszcie. Dziwne jakieś w duszy przeczucie szeptało mi, że tym razem, zmarła pragnie naszego spotkania. — Podczas tej jednej sekundy, w której René de Montchal zdradził wzruszenie, słysząc imię panny Duvernay, zaszła dziwna zmiana we mnie. Poczulem, że Antonina pragnie bym pojechał — poznał i bronił jej córkę przed tem nieszczęsnem małżeństwem. — Co za gorzka ironia! muszę dowiadywać się szczegółowo o córce mej ukochanej podczas wesołej kolacyjki w Monaco, w towarzystwie Jakóba, René de Montchal i panny Lucyi Tardif! Nie mam jednak innego sposobu. — W jaki sposób pytać, by René powiedział mi, czy siostrzenica hrabiny Muriel jest istotnie Ewelina Duvernay. — Jak zrobić by nie domyślił się, że tak bardzo zależy mi na jego odpowiedzi?

II.

Hyères, 22. grudnia.

Nie bez wyrzutów sumienia przybyłem tutaj, cichną one jednak wobec wzruszenia, jakim ogarnięta jest dusza moja. Gdyby Antonina była w stanie odczuć z poza grobu jak świętą, jasną, jest mi jej pamięć — przebaczyłaby mi mój postępek. — Wszak dla niej jedynie chciałem widzieć jej córkę — w córce jej »ją« ujrzałem. Co czułem — patrząc na jej żywy portret, nie umiem tego wyrazić. — Była to radość, czy też ból silny? — Nie wiedziałem czy mam uciekać czy zostać? Opowiedzmy jednak wszystko szczegółowo — gdyż rozpoczynając ten dziennik po raz drugi, postanowiłem opisywać w nim najdrobniejsze przejawy mego serca.

Przechodziłem już straszną epokę w mem życiu, gdy upadałem pod ciężarem tęsknoty za czemś nieznanym — za miłością, upojeniem... Dziś ta epoka wraca. — Dlaczego? — Prawdopodobnie z powodu smutnej rocznicy — wspomnień o ubiegłym szczęściu, wywoływanych dziś z podwójną siłą — z powodu serca domagającego się o swe prawa. W dwudziestym piątym roku życia, odurzałem się przynajmniej czemkolwiek bądź — Żyłem! — Potem przysłała miłość!

Kochałem i byłem kochany! — Czemuż dziś serce umilkło odzywa się znowu? — Czego pragnie? — Ale odbiegam od przedmiotu. Opiszę wszystko po porządku:

Przedewszystkiem fakt, który zadecydował o mym nagłym wyjeździe z Nicei: nudne towarzystwo pani Osmine i spotkanie z Montchal'em, który po kilkorazowej roz-

mowie, opowiedział mi różne szczegóły o Ewelinie Duvernay. — Słowa Rénego, banalne odezwanie się o szarej godzinie, wszystko to rozbudziło mą niezagasłą tęsknotę za przeszłością. Z opowiadania Rénego, dorozumiałem się, że panna Duvernay w istocie bardzo mu się podoba i nosi się zupełnie seryo z zamiarem oświadczenia się o jej rękę. — Jakób miał rację w swych żartach twierdząc: że Lucya Tardif wkrótce będzie opłakiwać stratę Montchal'a. Ostatniego wieczoru pobytu jego w Nicei, wchodząc do klubu spotkałem go w drzwiach wychodzącego z miną bardzo niezadowoloną: — »Wracam do Hyères jutro, rzekł mi — »przejażdżka ta zbyt drogo mnie kosztowała«. — »Czy grałeś?« spytałem go. — »Przegrałem dziś po obiedzie pięćset luidorów« — odrzekł. — »A Lucya Tardif?« — »Mam jej dosyć, jak również gry i tej waszej całej Nicei — przerwał mi niecierpliwie. »Gdy pomyślę — dodał — że odemnie tylko zależałoby mieć idealne ognisko domowe, dużo pieniędzy i żonę śliczną, dystygowaną, przy której Lucya wygląda jak pokojówka... Gdyż ostatecznie, ta panna Duvernay, siostrzenica hrabiny Muriel... gdybym chciał tylko... Zdaje mi się, że teraz, będę chciał«...

Tak — rozmowa ta ostatecznie, zdecydowała mój wyjazd do Hyères. Niepokonana chęć dowiedzenia się ile było prawdy w słowach jego co do stosunku łączącego go z Eweliną, ogarnęła mnie nagle. Po wielu, wielu wahaniach siadłem do pociągu, odchodzącego wczoraj wieczór — i jestem tutaj.

Przepędziłem pół nocy po przyjeździe, siedząc w oknie mego pokoju hotelowego i patrząc w rozległą

przestrzeń dzielącą Hyères od morza — latarnie morskie na brzegach — na wyspach — aleje palmowe oświetlone blaskiem księżyca — gwiazdy zawieszona w przestrzeni. Nie mogłem spać. Obawa złamania słowa danego tak dawno temu, walczyła we mnie z niepojętą, ślepą wiarą, że tam z za grobu Antonina chce, rozkazuje mi, bym bronił jej córki przeciw temu małżeństwu z tym człowiekiem. Tak, jakbym mógł zaważyć coś w losach młodej dziewczyny, dla której będę poprostu zwykłą znajomością zawartą u wód! Nie!

Wiem dobrze, że wszystko to jest tylko sofizmatem pretekstem. — Jeżeli przybyłem do miejsca, gdzie znajduje się córka Antoniny, to jedynie party niepohamowaną ciekawością ujrzenia, o ile Ewelina przypomina matkę. Prawdziwem jedynem życzeniem mem, była chęć zbliżenia się do zmarłej, przez osobę najbliższą jej sercu, przez jej dziecko. — Nie przypuszczałem jeszcze wtedy na co się narażam. Wiedziałem, że widok córki Antoniny musi mnie głęboko wzruszyć, nie przeczuwałem jednak całego ogromu wrażeń czekających mnie.

Walcząc ciągle jeszcze ze sobą postanowiłem wreszcie zakończyć tę niepewną sytuację. Dowiedziałem się sam o adresie pani Muriel i podążyłem w dzielnicę Carlebelle, gdzie jak mnie objaśniono, znajdowała się willa »de Cystes«. Pół godziny drogi dzieli Hyères od tego pięknego wzgórza zalesionego świerkami z Aleppo, z białą dzwonnicy kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Pocieszycielki. — Przez całą długość alei stoją co parę kroków

małe kapliczki, ze statuami Madonny — świętego Rocha — świętego Józefa.

Są to wszystko stacye pielgrzymek, urządzanych tutaj w dni świąteczne — o pobożności kobiet tego królestwa kwiatów świadczą liczne bukiety — świece i inne ofiary, zdobiące wnętrza kapliczek. Cisza i spokój otaczające mnie podziałały uspokajająco na me wzburzone nerwy. — Czyż ja nie odbywałem też tutaj pielgrzymki? Inne wprawdzie pobudki prowadziły mymi krokami, zamiast wiary w białe kapliczki niosłem w mem sercu wiarę wielką, gorącą w miłość, we wspomnienia! wiarę w łączność ze światem pozagrobowym gdzie przebywała moja jedyna, ukochana!

Przypadek zrzucił, że poranek ten tak ważny w mem życiu był jednym z najpiękniejszych dni, jaki wymarzyć sobie można, jasny i świeży. Gdy słońce całuje ziemię a wietrzyk lekki, ożywczy mile drażni nerwy. I jak cudny widok naokoło mnie! Tam — niżej, dolina, z której wyszedłem, z miastem, przytulonem do skał, na których wznoszą się ruiny starego zamku — dalej morze — wielkie, nieskończone, zasiane przy brzegu całą masą statków — tam na horyzoncie zlewające się z niebem w jedną całość, tak niebieskie i tak niezbadane jak ono! Przedemną droga górzysta ze szpalerami róż i kamelii wśród pól fiołkowych — drzew oliwnych — winogrodu. Na lewo biała dzwonica kościoła. Na prawo sylwetka gór, nad wszystkiem zaś lazur nieba południowego! — Promienna jasność dodawała wdzięku małym domkom ogrodników, rozrzuconym tu i ówdzie.

Szedłem pomału, rozglądając się dokoła — pijąc całą pierśią ożywczy zapach świerków — czytając napisy na kapliczkach, myśląc o Antoninie — jej dziecku nieznanem mi, aż do chwili gdy spostrzegłem dwa słowa »des Cystes« wyryte na dwóch słupach kamiennych oplecionych pnącymi liśćmi geranium. Zatrzymałem się patrząc na nie — czułem jak serce zaczyna mi bić gwałtownie. — Słupy kamienne stanowiły podporę do drzwi żelaznych, przez kratę widać było ogród pełen roślinności podzwrotnikowej; długie, olbrzymie palmy — kaktusy koleczaste z purpurowymi kwiatami, olbrzymie agawy, drzewa pomarańczowe, których owoce dojrzałe złociły się na tle ciemnych, gładkich liści — gazony pokryte masą anemonów, okolone narcyzami i begoniami. Zapach lekko słodkawy wydobywał się ze wszystkich kwiatów, mieszając się z powietrzem przesiąkniętym wonią fiołków i róż.

W głębi wśród krzewów kryła się willa, cała jasna, różowa, opleciona do pierwszego piętra liśćmi bluszczu i winogrodu. Bardzo skomna, bez pretensyi, w stylu starowłoskim, z terasą na górze. Za domem wzgórze przechodziło w równą, prostopadłą ścianę, tworzącą rodzaj żywego muru. Prawdopodobnie śliczny ogród z całą roślinnością egzotyczną zajmował miejsce dawnego lasu świerkowego, gdyż i teraz ze wszystkich stron otaczał go gaj świerków i jodeł z Aleppo — które poruszane lekko tchnieniem wiatru, wydawały szum podobny szmerom fal morskich. Nie słyszałem nigdy o tym ogrodzie ani domu, nie widziałem nigdy jego fotografii — zdawało mi się jednak, że go »przypominam sobie

tak był szalenie podobnym do zakątka, jaki pragnąłem niegdyś posiadać, by ukryć się w nim razem z Antoniną — tak wygląd jego tchnął spokojem i jasnością, wśród upajającej ciszy, tak robił wrażenie wymarzonego gniazdka dla ludzi kochających się i szczęśliwych! —

Mur, wysokości człowieka, ciągnął się od słupów wzdłuż całego parku.

Zamyślony począłem spacerować około niego. Podszedłszy w górę, ujrzałem, że przy końcu ogrodu zniono mur, zastępując go sztachetami — prawdopodobnie w celu dania widoku mieszkańcom willi na rozległy las, sąsiadujący z ogrodem. Usiadłem na niskim kamieniu pod jodłą, pomiędzy drzewami mastyksowemi, krzewami rozmarynu i anemonów. Ta roślina południowa panuje tu wszechwładnie; przepelnia ogród, las, napełniając go swym zapachem subtelnym, delikatnym — niezapomnianym nigdy, jeżeli go się raz poznało. — Napoleon przybliżając się do Korsyki, rozpoznawał go daleko na morzu.

Czar wiosennego poranku, cisza panująca dokoła, upajający zapach kwiatów — wszystko to dziwnie mnie rozmarzyło; zapomniałem o ciekawości, która mnie tu przywiodła, o planach, nadziejach, wyrzutach sumienia spowodowanych przybyciem do Castebelle, tego rana... wielka jasność wpłynęła mi do duszy... Zatopiony w marzeniach, nie wiem jak długo tak przesiedziałem, nagle dźwięk głosów zmieszanych doszedł z za muru wyrywając mnie z zadumy. — Parę osób chodziło po parku... Natychmiast pomyślałem o możliwości spotkania Eweliny w towarzystwie spacerujących.

Zerwałem się gwałtownie — począłem iść szybko, by dostać się poza obręb muru. Wyliczyłem bowiem, że krocząc stąd powoli, spotkam koło parkanu towarzystwo spacerujące w ogrodzie. Obliczenie nie zawiodło mnie; zbliżając się do sztachet ujrzałem w głębi grupę złożoną z trzech osób — trzech kobiet — jednej starszej, bardzo wysokiej i tęgiej, w której odgadłem od razu panią Muriel, drugiej młodej, nie zwracającej szczególniejszej uwagi i trzeciej... W obramowaniu dużego kapelusza ogrodowego ujrzałem delikatną twarzyczkę Antoniny, Antoniny młodszej, weselszej, z policzkami pełniejszymi, z wyrazem twarzy — nieznanym mi u tamtej — młodym, dziewczym... Były to jej rysy — jej usta — owal jej twarzy, sposób trzymania głowy — jej włosy — jej postać — ruchy, a przede wszystkim jej wzrok, z tą jedynie różnicą, że tamte oczy — oczy zmarłej, gdy się zwracały do mnie, pełne były zawsze wyrazu miłości i pieczyoty — zaś modre oczy żyjącej nie знаły mnie wcale! — Byłem dla niej nieznanym przechodniem, jakich widywała codziennie dziesiątkami, mijających jej willę... Trzy kobiety odeszły rozmawiając, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło tutaj na tem miejscu, pomiędzy tymi cyprysami, pod którymi stałem, patrząc na nadziejskie zjawisko, na mą wskrzeszoną kochankę, na młodość mą minioną bezpowrotnie — na całą przeszłość tak jasną, tak promienną, czarownym widokiem wzbudzoną nagle, na jedną chwilę, by znów rozpląnąć się w mgle!

Stałem znów sam na drodze. Słońce świeciło równie jasno, anemony, cyprysy i rozmaryny odurzały

równie swym zapachem, świerki wznosiły równie dumnie swe poważne ramiona, otaczając tajemniczo ogród, willa «des Cystes» równie cicho tuliła się do nich, otoczona swemi agawami i kwiatami — drzewa i skały spoczywały na tem samym miejscu, niebo było równie błękitne — wietrzyk, tak samo jak przed chwilą, całował modre fale; — Hyères w oddali tak jak pierwej rozlatało się wdzięcznie u stóp dumnego zamku, lecz dla mnie — wszystko się zmieniło. To szalone podobieństwo pomiędzy matką a córką, które nie pozwoliło mi ani na chwilę wątpić w tożsamość Eweliny — przypomniało mi tak żywo wszystko com utracił!

Nie pamiętam dokładnie, kto przyrównał podobieństwo dwóch istot, z których jedna nas kocha — drugiej jesteśmy obojętni — do ptaka ulatującego przed strzelcem, z drzewa na drzewo i śpiewającego piosenkę innego ptaka, na którego czatuje strzelec od dawna.

Wielki, bezbrzeżny smutek opanował mnie. W pierwszej chwili zdecydowany byłem wsiąść do pociągu odchodzącego za godzinę i wracać do Nicei, do małego saloniku hrabiny Osmine, gdzie przyjęty będę zawsze bardzo chętnie i serdecznie. Tam nie odnosząc żadnych silniejszych wrażeń, nie będę też odczuwał straszego bólu za niepowrotną przeszłością, nieuchwytnem szczęściem, posiadanem zaledwie parę miesięcy, a opłakiwanem już siedm lat! — A jednak przeciwnie się stało. Nie pojechałem! — Możliwy doprawdy przypuścić, że niektóre cierpienia posiadają dziwny powab dla człowieka. Rozdrażniamy ranę napół zgojoną, sprawia nam to bolesną rozkosz. — Powróciwszy do Hyères zamiast

zabierać się do odjazdu — pierwszą mą myślą było znalezienie kogokolwiek bądź ze stałych tutejszych mieszkańców i natychmiast po śniadaniu zająłem się poszukiwaniem Rénego de Montchal. — Poszedłem do niego. — Co mu powiem? — Nie wiedziałem na razie. Po rozmowie naszej w Nicei mogłem jednak przypuszczać, że nudzi go kapitalnie ciągle sam na sam ze starą matką. Nic dziwnego więc, że przyjął mnie bardzo serdecznie i zaproponował wprowadzenie do wszystkich domów mu znanych i jak twierdził ku szyderstwie Jakóba »bardzo miłych«. — Bez wątpienia dom pani Muriel znajdował się w ich liczbie.

Z łatwością wyszukałem pretekst mego nagłego przyjazdu. — Powiedziałem mu, również jak Jakóbowi, że pragnąłem przepędzić czas jakiś w miejscowości mniej denerwującej niż Nicea. Wszystko ułożyło się jak przewidywałem. Po rozmowie pięciominutowej i wysypianiu na mą głowę tysiąca bezsensownych pytań, René zaproponował mi spacer nad morzem, z powrotem zaś wizytę u państwa Vertobane:

— »Ludzie ci, przyjmują tu najwięcej, — rzekł mi — mają bardzo ładną willę i cudowne staroświeckie umeblowanie. Szczęśliwym trafem podczas rewolucyi uniknęli grabieży. Poznasz tam całe tutejsze towarzystwo. Mniej więcej z piętnaście rodzin. Mama, która jest bardzo wymagająca, utrzymuje, że mamy tu dobre znajomości. Co do mnie wolę trochę gorsze... trudno, głową muru nie przebiję. Przytem... ale daj mi słowo, że mnie nie zdradzisz przed Jakóbem — będzie tam też

mała Duvernay, o której mówiłem ci i z którą chcę mnie żenić. Powiesz mi, co myślisz o tem.

Byłem teraz całkiem pewnym, że ani de Brèves nie mylił się co do planów matrymonialnych przyjaciela Lucyi Tardif, ani ja co do osoby, do której się te plany odnosiły. Słyszając te słowa wymówione tonem prawie obojętnym, uczułem znów niewypowiedziany strach, przejmujący mnie na samą myśl, że małżeństwo pomiędzy tym człowiekiem, a córką Antoniny mogłoby dojść do skutku. Teraz po widzeniu Eweliny, myśl ta wydała mi się jeszcze wstrętniejszą. — Czyżby to było możliwe? — Pytanie to stawiałem sobie przez cały czas naszej przechadzki po wybrzeżu piaszczystem, położonem naprzeciwko Parquerolles — nazwanem Terre Fondue. Ach jak daleko byłem od lazurowego nieba, spokojnych fal morskich — cyprysów, świerków, anemonów uśmiechających się do słońca, od tych różanych szpalerów muskanych wiatrem! — »Ależ tak, tak! — mówiłem sobie — każde małżeństwo jest możliwem. Antonina wyszła przecież za Duvernay'a nie znosząc go. Przypomniałem sobie wszystko, co mi niegdyś opowiadała moja biedna, ukochana. Dziwne podobieństwo córki do matki przerażało mnie wprost. — Czyżby podobieństwo w rysach miało pociągać za sobą podobieństwo losu? Przyglądałem się badawczo memu towarzyszewi palącemu papierosa w rogu powozu. Rysy jego delikatne i regularne nosiły już wyraźnie piętno nocy przeżytych na hulankach. — Lecz dla kogo dostrzegalne? Dla mnie, którym patrzył z daleka na to życie. Przedwczesna dojrzałość nie przeszkadzała wcale temu, że zasługiwał na miano bardzo ła-

dnego chłopca. Słuchałem słów jego — z każdego przebijała się myśl pusta, czcza, zajęta jedynie Paryżem i jego przyjemnościami. — Ani śladu powagi, zastanowienia. — Był to jeszcze dzieciak, lecz dzieciak do gruntu zepsuty. Zresztą powinno mi to być zupełnie obojętnem — czemże była dla mnie Ewelina? . . . — Młodą dziewczyną nieznaną, której głosu nawet nigdy nie słyszałem i którą raz jedynie widziałem z daleka.

Gdyby nie jej szalone podobieństwo do matki, czyżbym uczuwał taki strach na samą myśl o jej małżeństwie? Jedynie podobieństwo to sprawiało, że patrząc na nią, stawała mi przed oczyma moja dawna przyjaciółka i czułem w pierwszej chwili dla niej to, co byłbym czuł dla tamtej. Gdyby się znajdowała w takim położeniu? — A zresztą — co za szaleństwo! czyż byłem pewny, że tak bardzo przypomina matkę. Czasem to, co na pierwszy rzut oka wprost zadziwia nas w jakiejś twarzy, po przyjrzeniu się bliższem okazuje się tylko pewnem podobieństwem familijnem, niczem więcej.

Czy podobne zdarzenie będzie miało tu miejsce? Czy zobaczę dziś córkę Antoniny? Im więcej powóz nasz zbliżał się do willi Vertobane, tem więcej wzrastała we mnie chęć ujżenia Eweliny. Czy tak jak rano wruszy mnie i teraz spotkanie z nią? Gdy zatrzymaliśmy się przed domem, niepokój mój wzrósł do najwyższego stopnia. Kilka powozów stało przed bramą. René rozpoznał odrazu faeton hrabiny Muriel. — »Co za szczęście!« — zawołał — »Ewelina Duvernay jest tutaj!«

Była tam w istocie i od pierwszej chwili nie widziałem nikogo, prócz niej, w tym salonie pełnym gości. Służba nie rozniosła jeszcze światła, zmierzch zapadał powoli w pokoju pełnym staroświeckich foteli, olbrzymich rzeźbionych szaf orzechowych — bladych obrazów w ciemnych ramach — otulając wszystko w cień.

Uspodobienie moje harmonizowało z tem dziwnie, coraz większy niepokój ogarniał mnie. Uczucie jakiego doznałem rano w ogrodzie nie tylko że nie zniknęło, lecz przeciwnie wzrastało z każdą chwilą. Szczęśliwym trafem Ewelina, razem z gospodynią domu i dwoma paniami, których nazwisk nie przypominam sobie, siedziała koło kominka, niedaleko wejścia tak, że przyszedłszy zostałem jej natychmiast przedstawionym i mogłem usiąść naprzeciw niej. Montchal podszedł śmiało i postawiwszy krzesło koło fotelu młodej dziewczyny, umieścił się na niem wygodnie. Sposób, w jaki przyjmowała jego nadskakiwanie, nie pozwolił mi wątpić na chwilę, że bezsensowy jego projekt małżeński niema tu najmniejszej racyi bytu. Widocznem było, że jest jej całkiem obojętnym. Lecz czy interesuje się kim innym? Czego pragnie ona? O czem marzy? Jaką jest? — Podczas mej półgodzinnej wizyty stawiałem sobie bezustannie te zapytania.

Obserwowałem ją badawczo — starając się przytem nie przerywać rozpoczętej rozmowy z gospodynią domu. -- Na szczęście gadatliwa pani Vertobane — szczupła, wysoka Marsylijka — należy do typu kobiet bardzo wygodnych do rozmów na fixe'ach. Stawiając pytanie, sama na nie odpowiada tak, że rozmowa z nią

ogranicza się tylko na słuchaniu, lub udawaniu że się słucha.

Mogłem więc całkiem swobodnie przyglądać się memu vis-à-vis, odnajdywać w jej rysach podobieństwo do ukochanej zmarłej, tak, jak w kopii obrazu znajduje się podobieństwo do oryginału.

Antonina — moja Antonina, ta, którą kochałem i Kocham, która dla mnie była wszystkim, była daleko bledszą. Cera jej nie miała tego odbłyску różowego, tego wdzięku młodości. Lecz co znaczy rumieniec młodości, wobec rumieńca, który nagle oblewa twarz całą luną szczęścia, na widok ukochanej istoty.

Oczy Antoniny miały lekkie ciemne obwódki, których nie dostrzegalem w wesołych oczach Eweliny. Lecz były to te same spojrzenia, te same źrenice błękitne, zarazem łagodne i energiczne, pełne niewytłumaczonego wyrazu pieśczoły i namiętności, czulości i dumy. Antonina nie śmiała się nigdy tak dziecinnie i swobodnie. Lecz były to te same usta ponsowe i pełne, zdradzające namiętność trzymaną ciągle na wodzy. Policzki Antoniny były szczuplejsze, więcej ściąęte, lecz miała ona przy uśmiechu te same dołeczki na brodzie i na twarzy.

Ewelina ma po matce czoło myślące, złote włosy, drobne ręce i nogi, smukłą figurę i w całej postaci coś przejmującego, denerwującego, co było głównym rysem charakterystycznym u Antoniny. Głos jej jest świeższym, jaśniejszym w wysokich tonach, mniej głębokim w niskich. Lecz ma ten sam sposób zawieszania go podczas mowy, ten sam sposób używania go.

Mało mieszała się do ogólnej rozmowy, lecz po kilku słowach mogłem ją natychmiast scharakteryzować. Każdy raz gdy przemówiła, mało zwracałem uwagi na słowa, wsłuchując się w dźwięk jego, tak bardzo podobny do dźwięku głosu tamtej, która przemawiała do mnie tak słodko, tak czule.

Chciałbym mieć prawo pozostania sam na sam z tem dzieckiem, podczas tej szarej godziny. Prosiłbym ją o wymówienie paru zdań, nigdy dla mnie niezapomnianych, wrytych głęboko w mem sercu. Powiedziałyby mi to na tle zapadającego zmierzchu.

Patrzyłbym na nią, lecz słuchał i widział »inną«. Zdawało mi się, że »ją« widzę i słyszę w tym salonie ciemnym, pogrążającym się w coraz większy cień. Zatoniony w myślach, nie spostrzegłem nawet zbliżenia się osoby wysokiej, tęgiej, w której poznałem zaraz towarzyszkę rannej przechadzki Eweliny. Przedstawiony hrabinie Muriel, rozmawiałem z nią dość długo. Przy rozstaniu rzekła mi:

— »Pobył tutaj jest bardzo miły. W naszej willi spędzamy czas bardzo przyjemnie. — Jeżeli zechcesz pan nas odwiedzić, zastanie nas pan prawie codziennie rano po śniadaniu.

*

*

*

— »No?... — spytał mnie René, gdy wyszliśmy z willi Vertobane. — Jakie wrażenie sprawiła na tobie panna Duvernay? Trochę zimna — nieprawdaż — ale zachwycająca«.

— »Zachwycająca« — odpowiedziałem, starając się przybrać ton możliwie obojętny. — Biedny chłopiec, nie przypuszczał nawet, że z powodu słów jego »trochę zimna« i »panna« — które dowodziły, że odczuł zachowanie Eweliny, przebaczyłem mu wszystko, co mi nagadał rano o swych projektach matrymonialnych.

Czemuż poznałem Ewelinę w towarzystwie jego. Możliwym jest, że antypatya, jaką odczuwa dla niego, spłynie na mnie? — Chociaż?... Spotkanie nasze nie wywrze przecież żadnego wpływu na jej przyszły los — czuję, że długo nie będę w stanie przebywać w jej towarzystwie.

Zanadto przypomina mi ona minione szczęście!.. A jednak boli mnie myśl, że osoba z twarzą Antoniny mogłaby być mi niechętną. Musi mnie polubić...

Wszak to tylko złudzenie — cień!...

III.

Hyères, 2. lutego 1893.

To co się stało, jest mi wprost niemożliwym do pojęcia — jest niespodzianką tak nieoczekiwaną, że całą siłą woli zbieram myśli, by to pojąć — by uwierzyć, że wszystko jest prawdą, że tu w tym pokoju hotelowym słyszałem Montchal'a, że mówił do mnie słowa, które brzmiały mi jeszcze w uszach. Ależ tak, słyszałem je tu, wśród tych czterech ścian, siedząc przy oknie, przez które widzę rysujące się w oddali kontury dzwonicy Castebelle. — Widzę też świerki i cyprysy, okalające willę »des Cystes«. — Wszystko więc jest prawdą. — Lękam się, że stracę zmysły.

Nie można mieć dwóch zdań pod tym względem. Muszę się sam przekonać, czy się nie mylę. Muszę sam rozpatrzeć się w sytuacji.

Cała potęga w słowach usłyszanych przed chwilą, powtarzanych przez wszystkich.

Ewelina kocha mnie! — Czuję, że to jest prawdą! Kocha, lub zaczyna kochać! — Więc to prawda?!...

Ewelina mnie kocha? — Czy byłoby to skutkiem znajomości kilkotygodniowej, której niebezpieczeństwa nie przewidywałem. — Czy doprawdy nie przewidywałem? — Czyż nie czułem od pierwszej chwili, że nadzwyczajne jej podobieństwo do »tamtej« wywiera dziwny wpływ na mnie? Wszystko — wszystko sprzyjało naszemu zbliżeniu.

W tem małym miasteczku nadmorskiem powietrze zdaje się być inne, cieplejsze, łagodniejsze niż gdzieindziej, upaja, oszołomia, zresztą czy ja wiem co tu działało? Mogę sobie oddać sprawiedliwość, że nie pragnąłem tego, co się stało, chciałem tylko przeżyć parę chwil w złudzeniu, że młodość ma wróciła, że odżyło wszystko, com uważał za stracone, że widzę me zgasłe szczęście, że patrzę w twarz mej Antoniny. Pokusa była zbyt silna dla serca niewyleczonego dotychczas — cierpiącego teraz z podwójną siłą, czującego jednak zarazem, że słodki balsam spływa na niezagojoną ranę. Gdyż to tylko miałem na myśli. Było to niewinne złudzenie — przynajmniej miałem je za niewinne.

Było to jak gdybym prosił żywą do zastąpienia mi na chwilę zmarłej. — Była to poprostu niewinna chęć oszołomienia się, choć na dni kilka, jak gdybym posia-

dał siłę magiczną, kazał żyć, poruszać się portretowi zmarłej, nieodżałowanej osoby.

Jak można się oprzeć czarowi, oprzeć w warunkach tak pomyslnych, jak te, które mi towarzyszyły?

W małym zamkniętym kółku towarzyskiem, niekomunikującym się z hałaśliwym sąsiedztwem Nicei i Cannes, wszyscy znają się bardzo dobrze. Jedni z drugimi wiecznie przebywają.

Od chwili poznania Eweliny u państwa Vertobane, dzień jeden nie upłynął, bym nie upajał się cudownym złudzeniem, jakie mnie ogarnęło na jej widok. »Antonina« mówiła do mnie, śmiała się, żartowała. Z początku »ją« tylko widziałem. — Ewelina wykonywała czasem ruch jakiś, wymawiała słowa tamtej, zapominałem o terażniejszości, żyłem »tamtą«. Była to Antonina w każdym calu, taką, jaką kochałem, ta która życie poświęciła swej miłości. — Raz ofiarowałem młodej dziewczynie bukiet fiołków. Przycisnęła je do ust, oddychając niemi z tem samem przymknięciem powiek, z tem samem drżeniem nozdrzy, jakie u »tamtej« widziałem. W uśmiechu jej widziałem wdzięk »tamtej« — to samo pochylenie głowy, te same dołeczki na brodzie i policzkach. Patrzyłem, upajałem się jej obecnością. — Czyż mogłem wiedzieć, co się budzi w sercu młodej dziewczyny, w chwilach podobnych?

Wszak byłem całkiem nieprzytomny — obecność jej, to szalone podobieństwo, upajało mnie, jak haszysz, żyłem tylko przeszłością!...

Osoba z usposobieniem mniej skrytem jak panna Duvernay, nie mogłaby mnie tak długo utrzymać w nie-

pewności, odgadłbym wszystko, co czuje, lecz Ewelina jest milcząca jak matka, uważająca jak matka — nie zdradza się nigdy ze swemi myślami.

Dlatego nie wyczytałem nigdy w jej oczach miłości, jaką w niej począłem wzbudzać.

Powinienem był jednak to przewidzieć — odgadnąć, że podobieństwo fizyczne pociągnęło za sobą podobieństwo duchowe. Ewelina miała serce równie czułe i wrażliwe jak matka. Było więc nieuniknionem, że te same powody pociągną za sobą te same skutki.

Zachowanie się moje wobec Eweliny było takie same jak niegdyś wobec Antoniny, musiało przecież sprawić na niej wrażenie.

Czemuż nie przewidziałem tej ewentualności, prawie pewności? Do czegoż teraz doszedłem?

Ja sam, tylko ja jestem tu winien. Zajęty swemi myślami, czemuż nie zastanowiłem się ani razu, do czego dążę? Codzienne widywanie się z nią było dla mnie słodkim snem, halucynacją... dla niej prawdą. Teraz obudziłem się. Co będzie dalej?...

Gdybym chociaż sam tylko był odgadł budzące się uczucie w jej sercu. Lecz wypadki wczorajsze i dzisiejsze nie pozwalają mi wątpić ani chwili, że miłość jej jest tajemnicą ogólną.

Wszyscy znający Ewelinę i mnie, widzieli oddawna to, na co ja byłem ślepy.

Drobny przypadek otworzył mi dopiero oczy na wszystko. Całe szczęście jeszcze, że trafiłem na człowieka, który mimo swych wielkich wad — zepsucia — podejrzanych znajomości — próżności, zachował szla-

chetność uczuć pod niektórymi względami. Zaczęło się to wszystko wczoraj. Właśnie spotkałem hrabinę Muriel z obu starszemi córkami Anną i Matyldą i przyłączywszy się szedłem z niemi do cukierni »Rumpelmayer« w nadziei spotkania tam Eweliny z dwoma młodszemi kuzynkami, Różą i Ludwiką.

Przybyliśmy zapóźno — panny już pojechały do domu. Żegnałem się z hrabiną siadającą do powozu — gdy matka Renégo, pani Montchal przechodziła ulicą. — Zatrzymując się, by przywitać panią Muriel, ukłoniła mi się ruchem głowy tak dumnym i niechętnym, że nie wiedziałem wprost jak sobie to tłumaczyć.

»Co jej zrobiłem?« pytałem siebie. Naprózno zachodziłem w głowę nad znaczeniem niegrzecznego ukłonu pani Montchal — którą mam jako zbyt dobrze wychowaną i myślącą kobietę, by mi to zrobiła bez powodu. Sumienie nic mi nie wyrzucało — przestałem o tem myśleć — gdy następny fakt upewnił mnie w przekonaniu, że zachowanie pani Montchal miało realną podstawę. Popołudniu nie wiedząc co z czasem zrobić, wstąpiłem do klubu. René siedział tam jak zwykle; przy partyi pokera.

Zbliżyłem się, chcąc przyglądać się grze i nie uszło mej uwadze, że obecność moja podziałała nań denerwująco. Mylił się co chwila. Znając jego sławę, jako najlepszego pokerzystę, zdziwiłem się niemało niepowodzeniem dzisiejszem.

Zarumienił się przytem silnie — zachowanie jego, ruchy rąk, ramion, głowy zdradzały nadzwyczajne rozdrażnienie. — Było to tak widoczne i nagłe, że jedynie

mojej osobie mogłem przypisać przyczynę jego wzruszenia. W kwadrans potem fakt na pozór drobny, upewnił mnie w mych podejrzeniach. Siedziałem w rogu czytelnicy przeglądając pisma. René przeszedł salę, kierując się ku wyjściu, widział mnie, nie zbliżył się jednak, by się ze mną pożegnać. Miał więc jakąś urazę do mnie? — żał jakiś niesłuszny. Ale jaki?...

Wreszcie co mnie może obchodzić gniew pani Montchal i jej syna, zbyt wiele mi na nich nie zależy.

Lecz jaki powód był ich gniewu? Śmiesznem jest przyznać, że myśl o nich prześladowała mnie przez cały wieczór wczorajszy i dzisiejsze rano jak dręcząca zagadka, której rozwiązać nie jest się wstanie.

Trzymając się zwykle zdala od wszelkiego towarzystwa, prowadząc życie samotne, po śmierci Antoniny nie oswoiłem się z różnego rodzaju dobnymi przykrościami, będącemi nieodłącznym następstwem znajomości bywania w świecie. Kółko męskie, w którym się obracałem, nie bierze zwykle udziału w ploteczkach wypełniających wolny czas od zajęć wielu starszych pań i pańien; prawdopodobnie i tutaj zachodził ten sam wypadek. Pani Montchal znająca dobrze panią Muriel, skorzystała z tego, by mi utrudnić bywanie w willi des Cystes. — To nagłe oziębienie stosunków zawdzięczam pewnie jakiemuś oszczerstwu? Lecz dlaczego René współdziałał z matką — dlaczego postępował w ten sposób? Czyżby przypisywał memu wpływowi traktowanie go obojętne przez Ewelinę? — Czyż mnie obwiniał o stawanie na poprzek jego planom? Planom? Czy miał je wogóle?... Zadawałem sobie te pytania dziś rano około

godziny jedenastej, jadąc konno drogą nad morzem. Zatrzymałem konia, skręcając w bok w stronę miasta, gdy nagle ujrzałem jakiegoś jeźdźca, błędzącego po małym lasku sosnowym, dzielącym morze od wioski Accapte. Przyglądając się baczniej, poznałem kasztanka Montchal'a. — Od czasu mego wyjazdu do Hyères odbywaliśmy zwykle razem długie spacery, nie dziwnego więc, że widząc go, zbliżyłem się doń. Trafiła się przytem doskonała sposobność do wyjaśnienia wszelkich nieporozumień, zaszłych wczoraj. Podciąłem konia, zawracając do lasku. Ponieważ klacz moja prędeż chodzi od jego kasztana, przytem piasek tłumi odgłos kopyt, więc w krótkim czasie zrównałem się z nim niespostrzeżenie. Przywitałem go swobodnie, czyniąc mu przyjacielską wymówkę, że nie uprzedził mnie o swej wyprawie dzisiejszej. Odpowiedział mi z miną zaambarasowanego człowieka, który niema potrzeby spowiadania się ze swych czynności ludziom obcym, tonem bardzo grzecznym, w którym jednak czułem ukryty żal i urazę. Prawie równocześnie przyspieszył biegu konia, jadąc w pełnym pędzie, jak gdyby chciał urwać rozmowę.

Podążyłem za nim i czas jakiś pędziliśmy obok siebie, starając się prześcignąć wzajemnie. Przy końcu lasku, na rozległej polanie koń mój zatrzymał się nagle. Spostrzegł duży rów, napelniony wodą, zląkł się go i stanął dęba. Ze zdziwieniem, które mi wydarło podwójny okrzyk: »jesteś szalony Montchal!« — »jesteś szalony«, ujrzałem go podnoszącego szpicrutę i z całej siły uderzającego mego konia, który gwałtownie skoczył na bok. Potem zanim miałem czas ochłonąć ze wzruszenia,

ścisnął swego ostrogami, uderzył go też silnie i zniknął znów w lasku w pełnym galopie pędząc, jak gdyby uciekał przed wielkiem nieszczęściem.

Nie starałem się gonić za nim, będąc przekonanym, że w stanie szalonego rozdrażnienia w jakim się znajdował i w jakie, muszę dodać, i mnie wprowadził, moglibyśmy obaj doprowadzić naszą rozmowę do nader niemiłych i zapewne niepotrzebnych rezultatów.

Po ochłonięciu wzajemnem mogliśmy tego łatwo uniknąć. — Przytem liczyłem wiele na różnicę wieku nas dzielącą, która nie pozwoli mi postąpić niestosownie. Wracając zamyślony przez las, zdenerwowany zadawałem sobie bez przerwy pytanie, co mogło być przyczyną jego postępowania? — »Sprawa doprawdy śmieszna — mówiłem sobie — co ten chłopak chce ode mnie? Nie mogę tego chyba brać na seryo? — Zresztą kogobym wziął na świadka? — Ależ to szaleństwo! Boże! jakie szaleństwo. Co mu się stało biedakowi?«...

Po raz pierwszy w życiu przy mej przenikliwości nie odgadłem całej prawdy, części jej tylko się domyślając.

Mimowolny wybuch złości, którego się stałem ofiarą, miał prawdopodobnie źródło swe w miłości. W dwudziestym siódmym roku życia, czy może nas co prócz miłości tak silnie poruszyć?

Pomiędzy nami stanęła kobieta, któraż inna jeśli nie panna Duvernay? Domyślałem się tego, lecz myliłem się co do samej istoty tego żalu.

Złość jego nie pochodziła jedynie z powodu zimnego traktowania go przez pannę Duvernay.

Prawdopodobnie brała tu udział miłość i zazdrość?

»Ależ tak — powtarzałem sobie. Zakochał się w niej na seryo i jest zazdrosny o me częste bywanie w jej domu. — Jest to bardzo naturalne. Nie wie o niczem. — Co nie jest konsekwentnem, to to jego postępowanie w ten sposób, to lekceważenie skutków jakie jego zachowanie może pociągnąć za sobą. Świat będzie szukał przyczyny naszej sprzeczki i znajdzie ją. Nazwisko Eweliny będzie wmieszane w różne plotki; za jakąkolwiek cenę trzeba przeszkodzić temu. Sprawa ta powinna absolutnie pozostać dla wszystkich tajemnicą.«

»Wszystko zależy od świadków. Ale których wziąć?«

I znów powtarzałem tę samą piosnkę: »Boże, jakie to głupie, jakie głupie!«

Potem kończyłem: »W każdym razie dosyć jest w tem i mojej winy. Zanadto interesowałem się nią, nie myśląc, że zwracam tem ogólną uwagę i narażam ją na przeróżne podejrzenia. — Czemuż nie myślałem o tem, że świat nas bacznie obserwuje?«

Wyrzuty sumienia, że mą nieuwagą dałem pretekst do awantury kompromitującej młodą dziewczynę — i jaką młodą dziewczynę! — powiększyły się jeszcze szaloną obawą.

Jeśli sprawa się choć trochę rozgłosi, skończą się cudowne chwile ostatnich tygodni, skończy się me upajanie jej towarzystwem. Pani Muriel zamknie swój dom przede mną.

Trapiony temi myślami wróciłem do domu i zamknąwszy się po śniadaniu w mym pokoju, gdzie piszę ten mały pamiętnik i notuję dzisiejsze zajście, — począ-

łem głęboko zastanawiać się nad ważnością sytuacji, by nie zdecydować nic, co by mogło pogorszyć sprawę.

Rozmyślałem właśnie nad trudnym zadaniem wyznaczenia świadków, gdy portyer hotelowy przyniósł mi bilet wizytowy, na którym ze zdziwieniem i radością wyczytałem nazwisko René de Montchal. W minutę potem sprawca moich wszystkich kłopotów wchodził do mnie, zarumieniony, zdenerwowany, lecz z wyrazem męskości i stanowczości w twarzy, z powagą nie widzianą u niego dotąd jeszcze.

— »Nie spodziewałeś się mnie zobaczyć — spytał. Lecz chciałem uprzedzić wysłanie świadków do mnie, by wszystko załatwić, o ile można cicho, pomiędzy mną a tobą tylko. Nie byłem panem samego siebie przed godziną — nie umiałem się pohamować. Przychodzę wyrazić ci cały mój żal z tego powodu i ofiarować wszelką satysfakcję jakiej zażądasz«.

— »Podaj mi rękę — odrzekłem mu — wyciągając dłoń swoją — i puśćmy wszystko w niepamięć.

Byłeś rozdrażniony — nie można tego brać na seryo.

Wszystko już przebrzmiało.

Mówmy o czem innym«.

»Nie — odrzekł, ściskając kurczową mą dłoń — mówmy właśnie o tem. Postępowanie me terażniejsze, przyjdzie tutaj, daje mi do tego prawo — nakazuje mi nawet tak uczynić.

»Ach kosztowało mnie to — nie kryję — kosztowało wiele!

»Matka moja, tak surowa w sprawach honoru, poradziła mi tak uczynić, by niczyje imię nie było wmieszane pomiędzy nas obu...

»Malclerc, widzisz, że postępuję z tobą zupełnie szczerze, czemu ty nie postępowałeś szczerze ze mną?«

— »Ja nie postępowałem szczerze z tobą?« — zawołałem. — Jakkolwiek nie wymówił imienia Eweliny, domyśliłem się natychmiast o co mu chodzi. Aluzya była zbyt jasna, jasne też różnice w jego uczuciu dzisiejszem, a tem jakim był przejęty przed mym przyjazdem. Przedtem widział w Ewelinie tylko dobrą partyę, dziś patrząc na me zajęcie się nią, dostrzegł jej czar i wdzięk, pokochał ją. Antypatya nagła jaką uczuł do mnie, złość niepohamowana mogła tem jedynie być wytłumaczoną. Popelniwszy jednak głupstwo zaczął również jak ja niepokoić się następstwami. Chciał zapobiedz im, a zarazem prawdopodobnie za radą matki, dowiedzieć się dokładnie o mych planach na przyszłość.

Jakkolwiekby rozmowa taka kosztowała mnie wiele, nie było sposobu uniknięcia jej. Chcąc ją przynajmniej skrócić o ile możności, dorzuciłem szybko:

— »Pytaj mnie więc — to będzie najlepsze — pytaj o wszystko i sam dojdiesz do przekonania, że zachodzi pomiędzy nami tylko nieporozumienie, nic więcej.«

— »Gdyś przybył tutaj — zaczął Montchal, — przypominasz sobie, żem wspominał ci o zamiarach małżeńskich planowanych przez matkę dla mnie?... Wahałem się długo, lecz matka mimo to nie ustawała w naleganiach. Zwierzyłem ci się wtedy. Powiedziałem ci nazwisko młodej osoby, do której się one odnosiły.«

Zawahał się, potem dodał gorzko: »Gdy sam zaczęłaś się nią zajmować, czyż nie było twym obowiązkiem uprzedzić mnie o tem? Czy można nazwać do-brem, podobne postępowanie? Być przedstawionym jej przeze mnie, a potem nic nie mówiąc, działać na własną rękę? Gdybyś mi był otwarcie, po przyjacielsku wyznał, że myślisz też o niej i chcesz się starać o nią, nie czułbym najmniejszego żalu do ciebie. Czuję go tylko z powodu twego milczenia i przyznaję szczerze, czuję i w tej chwili«.

— »I miałbyś kompletną rację — odrzekłem mu — gdyby to było prawdą. Lecz to jest nieprawdą. Wszystko to odbywało się tylko w twojej bujnej fantazyi. Mogę ci wyznać tyle, że uważam pannę Duvernay za bardzo miłą osobę, że z wielką przyjemnością rozmawiam, patrzę na nią, lecz nie mam najmniejszego zamiaru poślubienia jej«.

— »Zatem dlaczego rozkochałeś ją?« — zawołał Montchal boleśnie.

— »Ja? — wykrzyknąłem — ja ją rozkochałem?«...

— »Ale wiesz dobrze o tem« — odrzekł — i całe Hyères mówi o tem. Nie trzeba być zbyt dobrym obserwatorem by to spostrzedz.

»Od czasu twego przyjazdu usposobienie jej zupełnie się zmieniło. Dawniej była wesoła i rozmowna, teraz stała się milczącą i zamyśloną. Nigdy nie była zbyt łąskawą dla mnie — teraz jest wprost odpychającą... Gdy masz przybyć gdziekolwiekbądź i spażniasz się, widocznem jest jej oczekiwanie i niepokój.

»Przybywasz wreszcie — stara się być ciągle koło ciebie. — Wygłaszasz jakie zdanie przy niej — przyjmuje je bez zastrzeżeń... Jednego dnia — czemu nie mam ci tego powiedzieć? — była z ciotką z wizytą u nas. Zaczęto mówić o tobie, a ja począłem cię naumyślnie krytykować. Cóż chcesz? Byłem rozżalony!... Zaczęła cię bronić z zapalem niezwykłym przy jej spokojnem usposobieniu!

»Nagle spostrzegła się sama, że zdradza się tym sposobem. Przestała mówić, twarz jej oblała się silnym rumieńcem. Gdybyś ją widział płonąca tak na twe wspomnienie, nie przeczyłbyś memu twierdzeniu, że ją rozkochałeś!... »Mówił dalej — ulgę sprawiało mi to wyznanie, mary nikły, wielki smutek i rozżalenie czułem w jego mowie. W miarę jak wymieniał poszczególne fakta, sceny zdradzające stan serca Eweliny, każde słowo budziło w mym umyśle nowe wspomnienie, obrazy powstawały, mnożyły się z niepospolitą siłą, drobne nic nie znaczące zdarzenia nabierały teraz wielkiego znaczenia. Wszystko, czego dawniej pochłonięty wspomnieniami przeszłości, nie starałem się nawet zrozumieć, dziś wyjaśniało mi się nagle. Widziałem dawną Ewelinę uśmiechniętą, pierwszego wieczora naszej znajomości i inną Ewelinę, tą, z którą przedwczoraj przechadzałem się po parku, patrząc na mnie swemi smutnymi oczyma, o ustach boleśnie zaciśniętych i zmarszczką na czole.

Czy to może być, bym ja był przyczyną zmiany tego wesołego dziecka, w poważną kobietę?

Przypominam sobie teraz, że dnia jednego spóźniwszy się na wieczór do nich, zauważyłem u niej silne

zdernerwowanie, zdawała się patrzeć na mnie z wyrzutem, wspomniała nawet o mej niepunktualności.

Zeszłego tygodnia umówiliśmy się z jej ciotką, że z całą rodziną wybierzemy się dla zwiedzenia starych ruin rzymskich Pomponiana, przy wejściu do lasku Costebelle nad brzegiem morza. Z powodu spóźnienia zegarka, nie stawilem się na czas w willi »des Cystes«, udałem się więc prosto do ruin. Uderzyło mnie wtedy niezwykle wzruszenie, które ogarnęło Ewelinę, gdy ujrzała mnie zbliżającego się ku niej. Podczas tej wycieczki, jakkolwiek nie mam najmniejszego zamiłowania do roli cicerona, zacząłem oprowadzać panie, opowiadając przytem o Rzymie i mych podróżach po Włoszech. Słuchała mnie z wielką uwagą. Dziś przypominam to sobie dokładnie, dziś dopiero!

Wtedy jednak uszło to mej uwadze, nie zważałem na to zupełnie. Przebywając z Eweliną, myślałem ciągle o »tamtej«. Nie o niej myślałem, mówiąc z nią. Słowa Rénego przywróciły mnie gwałtownie do opamiętania się, nie powinienem był przecie o tem zapominać!

Stworzenie, wobec którego pozwoliłem sobie na tę grę wspomnień, było przecież żywe, czujące!...

Chciałem w niej jedynie widzieć portret ukochanej zmarłej — portret ten jednak czuł i cierpiał!

Teraz wszystko jasno stanęło mi przed oczyma! — przeraziłem się własnych czynów!

Pohamowałem się całą siłą woli, by mózdz Montchal'owi odpowiedzieć zupełnie spokojnie, by nie zdradzić tego co mi w tej chwili rozdzierało serce:

— »Widzisz mnie oszołomionego twem wyznaniem mój drogi René. Szczęściem wszystko jest wytworem twojej bujnej fantazyi... powtarzam ci... Jeśli nie fantazyi, to plotek mieszkańców Hyères. Trzeba, by przestali zajmować się mną... Dwie rzeczy widzę jasno po zakończeniu naszej rozmowy. Jedno, że postąpiłaś sobie w najwyższym stopniu szlachetnie, nie chcąc dawać nowego powodu do komentarzy... a drugie, że na przyszłość postaram się być uważniejszym i z powodu mej nierozwagi nie narażać panny Duvernay na gadanie ludzkie!...«

Potrząsał głową niecierpliwie.

Ten chłopak, którego zawsze posądzałem o tyle lekkomyślności, zbytnej swobody w pojęciach i postępowaniu, wydał mi się w tej chwili tak delikatnym i uszlachetnionym miłością, która go opanowała! Bezinteresowność uczucia i chęć poświęcenia się dla niego, dodawała mu jeszcze więcej rycerskości.

— »Nie jest wytworem mej imaginacyi, rzekł mi poważnie. Sprawa jest bardzo, bardzo ważna. Jeśli w istocie nie masz zamiaru poślubienia panny Duvernay, wyjedź natychmiast z Hyères. Powinieneś to zrobić« i patrząc mi badawczo w twarz — dodał: »powinieneś to zrobić«.

Hyères 3. lutego.

»Powinieneś« — »powinieneś!«

Tak, powinienem; jest tu głębsza powinność niż przypuszcza ten dzielny chłopak, tak naiwny, tak szlachetny w swem postępowaniu.

Tak, muszę stąd odejść! — Gdyż prawdą jest, że Ewelina mnie kocha. Wiem o tem. Widziałem to. Nie

mogę w to wątpić, tak jak nie wątpię we własne istnienie. A przytem — rzecz straszna, szalona! — czy ośmielę się wyznać ją nawet samemu sobie?...

Choć, czemużby nie?... wszak wiem z góry, że nie ulegnę temu... Jednak pozostanie to straszmem — monstrualnem. — Ja także... także ją kocham!...

Kocham ją? Jako?... Jaką miłością? — Niezrozumiałą dla mego serca — gdzie przeszłość zlewa się w jedno z terażniejszością. Uczuciem dziwnem, niepojętem, w którym wspomnienie tego com niegdyś przeszedł, miesza się ze straszmem, namiętmem pragnieniem przeżycia tego raz jeszcze. W jaki sposób mogłem nie spostrzedz, że staczam się z zamkniętymi oczyma w przepaść! Jak mogłem być do tego stopnia nierozsądnym, by uwierzyć, że gram grę, którą każdej chwili będę mógł przerwać — jak mogłem nie odczuć, że z dniem każdym, każdą godziną przywiązywałem się coraz silniej?

Szalony! jak mogłem w jedno łączyć wspomnienie dawne z terażniejszością — jak mogłem wmawiać w siebie, że w twarzy jej odszukuję rysów tamtej, jeśli czar jej młodości upajał mnie inną nieznaną dotąd rozkoszą?

Czy podobne są do pocałunków dawnych — pocałunki złożone teraz na ustach tak podobnych, a jednak innych — pocałunki, których żar czuję jeszcze w tej chwili na swych wargach?

Nie wiem — nie wiem już nic. Wiem tylko, że nowa fala mnie unosi, że dziecko to, które miało być dla mnie tylko marzeniem, snem przeszłości — lekarstwem stęsknionej duszy, wcisnęło mi się w serce — mózg, opę-

tało całe me jestestwo, napawając je bolesną a jednak tak rozkoszną świadomością kochania!

Wiem dobrze, że porzucenie jej, ucieczka od tego miasta, w którym ona przebywa, od miejsc, w których mogę ją spotykać, będzie dla mnie straszną, straszną chwilą. Będzie znów powrotem do melancholii, samotności, zarazem jednak i do rozpaczyny! — Wiem jednak że muszę tak postąpić, gdyż byłem kochankiem jej matki! Tak jest, byłem nim! Jestem nim dziś jeszcze po siedmiu latach w mych myślach, wspomnieniach — w najskrytszych tajnikach mej duszy.

Niepohamowana namiętność, która mnie dziś ogarnia, nie jest nową chorobą, która się zaczyna — jest dawną, która trwa bez przestanku. Pożądani zmarłej, zmartwychwstałej w tej żywej!...

Nie! Nie chcę — nie powinienem trwać dalej w tem szaleństwie. Kochać jedną miłością matkę i córkę nie jest już zbrodnią — jest grzechem wielkim, straszniejszym niż zbrodnia, jest »kaziroduztwem«. — Nie, nie, nie! Nie popełnię go!

By wyleczyć się, powinienem odejść natychmiast, nie widzieć jej więcej. Teraz, gdy pojąłem tajemnicę mego serca, gdy zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, nie mam sił do walczenia z uczuciem, gdy patrzę na nią. Z jej spojrzenia, ruchów, tonu, głosu, samej obecności — tak jak dawniej z obecności tamtej — wieje jakiś dziwny, niepojęty czar ubezwładniający mą energię. — Widok jej wystarczy, bym zapomniał o wszystkim. Myśl, że mógłbym być kochany, tak jak byłem lat temu dziesięć, z tą samą namiętnością i tkliwością, przez tę samą ko-

bietę — wprawia mnie w stan takiego upojenia, że może doprowadzić do popełnienia najgorszych szaleństw, do pochwycenia jej w me objęcia, pokrywania pocałunkami jej oczu, włosów, ust — przyciśnięcia do serca — jak gdyby nie była istotą, którą niewinność uświęca: młodą dziewczicą, dziewczicą o duszy czystej, nieskażonej, nieznaną życia ani jego powabów; — stworzeniem, któremu całą przyszłość można popsuć jednym jedynym słowem, duszą bezbronną, której skażenie równa się zbrodni!

Już to co wczoraj zrobiłem, było niegodne!...

Po rozmowie przedwczorajszej zastanawiałem się długo i poważnie. Powziąłem wreszcie stałe postanowienie, które nakazywał mi rozum i honor.

Jednak niemożliwem mi było, dotrzymać go. Rozmawiałem: Jeśli Montchal powtarzał mi jedynie plotki słuchane w salonach, przez delikatność samą powinienem się oddalić, by oszczędzić biednemu dziecku przykrości, na które ją mą obecnością narażam; jeśli zaś w istocie zajęła się mną, potrzeba wyjechania staje się jeszcze więcej naglącą. Te »jeżeli« nie były szczere. Słowa jego wyjaśniły mi wszystko nader dokładnie. Lecz wyjaśniły mi też zmianę zaszłą w mej duszy. Radość jaka mnie ogarnęła na myśl, że Ewelina mnie kocha, brak energii wobec chęci ujrzenia jej raz jeszcze — odkryły mi straszną tajemnicę mego serca. Ta druga prawda, prawda bolesna, nieznaną do dziś dnia nawet przeze mnie samego, wzruszyła mnie i — ledwo śmiem wyznać — ucieszyła... Począłem sam siebie okłamywać. Mówiłem: Aby wyjazd mój przeciął od razu wszelkie węzły łączące nas oboje i zakończył raz na zawsze ga-

daninę ludzką, trzeba mieć odwagę wyjechania nie widząc jej więcej. To tak łatwe!

Za pretekst może mi posłużyć nagły telegram z Nicei. Poszlę ciotce grzeczny bilet przepraszający, że nie mogę osobiście pożegnać się z nią. Przybywszy do Nicei nie napiszę ani słowa. W miesiąc mieszkańcy Hyères zapomną o mnie — ona także!...

Po długiej walce wewnętrznej rozum wziął górę. Stanowczo zdecydowany byłem na wyjazd bez pożegnania. Kazałem służącemu przygotować wszystko do podróży, zażądać rachunku w hotelu, pozalać wszelkie interesa na mieście. Pociąg pociąg pociąg odchodził rano. Powiedziałem służącemu, że nim odjedziemy... Wszystko było już przygotowane. Dziś rano miałem wsiąść do pociągu wiozącego mnie do Nicei...

Nie wsiadłem, lecz po południu o drugiej godzinie, to jest w chwili, gdy byłem pewny, że zastanę Ewelinę, dzwoniłem do drzwi willi des Cystes. — Pani Muriel i panny były w domu.

Postąpiwszy parę kroków w alei, mimowoli poleciałem myślą w czasy mego pierwszego rendez-vous z Antoniną w parku botanicznym.

Ten sam dreszcz nerwowy, pragnienie ujżenia jej jak najprędzej. Te same szybkie uderzenia serca, dławienie w gardle, jak gdyby silna ręka je ścisnęła. Podobieństwo wrażeń niegdyś odczuwanych z temi, które przepęłniały mi dziś duszę, powinno było zniewolić mnie do opuszczenia tego miejsca. Jednak stało się przeciwnie, właśnie mocą tego podobieństwa, niewytłumaczona jakaś siła pociągała mnie ku niej. W tej chwili pojąłem, jakie

straszne skutki mogło za sobą pociągnąć zbliżenie się moje do Eweliny — jak zbrodniczy czyn mogłem popełnić — ku jakiemu nieszczęściu dążyłem, a jednak nie cofnąłem się!

W wielkim salonie, do którego wprowadził mnie służący, nie zastaliśmy nikogo. — Zapukał do drzwi pokoju hrabiny — nie otrzymując odpowiedzi — rzekł, że prawdopodobnie jest w ogrodzie, poszedł ją więc zawiadomić o mem przybyciu.

Zostałem sam w tym pokoju, gdzie każdy drobiazg stawał mi przed oczy Ewelinę — miejsce, przy którym zwykle siadywała — książki jej ulubione rozrzucone na stolikach, robótka rozpoczęta... Myśl, że nigdy więcej nie usiedzę tu przy niej, by napawać się jej widokiem, słuchać drogiego mi głosu — wydała mi się nagle tak bolesną!

Tak straszną! — horyzont będzie dalej roztaczał się z okien — świerki i cyprysy nie stracą barwy zielonej, morze pozostanie pięknem i wspaniałem — słońce jak dawniej złocić będzie w swe blaski małe wysepki wysuwające się w oddali — tylko ja nie ujrzę więcej jej delikatnego profilu wysuwającego się na tle drzew okalających willę.

Oparłem głowę o okno zapatrzony w przestrzeń, w modrą taflę morza... wpatrzony — nie widząc jednak nic prócz myśli rozsadzających mi czaszkę — nagle... ujrzałem tę, dzięki, której ten miły zakątek był mi tak świętym i drogim — tę, której jedno spojrzenie uspakajało me wzburzone nerwy, wlewając w duszę zbolalą ukojenie i spokój.

Ewelina szła sama, powoli, jedną z alei prowadzących do domu. Miała na głowie ten sam kopelusz ogrodowy, w którym mi się po raz pierwszy ukazała i którego duże, lekkie krysy, drżące za każdym jej krokiem, rzucały cień lekki na drobną twarzyczkę pobladłą i jakby lekko znużoną od czasu ostatniego naszego widzenia. W ręku trzymała duży koszyk pełen róż bladoróżowych, bladawych jak jej ukochana twarzyczka, które prawdopodobnie tylko co zerwała z krzaku.

Jak ona była śliczna w tej chwili, smukła, wiotka, w lekkiej fularowej sukni bladoniebieskiej, harmonizującej tak dobrze z płowym odbłyskiem jej pięknych włosów.

Głowę miała spuszczoną. Nienamysłając się długo uderzyłem ręką o okno, by zwrócić na siebie jej uwagę. Podniosła oczy, ujrzała mnie, uśmiech przebiegł po twarzy, w oczach zamigotał błysk radości. Ach! gdybym choć trochę wątpił w przypuszczenie Montchal'a — uśmiech ten i spojrzenie przekonałyby mnie jasno o prawdzie słów jego. Jak szczerze, bez kokieteryi i kłamstwa wyrażały radość, jaką sprawiałem mą obecnością tej drogiej istocie! Wszystkie me mądre postanowienia i projekta, wczorajsze i dzisiejsze, same rozplynęły się w mgłę. Miałem przed sobą stworzenie młode, śliczne, patrzące na mnie rozkochanemi oczyma, przypominającemi mi tak żywo tamte dawne spojrzenia, tamten uśmiech, którym mnie niegdyś witano.

Sposobność pomówienia z nią chwil parę sam na sam była mi zbyt silną pokusą, uległem jej bez oporu. Jedna sekunda zejścia po schodach i stałem obok niej.

— »Ciotka jest stąd niedaleko«... — rzekła po wymienieniu paru słów powitania i uściśnieniu mi ręki. Patrzałem na nią, stała przede mną cała spłoniona, wzruszona mą niespodzianą obecnością. Serce biło mi gwałtownie... Ona coraz więcej zakłopotana, nie wiedząc co robić, zwróciła się ku alei, którą szła przed chwilą, by zawołać ciotkę. Wstrzymałem ją...

— »Szuka jej właśnie służący — rzekłem — nie o nią tu jednak idzie. Widziałem panią w ogrodzie, więc zszedłem tutaj. Mam tak mało sposobności, by pomówić z panią samą!...« Słuchałem słów własnych zupełnie przeciwnych do tych, które powinienem był mówić.

Honor nakazywał mi milczenie, sumienie wyrzucało mi nawet w tej chwili me postąpienie. Ale jednocześnie widziałem ją kryjącą zmieszanie w koszyku z różami, nad którymi pochyliła się, niby w chęci ułożenia ich. Powieki jej spuszczone przypominały mi wzruszenie »tamtej«, postać jej nigdy jeszcze tak dokładnie nie zarysowała mi podobieństwa z tamtą... Za jakąkolwiek cenę musiałem zakończyć dręczące nas milczenie... Zakończyć w sposób inny niż zwykle — wszak stała przy mnie dawna, ukochana moja...

— »... Proszę, daj mi pani jedną z twych róż — zacząłem — bym zachował pamięć o tym pięknym dniu, o szczęściu spotkania pani samej jednej tu w ogrodzie«.

Powieki jej spuszczone ciągle poczęły drżeć nerwowo — ręką niepewną wyciągnęła z koszyka jedną z róż, podając mi ją zupełnie na pozór swobodnie, jak gdyby nie zrozumiała ukrytej myśli zawartej w mych słowach. Spojrzała teraz na mnie wzrokiem błagalnym,

w którym wyczytałem prośbę, bym nie kończył rozpoczętego zdania i rzekła, naprowadzając rozmowę na ton zwykły:

— »Czemu nie przyszedł pan do nas wczoraj wieczór. Ciotka moja zaprosiła pana przecie?...«

— »Miałem przykrość, wielką przykrość«. Chęć jej utrzymania się w roli obojętnej, nic nie rozumiejącej w tak ważnej dla mnie chwili, — ostatniej prawdopodobnie którąśmy razem przepędzali — zachwycała mnie oraz irytowała zarazem. Pewny byłem, że nalegając wyprowadzę ją z jej sztucznego spokoju. Ach, widziałem, czułem jej wzruszenie! — czułem, że mnie kocha! — I uczucie to wznawiało mi w pamięci tyle szczęśnych chwil, tyle przebrzmiałych słów, że w chęci przedłużenia i wznowienia nowej ułudy, począłem mówić, patrząc jej badawczo w oczy.

— »Tak jest, wielką przykrość. Niemiły list od jednego z mych przyjaciół, który jest chory i sam jeden w Nicei. Muszę mu dotrzymać towarzystwa. Jadę jutro...«

— »Jedzie pan?« ... wyrzekła głosem, w którym nie zdołała ukryć wzruszenia. Gdyby świat cały zapaść się miał na dowód, że mnie nie kocha, nie uwierzyłbym, słysząc te słowa przytłumione, zdradzające nagły przypływ krwi do serca, zamierającego na samą myśl rozstania się ze mną choć chwilowego.

Olbrzymie liście palmowe, tworzące żywy dach nad naszymi głowami, pochylając się za podmuchem wiatru, zdały się nasłuchiwać słów naszych. Słońce przedzierając się przez nie, rzucało nam pod nogi koronkowe refleksy światła i cieniu.

Ogarnęła mnie niewytłumaczona, nieodczuwana od lat tylu błogość, czarowne upojenie. Dla jednej takiej chwili można poświęcić życie całe z rozkoszą. Szczęście staje przed nami — to wyczekiwane długo szczęście. Kto w takiej chwili nie potrafi go uchwycić, traci je na zawsze.

— »Tak, jadę — odrzekłem jej — i przyszedłem pożegnać się z panią«.

— »Kiedy pan wróci?« — zapytała.

— »Nigdy — odpowiedziałem — chyba, że...

— »Chyba że?...« powtórzyła. Biedne dziecko, czuło że musi dojść do rozmowy, której nie powinna słuchać. Ja czułem też, że nie mam prawa mówić jej wszystkiego co czuję, że ona nie potrafi wysłuchać tego spokojnie. Jednak zacząłem:

— »Chyba, że pani sama zechce, chyba, że każe mi powrócić«.

Jednocześnie chwyciłem ją za rękę, przyciągając ku sobie. Wyrwała się ruchem rozpaczliwym, konwulsyjnym. Wyciągnęła ramiona, chwytając za pień drzewa. Drżała na całym ciele. Koszyk z różami upadł na ziemię. Świeże kwiaty rozsypały się u stóp jej na piasku i w tej samej chwili usłyszeliśmy głos hrabiny Muriel, wołający ją z sąsiedniej alei. Ewelina uspokoiła się szybko. Płomień purpury oblał jej oblicze. Odrzekła:

— »Jestem tu ciociu«...

Potem nie patrząc na mnie, poczęła zbierać róże, by dojść zupełnie do równowagi. Nie śmiałem jej dopomagać. Stałem obok, nie mogąc ochłonąć ze wzruszenia. Gdy skończyła swe zajęcie, podniosła oczy na mnie,

swe cudne lazurowe oczy, w których mogłem wyczytać tyle szczerości, czystości, ani cienia jednak wymówki i rzekła mi:

— »Dlaczego postąpił pan ze mną w ten sposób? To niedobrze. Jednej osoby tutaj tylko możesz prosić o prawo powrotu, a tą jest moja ciotka«.

Na końcu drugiej alei szła ta ciotka, o której drogie dziecko mówiło mi i uśmiechała się pobłaźliwie, jak zwykle kobieta starsza na widok dwojga zakochanych w przededniu zaręczyn.

Gdy wyjawilem jej cel mej wizyty i projekt wyjazdu, oczy jej wyraziły wielkie zdziwienie. Spojrzała na Ewelinę. Spojrzała na mnie. Widziałem dokładnie na jej ustach pytanie, zadane mi przed chwilą przez siostrzenicę: »Kiedy pan powraca?«... Nie wymówiła go jednak. Ujrzałem szalony błąd postępowania mego dotychczasowego. Wczorajsze słowa René'go de Montchal zabrzmiały mi w uszach: »Jeśli nie masz zamiaru ożenienia się z panną Duvernay, wyjeżdżaj z Hyères — Malclerc jest to twym świętym obowiązkiem«... Poślubienie jej?... Nieszczęśliwy, nie mam prawa robić tego, nie mogę popełnić czynu zbrodniczego, kazirodztwa... A zatem me odwiedziny... zachowanie się, rozmowa dzisiejsza? — Nieszczęśliwy! nieszczęśliwy! Niech przynajmniej dzisiejsza słabość będzie ostatnią. Daję sobie słowo honoru, że pierwszym pociągami, odchodzącym jutro rano, wyjeżdżam do Nicei, nie powracając nigdy więcej do willi des Cystes... Tym razem dotrzymam je... Boże! Boże! Jak mi to będzie ciężko!

4.

Nicea, 26. lutego.

Szalony, jak mogłem przypuścić, że zniosę to, że wyrzeknę się szczęścia mej młodości, cudownie odnalezionego w chwili, gdy młodość ta kończyć się zaczyna, gdy dochodzę do wieku, w którym serce zasypia snem wiecznym. Teraz, gdy duszę mą przepelnia jedno radosne uczucie, gdy wielkie kochanie porywa mnie, unosząc do stóp jej, tej jedynej, ubóstwianej! I dlaczego? Dlaczego? Ile osób wolnych zupełnie, walczących życie całe przeciwko niewoli opinii publicznej, stało się ofiarami niewoli przesądów! Tak! dlaczego opuściłem Hyères, to ciche małe miasteczko, gdzie me biedne, zbolące serce poczęło się odradzać i odmładzać? Dlaczego rzuciłem to drogie dziecko, które mnie kochało, które ja kocham i mam bezustannie przed oczyma jak stoi oparte o drzewo, upuszczając koszyk pełen róż, cofając się przed mym uściskiem. Ona mnie czeka, woła głosem duszy, tęskni. Pocóż przyjechałem tutaj, by cierpieć, by jej sprawiać cierpienie, dręczyć się, zamordowywać wśród bezmyślnych rozrywek, bezmyślnych, fałszywych przyjaźni, fałszywych nienawiści, niezdolnych mi zapęłnić życia, nużących mnie tak strasznie.

Mogłem znieść podobną egzystencję, gdy pożerany rozpaczą po stracie Antoniny, powiadałem sobie: »Cokolwiekbyś zrobiłbym, jakkolwiekbyś żyć będę, wszystko mi jedno, wiem, że jej już nie odzyskam?...

Lecz teraz odzyskałem ją... Ona mnie chce, kocha mnie. I ja szalenie poświęcam to boskie uczucie, pło-

nać w jej sercu — dlaczego? dla kogo? Poświęcam dla przesady dzikiego, nierozsądnego. Gdzie się podziła ma dawna odwaga, z jaką wstąpiłem w świat, w jaką uzbroiłem me sumienie, rozpoczynając życie, zdecydowany do upajania się »memi« przyjemnościami, cierpienia nad »memi« smutkami, pragnienia »mych« rozkoszy, życia »mem« życiem. Kochałem, kocham matkę, ach, namiętnie głęboko! Kocham córkę! — Kocham je obie, jedną umarłą, drugą żywą. Cała prawda życiowa, cała tajemnica mego serca zamyka się w tych słowach. — Reszta wszystko jest kłamstwem.

Ale nie kocha się córki, jeśli przedtem kochało się matkę! I dlaczego? Jeśli tak czuję, nic na to nie pomoże.

Logiczne zakończenie tej sprawy wymaga, bym podeptał te stare, zaśniedziałe przesady, skrupuły bezsensowe! Ach głupie mrzonki! Coby jednak powiedziano o mnie, gdyby poznano mą tajemnicę? Ale kto?

Ta cała banda bezmyślnych dusz, któremi pogardzam z całego serca, te kobiety, ci mężczyźni, którzy potępiają słowami człowieka, ożenionego z córką swej kochanki, lecz przyjdą chętnie na ślub, jeśli się ich przyjmie wystawnie. Oni! I kto jeszcze? Te dusze zimne, nieczule, nieznające upojen, szalów, uniesień. Ależ te upojenia, szwały, uniesienia dały mi tyle szczęścia w życiu, one jedynie są coś warte — i ich się wyrzekam dobrowolnie?

Gdybym był poznał Antoninę zupełnie młodą, w wieku Eweliny, gdybyśmy się byli rozstali i po dziesięciu latach niewidzenia gdybym ją spotkał teraz będącą

w wieku, który liczyła w czasie naszych cudownych chwil, spędzanych razem przy ulicy de Sare — czy nie odczuwałbym wyrzutów sumienia, zbliżając się do niej? Czyżbym nie ukląkł przed nią w ekstazie, by ująć jej ręce jak niegdyś ujmowałem, położyć głowę na jej kolanach i szeptać: »Dzięki ci, że wróciłaś«.

Dlaczegoż mam się zapierać dziś mych uczuć z przeszłości wobec uczuć teraźniejszych, jeśli przynoszę to samo serce tej samej kobiecie? Czyż to zbrodnia rozpoczynać nowe życie, nowe szczęście? Nie, nie i jeszcze raz nie! Wszak to jedynie powrót do dawnej miłości!

Gdy mówię, że kocham obie, kłamię. Kocham tylko jedną, gdyż jest jedynie jedna. Czyż mogę je rozróżnić w mych myślach, sercu, duszy? Czy mam dla jednej jedno uczucie, dla drugiej drugie? Czyż to nie jest to samo uwielbienie tej samej piękności, to samo serce drżące do tego samego serca? Jediną różnicą jest to, że pomiędzy Antoniną a mną stawała przeszkoda łamiąca wszystko, wobec której nawet miłość czuje się bezsilną: czas. Czas nas rozdzielał — w mojej przeszłości i przyszłości — ponieważ ona żyła, odczuwała, cierpiała pierwiej niż ja i obawiała się strasznie, bym nie widział jej starzejącej się.

Ewelina to Antonina bez przeszłości, Antonina w całej pełni młodości, pragnąca kochać i być kochaną po raz pierwszy w życiu. Ach, gdyby »biedna Anta« żyła jeszcze, gdyby zaczynała się starzeć, gdybym szukał złotych blasków jej niegdyś cudnych splotów, tak kochanych przezemnie, a dziś po-

siwiałych, we włosach jej córki, jej oczu lazurowych w jasnych źrenicach jej córki, zatraconego, wdzięku młodości, w uśmiechu jej córki i gdyby zazdrość poże- rała jej serce, to serce wiecznie mnie kochające — możnaby słusznie nazwać podstępem narażenie jej na ta- kie męczarnie.

Tak jednak nie byłoby, nawet przypuszczając podobną niemożliwość. Znałem ją zbyt dobrze, szlachetność jej wielkiej duszy, nieskończone przywiązanie do mnie. Sły- szę ją mówiącą mi po dowiedzeniu się o mej miłości dla Eweliny, swym głosem harmonijnym, miękkim:

»Mnie kochasz w niej. Nie rób sobie żadnych wy- rzutów. Pozwól się unieść temu nowemu uczuciu. Pozo- staniesz mi wierny. Kochaj ją tylko szczerze. Oddając ci ją, oddaję ci się sama po raz drugi. Ona jest młoda. Będziesz ją mógł dłużej kochać, aniżeli mnie!« — Tak, przemawiała do mnie w ten sposób.

Przemawia tak do mnie. Znów mam wrażenie, że spotkania naszego z Eweliną ona sobie życzyła i ona je spowodowała, że jest przy nas ciągle niewidzialna, popycha mnie z siłą tajemniczą, szepcząc: »Idź, bierz ją!...«

Próba skończyła się. Staralem się opierać temu wezwaniu, ukochanemu cieniowi, odżywającemu, uśmie- chającemu się do mnie, wyciągając ramiona, w których mam odnaleźć nowe życie.

Moje życie!

Kogo krzywdzę, idąc ku memu szczęściu? Komu złamię przyszłość w dniu, w którym poślubię Ewelinę, jeśli ją poślubię? Jestem tym, którego ona potrzebuje,

ona jest tą, której ja potrzebuję. Miłość tamtej nauczyła mnie, jak tę kochać, jak obchodzić się z jej nadzwyczaj czułą, wrażliwą naturą... Byle tylko wybaczyła mi ten nieszczęsny nagły wyjazd, byle nie kochała mnie mniej, niż tej czarownej, niezapomnianej chwili, gdy opuściła różę, broniąc się przedemną, przed sobą samą, byle tylko... Wszystko będę wiedział jutro, jeśli zechcę.

Jutro, za dwadzieścia cztery godzin, mogę znów kroczyć białą drogą de Costebelle, pomiędzy kapliczkami zdobnemi w kwiaty. Jutro mogę znów patrzeć na jodły z Aleppo, drzewa oliwne, portal willi des Cystes pomiędzy pnąciami roślinami, anemonami, cyprysami; na aleję palmową, na dom, w którym mieszka ona — moja! I na nią. Jutro! »jeśli zechcę«!

Nicea, 27. lutego.

— »Chcę«. Postanowienie me jest silne. Godzina siódma rano. Piszę to, oczekując powozu, który ma mnie zawieźć na dworzec kolejowy. Pociąg odchodzi o ósmej. O pół do dwunastej będę w Pauline, o dwunastej w Hyères.

O pierwszej zobaczę ją. Za parę dni mogę być jej narzeczonym... O drogi cieniu, gdyby można wywołać cię naprawdę, zapytać cię, byś mi rzekła głośno to, co szepczesz mi w głębi mego serca: Kochaj ją! Kochaj ją!«...

Ach jak bardzo się boję!

BIBLIOTEKA
URZĘDNIKÓW WZAJEMNYCH W KRAKOWIE
SEKCJA IV.

V.

Spowiedź (dalszy ciąg).

Inne urywki z pamiętnika Malclerc'a.

1.

Promontogno, 24. sierpnia 1893.

Zatrzymaliśmy się tutaj na dni kilka, w połowie drogi między Engadine a Włochami, na które tak się cieszyłem, że będę je zwiedzał razem z Eweliną, nie mogąc ich niegdyś zwiedzać z Antoniną!...

Jak dziwna melancholia pożera mnie? Jakie rozczarowanie? Jaki smutek oczekuje mnie jeszcze? Jaka rozpacz ma mnie osiąść?

Co napiszę w tym biednym dzienniku, który rozpoczynam na nowo, by ulżyć sobie po tak długim milczeniu, mówiąc przynajmniej z samym sobą, tak, jak to niegdyś robiłem.

Wtedy byłem wolny. Szedłem, wracałem, bez poczucia odpowiedzialności za serce tak czułe, oddane, przywiązane do mnie do śmierci. Mogłem oddawać się cierpieniu, nie pociągając mym smutkiem skutków cierpienia drugiej istoty, cierpieć bez strasznych wyrzutów

sumienia za unieszczęśliwienie tego biednego dziecka, któremu powinienem drogę życia zasłać kwiatami i radością. Powinienem otaczać je opieką serdeczną. Dałem na to słowo, obowiązkiem mym jest dotrzymać je. Czemże jest ta opieka, jak nie branie na swe barki wszelkich ciężarów życia, odsuwanie każdej troski z jej czoła, niesienie wszelkich krzyżów, jak nazywa Ewelina każdy smutek, ona, która ma wiarę, która się modli i może w chwilach ciężkich ukłęknąć przed ołtarzem, by szukać w nim pociechy i ukojenia. Ja nie mam nikogo prócz siebie samego. Życie we dwoje ma tę złą stronę, że nie mogę się ukryć przed troskliwym okiem mej żony, nie mogę skoncentrować się w samym sobie, by uzyskać hart i siłę do znoszenia nowych ciosów. Jej słodkie oczy, okrutne w swej nieświadomości, przybierają wyraz badawczy, zazdrosnej miłości, która chce wyczytać co się dzieje w głębi duszy ukochanej istoty, odkryć ból tajony, pocieszyć go, podzielić.

Na ranę taką jak moja, na tę głębię rozpacz i bólu potrzeba jedynie absolutnego spokoju, zupełnej samotności, by niczyja ręka nie zbliżyła się do niej, nie trąciła jej, nie pragnęła jej leczyć! Niech się krwawi, krwawi, krwawi bez końca.

Od chwili, gdy siedzę przy stole, by myśli me powierzać temu zeszytowi, zdawało mi się, że rzeczywiście krwi trochę spłynęło podczas tej spowiedzi. Tak, od dawna wahałem się, czy rozpocząć znów ten niebezpieczny dziennik!

Komedia ciągle doprowadzała mnie do szaleństwa. Muszę, muszę być szczerym, kompletnie, okrutnie,

z kimkolwiek bądź, choćby z tą ćwiartką białego papieru. Wystarczy mi na to chwila skradziona naszemu sam na sam.

Muszę choć tę chwilę być szczerym! By móż się zamknąć na klucz w tym pokoju, użyłem pretekstu zmęczenia, potrzeby odpoczynku.

Wiem, że Ewelina jest tam obok w sąsiednim pokoju, cierpiąca nad mym smutkiem, wierząca, że śpię w tej chwili, nie śmiając się ruszyć, by mnie nie przebudzić. Co za poświęcenie, Boże! A ja tłumię głośniejszy oddech, nie wstaję, nie poruszam się, z obawy, by tu nie weszła myśląc, żem się obudził, by nie zapukała pytając czy mi lepiej, swym głosem poruszającym mnie do łez, który kusi mnie, by rzucić się do jej stóp i błagać o przebaczenie...

Przebaczenie — za co? Czy jest się winnym, gdy dążyło się całą siłą do tego, w co się wierzyło, co nam szczęście przynieść miało? Czy mogą poczuwać się do winy dusze zbłąkane, zbłądziwszy z pełną wiarą, z nadzieją w przyszłość, zbłądziwszy dla świętego uczucia miłości?

Serce człowieka trzydziesto-cztero letniego nie podobnem jest do tego, które miał w dwudziestym piątym roku życia. Dziewczyna dwudziestoletnia i kobieta trzydziestodwuletnia nie są te same istoty. Miłość poza ogniskiem rodzinnem nie może równać się z miłością małżeńską.

Są to dogmata, wydające mi się dziś tak jasne, tak zrozumiałe. Nie rozumiałem ich dawniej. Nie pojąłem, że niektóre tajemnice zbyt ciężą na sercu. Nie można

być szczęśliwym małżonkiem córki, jeśli przedtem kochało się matkę. Można kochać córkę, lecz w marzeniach, idealnie, z daleka jak nieuchwytny sen.

W czasie mego narzeczeństwa kochałem w ten sposób i dlatego wszystko wydawało mi się możliwem. Obie twarze, zmarłej i żywej, tak podobne jedna do drugiej w rysach, spojrzeniu, wyrazie, łączyły się, zlewały w jedną całość. Z tych obu istot jedna była tylko wspomnieniem, przeszłością. Druga nadzieją, przyszłością! Byłem naprzeciw nich jakby w zaczarowanym królestwie, których dwie posiadłości łączy wielka przepaść. Przeszedłem jedną, dążyłem do drugiej. Żyłem tylko nadzieją. Podczas przejścia z jednej do drugiej rozpoznałem me szaleństwo, fałszywą drogę, którą dążyłem, nie sam niestety!

Z dniem, w którym Ewelina została mą żoną, poznałem straszny błąd, zbudziłem się ze snów o szczęściu. Przebudzenie było nagle, gwałtowne, straszne. Do pewnej chwili Antonina i Ewelina tworzyły jedność. Od tej chwili są dwie.

Abym mógł być szczęśliwym w tem małżeństwie, dwoistość ta nie powinna była ukazać się nigdy — trzeba by ułuda, że kochanka ma zmartwychwstała trwała ciągle, nieskończenie, trzeba było...

Ach! trzeba było bym był szczęśliwy. Jedynie szczęście odpuszcza pewne grzechy, zasłania fakta. Trzeba się bezustannie upajać, by nie odczuwać okropnych konsekwencji szalonych czynów. Zresztą wszystko mi jedno co mogło przepowiedzieć mą dolę dzisiejszą. Wiem to, że ja jej nie przewidziałem! ...

Gdy pomyślę o tych wszystkich przejściach, widzę jeno, że przez cały czas mego narzeczeństwa byłem prawie nieprzytomny. Nie było to lekkie, rozkoszne oszołomienie, właściwe młodym ludziom w tym okresie, lecz dziwny, upajający stan, rodzaj słodkiego sercu marzenia, o przeszłości i przyszłości. Stan mój wyrażał się szaloną niecierpliwością, z jaką oczekiwałem dnia ślubu; niecierpliwość kochanka nie narzeczonego, czekałem, spodziewałem się rozkoszy, tak dobrze mi dawniej znanych.

W jaki sposób mogłem nie spostrzedz, nie odczuć procesu odgrywającego się w mej duszy? Żyłem, cały oddany marzeniom, z niczego sobie sprawy nie zdając, upajając się obecnością młodej dziewicy tak czystej, jasnej, nie wiedzącej o niczem, niczem zgoła.

Jednak, mimo mej ślepoty, trzykrotnie ujrzałem jasno całą straszną rzeczywistość. Trzykrotnie poznałem, to jest mógłbym być poznać, gdybym chciał, że fikcją było zlewanie dawnej miłości z dzisiejszą w jedną całość. Trzykrotnie miałem sposobność przewidzenia tej okropnej przyszłości, tego rozdarcia serca przez dwa uczucia tak różne, które zamiast zbliżyć się do siebie, rozdzielały się z dniem każdym coraz bardziej, każdą chwilą odbiegając coraz dalej od siebie, podczas gdy ja szalony nie widziałem tego, nie spostrzegłem!

Trzy fakta mogły mi łatwo rozjaśnić fałszywą sytuację w jakiej się znajdowałem. Zamknąłem oczy na wszystko i — poszedłem naprzeciw nieszczęściu!

Fakt pierwszy datuje się z dnia powrotu naszego z Hyères do Paryża; dnia tego przedstawiony zostałem

panu d'Audiguer, sławnemu zbieraczowi starożytności, staremu przyjacielowi Antoniny.

Jak często, od lat siedmiu, pragnąłem poznać tego człowieka, pragnąłem i — bałem się!...

Wiedziałem od mej ukochanej zmarłej, że jego nazaczyła wykonawcą swego testamentu. Wywnioskowałem wtedy, że nazajutrz po katastrofie wszystkie me listy popadły w jego ręce. Nie odesłał mi ich. Prawdopodobnie poleciła mu w testamencie by je zniszczył. Podejrzewałem, że przeczytał je przedtem, i nieprzezwyjęzony wstyd powstrzymał mnie od zbliżenia się do człowieka, który podszedł tajemnicę świętą dla mnie, tajemnicę, którą pragnąłem przechowywać w sercu na wieki. Obawa ta przemieniła się od dnia mych zaręczyn w okropny, śmiertelny strach. Ewelina napisała mu o naszym szczęściu. Oczekiwałem jego przybycia do Hyères.

Nie przyjechał. Odpowiedział w słowach, które dowodziły, że albo listów nie posiadał, albo spalił je, nie czytając. Gdyby nawet pozostała jaka wątpliwość co do tego, przyjęcie jego rozwiało najmniej jej ślad. Dlaczego nie mogłem na nie równie serdecznie odpowiedzieć? Dlaczego sympatya jego zawstydziała mnie? Dlaczego drżałem pod wzrokiem jasnym tego starca, odczuwając dziwne zmieszanie? Jedynie dlatego, że przypomniał mi żywo mą zmarłą kochankę, matkę mej narzeczonej. Dlaczegoż zmieszanie to zamieniło się w prawdziwe cierpienie, w miarę przedłużania mej wizyty w tem muzeum, jeśli nie dlatego, że Antonina mówiła mi tak często o niem. Widok niektórych przedmiotów stawiał mi ją tak jasno przed oczyma, na przykład ta

święta Klara Angelico'a, trzymająca palące serce w ręku. »W ten sposób chciałabym mieć zrobiony moj portret dla ciebie«... Przypomniałem sobie natychmiast to zdanie, wygłoszone przez Antoninę dnia jednego, gdy opisywała mi ten obraz, szukałem go oczyma, a znalazłszy, wpatrywałem się weń długo, długo. Wielkie wzruszenie tamowało mi głos. Zdawało mi się, że w ręku świętej widzę serce mej ukochanej.

W tej chwili Ewelina zbliżyła się do malowidła, które mnie tak zainteresowało. Pozwoliłem jej zaledwo rzucić okiem, odciągając ją gwałtownie. Czemuż obecność jej przed tym obrazem wydała mi się wprost niemożliwą, jeśli nie dlatego, że była córką »tamtej« i całe moje jestestwo buntowało się na myśl samą, że obie mają stanowić kiedyś jedną całość w mem sercu. Chyba dokładnie wszystko wiedziałem? Czemu nie usłuchałem wtedy głosu mej duszy?...

A drugi fakt, czyż nie był jeszcze więcej ważny? Pierwsza chwila w pałacu przy ulicy Lisbone, w którym zamieszkaliśmy po powrocie. Jak mogłem popełnić takie szaleństwo, by tam zamieszkać! obawiam się wprost każdego kroku tam stawianego!

Szczęściem jeszcze, pałac był wynajmowany przez obcych, podczas ostatnich lat tak, że urządzenie jego nie było takie same, jak za życia Antoniny; ale Ewelina wywoływała ciągle wspomnienia swem opowiadaniem. Oprowadzała mnie z pokoju do pokoju, przypominając sobie głośno czasy dziecinne, spędzone razem z matką, raniąc mnie każdym słowem.

Zrazu przysłuchiwałem się z pewnego rodzaju ciekawością, która potem zamieniła się w dotkliwy ból. Dzieciństwo jej przypomniało mi tak dokładnie czasy »naszej« miłości. Czułem też jak we mnie powstają uśpione wspomnienia i z każdą chwilą powiększa się różnica między obu kobietami. Obraz matki odrywał się od obrazu córki, każdym słowem Ewelina sama stawiała różnicę pomiędzy swoim a matki życiem. Mówiła:

— »Zrobiłam to tak, mama tak«.

Podobieństwo zacierało się, czułem to, widziałem dwie różne kobiety, dwie rywalki.

W chwili, gdyśmy wchodzili do małego saloniku, gdzie Antonina zwykle zamykała się, by pisać do mnie, ujrzałem postać młodej dziewczyny, odbitą w lustro nad kominkiem. Cudowne prawie podobieństwo ze zmarłą wstrząsnęło mną do głębi. Zdawało mi się, że widzę cień Antoniny, przychodzący wypędzić nas z tego pokoju, w którym marzyła tyle o mnie, czując się przezemnie również kochaną.

Głos żywej, wymawiający moje imię, mówiący mi o swej wielkiej miłości, wydał mi się profanacją mych myśli. Rzekłem jej:

— »Czuję się trochę niedobrze, chodźmy stąd«.

Wyprowadziłem ją z tego pokoju, z tego domu, aż do powozu, w którym oczekiwała nas jej ciotka. Szczęśliwym trafem pani Muriel została na dole i żadna z kuzynek nie była z nami.

Czy powinienem nazwać ten traf szczęśliwym? Czy nie byłoby lepiej, by świadek jaki towarzyszył tej scenie, któryby zwrócił uwagę Eweliny na moje postępo-

wanie, żeby Ewelina odczuła coś więcej prócz obawy o moje zdrowie, którą teraz była przejęta. A ja! — ja nie chciałem w tem widzieć nic więcej, prócz przejściowego podrażnienia nerwów, gdy tymczasem wizya zmarłej była przepowiednią okropnego stanu, w jakim teraz się znajduję, z którego tylko śmierć zdoła mnie uwolnić. Jestem ofiarą ciągłych wspomnień, łączących się w jeden wielki łańcuch skuwający mnie na wieki. Gdybym był przynajmniej ofiarą, nie będąc jednocześnie katem.

Trzecia przestroga, najważniejsza pochodziła z ust staruszka księdza, do którego udałem się z polecenia Eweliny, by prosić o kartkę od spowiedzi.

Spojrzenie księdza Fronteau, który chrzcił Ewelinę, znał Antoninę, wywołało we mnie takie same wzruszenie, jak widok pana d'Audiguer.

Wokoło niego wszystko oddychało tą atmosferą ciłą, spokojną życia wewnętrznego, poświęconego dla spraw duszy, nie mającego nic wspólnego ze światem, życia, którego widok zawsze mnie dziwnie wzruszał. Pokój, w którym mnie przyjął kapłan, był małą izdebką wybieloną, z podłogą wykładaną taflami kamiennymi, ścianami ozdobionymi kilku świętymi obrazami, a całość robiła wrażenie celi klasztornej. Jego twarz ascety, okolona siwymi włosami, miała wyraz wielkiej surowości, który łagodził jedynie ogień oczu czarnych, dobrych, poczciwych, lecz stanowczych i dziwnie przenikliwych. Gdym tłumaczył mu, że nigdy się nie spowiadam, nie mając najmniejszej wiary i wyluszczałem powody, dla których mimo to brałem ślub kościelny, rzekł mi:

— »Niechęć wywierać wpływu na pańskie myśli i pojęcia — nie mam do tego prawa. — Pragnę jedynie otrzymać od pana pewną obietnicę — och, bardzo prosta: — Gdy panna Duvernay zostanie panią Malclerc nie będziesz nigdy usiłował stanąć pomiędzy nią, a jej religią!«

— »Przyrzekam to — odrzekłem — i nie będzie w dotrzymaniu tej obietnicy z mojej strony zasługi.«

— »Apostoł napisał, że człowiek niewierzący, będzie uświęcony przez żonę wierzącą, dodał ksiądz. Jeśli dotrzymasz pan swe słowo, będzie to pierwszym krokiem do powrotu na łono kościoła. Dziś widzisz w małżeństwie kościelnem tylko zwykłą formalność, kontrakt. Z czasem dojdiesz do przekonania, że jest to sakrament, wielki sakrament, jak powiedział święty Paweł. Odnosi się do dwóch istot, które otrzymują łaskę specjalną, których zadaniem jest tworzenie. Dobrze nazywał to jeden z mędrców: jest to towarzystwo dwóch serc. Pamiętaj pan wyrażenie jakie używam: »tworzyć«. Tworzyć! Człowiek nie potrafiłby tego, nie będąc obdarzonym łaską specjalną. Małżonkowie powinni — cytuję panu ciągle Pismo Święte — spełnić cud, o którym głosi Zbawca w Swej rozmowie z Nikodemem: odradzać się na nowo. »Oporetet nasci denuo.« Potrzeba więc, byście oboje odrodzili się na nowo... Znam dziecię które masz pan szczęście poślubić od chwili, gdy przyszła na świat. Przychodzi do ciebie z duszą czystą, białą. Wstąpi w nowe życie bez żalu i wstydu za przeszłością. Nic niema do ukrycia przed panem. Nie znam pańskiej przeszłości; lecz jestem pewny, że od chwili

gdy zdecydowałeś się na to małżeństwo jesteś wolnym. Mój stan, wiek, głębokie przywiązanie jakie odczuwam dla tego dziecka, długoletnie doświadczenie, znajomość nędzy ludzkiej — spowiadałem bardzo wiele — wszystko to upoważnia mnie do powiedzenia panu tego: nie powinienes wyrzec się przeszłości jedynie zewnątrznie w czynach, powinienes wyrzec się jej też w duszy i sercu. Byłoby profanacją sakramentu, prawdziwym świętokradztwem, za które raz byłbyś srodze ukaranym przez Boga, który jest zawsze sprawiedliwym — Deus non irridetur — gdybyś szedł do ołtarza przepelniony nie powiem żalem, gdyż tego jestem pewnym czuć pan nie będziesz — lecz wspomnieniami. Pogrzebanie zupełne, absolutne całej przeszłości, dawny człowiek powinien umrzeć, zniknąć, oto łaska nadzwyczajna jaką otrzyma dla pana twa narzeczona jeśli nie staniesz na przeszkodzie jej czynom.◀

Słowa te, którym cytaty łacińskie właściwe ludziom duchownym nadawały charakter liturgiczny, miały dla mnie zbyt ważne znaczenie, by nie przeniknęły do głębi mej duszy i nie wcisnęły się w najskrytsze tajniki serca i sumienia. Czyż jeden rzut oka niektórym księżom wystarcza jak niektórym sławnym lekarzom, którzy w człowieku rozpoznają odrazu ukrytą chorobę? Było zupełnie pewnem, że ksiądz Fronteau nieznał mej przeszłości. Powiedział mi to, po spojrzeniu jego zrozumiałem go wybornie. Pewnem też było, że mówił do mnie w sposób, jak gdyby znał mnie doskonale z przeświadczeniem o prawdzie słów swoich. Pożegnałem go, wyszedłem na schody domu, a jeszcze na ulicy ciągle prześla-

dowały mnie zdania wygłoszone przez niego, jakby przepowiednia nieszczęścia. Przestraszał mnie nowy dowód jak Ewelina mimo tak wielkiego, zewnętrznego podobieństwa, różniła się od swej matki. Ksiądz tłumaczył mi przed chwilą w tonie człowieka pochłoniętego ideą religijną, zasady jakie wyznawała Ewelina.

Wierzyła w Boga surowego, karzącego, mszczącego wszelkie błędy umysłu i serca. Przeciwnie, Antonina wyobrażała to sobie zupełnie inaczej i wznosząc swe cudne oczy z ekstazą ku niebu szeptała mi:

»Nie boję się Boga. Wszak to jest miłość. Nie uwierzę bym mogła być ukaraną za to że kocham. Karze nas tylko za nienawiść. Gdy czujemy to w sercu co ty dla mnie, a ja dla ciebie, jesteśmy z Nim, On jest z nami. Gdy czytam w Naśladowaniu ustępy o miłości, znajduję tam to, co czuję dla ciebie...« I powtarzała głosem głębokim zdanie z rozdziału o prawdziwej miłości, które umiała na pamięć. »Powiększaj Panie mą miłość bym nauczył się zakosztować w duszy jak słodko jest rozplynać się, zatopić w miłości«. Powtarzałem sobie te słowa głośno, te słowa pełne egzaltacji, aby zaprzeczyć, zaprotestować przeciwko rozmowie jaką usłyszałem.

Serce me biło silnie jak niegdyś, a jednak nie mogłem się powstrzymać od dreszczu, od uczucia zabobonnego strachu. Jeśli ksiądz miał rację? Jaką będzie przyszłość mego małżeństwa, jeśli przygotowuję się do pójścia do ołtarza tak jak mi mówił, więcej nawet, nie tylko ze wspomnieniami lecz i pragnieniem szukania dalszych wspomnień?

Tak, były to przestrogi, każda z nich miała wielkie znaczenie. Pierwsza z nich ukazała mi we własnym sercu początek walki dawnych uczuć z uczuciami nowymi. Druga, wznowiła w sercu mej narzeczonej wspomnienia jej dzieciństwa dotyczące mnie tak żywo, wznawiające myśli o »tamtej«. Trzecia odnosiła się do mego pojęcia moralności i honoru. Nie usłuchałem ani jednej ani drugich, wtedy gdy miałem czas jeszcze cofnąć się, usunąć od nieszczęścia. Muszę to wyznać. Były to przestrogi. tak jasne! Przybyły jednak tak nagle i odeszły tak szybko. Czyż mogłem odgadnąć, że większy je zbliżenie się moje z Eweliną, zbliżenie, o którym zawsze opowiadają że jest jedyną najlepszą spójnią, której się nic nie oprze? A dla mnie spójnia ta stała się okropnym rozdziałem, zaporą szczęścia, zbudzeniem się ze snu, w którym przebywałem...

Zaczęło się to w wagonie, który wiozł nas daleko z Paryża, pierwszego wieczoru naszego małżeństwa.

Wyjechalismy o czwartej by przybyć do Auxonne przed północą. Tam mieliśmy spotkać powóz, który w czterdzieści minut zawiózłby nas do małego domu Ouraudox, który odziedziczyłem po ojcu i gdzie dzieckiem przebywałem. Gdy pociąg ruszył Ewelina wzruszona zwróciła się ku mnie. Przytuliła się do mego ramienia nie mówiąc ni słowa; lecz w oczach jej, uśmiechu, drżeniu jej cudnej twarzy wyczytać mogłem wielkie, zupełne zaufanie istoty, która oddaje się drugiej, zdaje na jej łaskę i nielaskę bez najmniejszej obawy. Było w tem tyle dziewiczości, taką niewinnością tchnęła jej postać, że pocałunek, którym zamknąłem te drogie, ko-

chane oczy był prawdziwie braterskim, pieśczołą ojcowską... Przytem widząc ją tak piękną, tak czystą, tak świeżą i tak niewinną, czując na twarzy jedwab jej włosów, jej młode ciało przytulone do mej piersi, wspomnienie to straszne nieubłagane, tajemnicze wspomnienie, które przechowuje tajemnice pocałunków danych i obiecanych niegdyś, wzbudziło się we mnie. Pamięć o chwilach gdy usta me dotykały namiętnie i czule podobnej twarzy, o szczęściu odczuwanem wśród tych rozkoszy wzburzyła mi krew w żyłach, szął mną ogarnął. Wargi me zsunęły się z jej powiek drżących ku tym cudnym ustom pół-otwartym, na których igrał uśmiech niewinności i nieświadomości. Na ten widok pożądanie i upojenie zmieszały się z uczuciem nieoczekiwanem, niespodziewanem, szacunkiem, prawie obawą przed tem zaufaniem, tą czystością... Zamiast przycisnąć silnie wargi rozpalone do ust tych, które jeszcze nigdy nie dotknął pocałunek miłosny, musnąłem je zaledwie. Połączywszy w myślach przez jedną sekundę dziecko to, które nie znało jeszcze zupełnie życia, które miałem dopiero uczyć, z obrazem upajających rozkoszy zaznanych kiedyś dzięki jej matce. Zadrżałem z przerażenia.

Było mi tak jakbym kalał to niewinne stworzenie.

Straszny wyrzut sumienia, taki jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem, stanął pomiędzy córką Antoniny a mą miłością.

Wrażenie to było tak raptowne, tak silne, że ramię me okalające Ewelinę nagle opadło. Oddaliłem się od niej pod pretekstem, urządzenia wszystkiego wygo-

dnie i swobodnie do dalszej podróży. Pozwoliła mi z tym samym uśmiechem pełnym ufności i oddania się oddawać sobie drobne przysługi, podsuwać poduszki pod plecy, taburet pod nogi, rozstawić na stoliku małe podrózne naczynia z herbatą. Grałem rolę zakochanego młodego męża z uśmiechem na ustach, lecz straszną rozpaczą w duszy. Podobieństwo twarzy obu kobiet, które mnie poruszało, czarowało do najwyższego stopnia, że żyłem ciągle w dziwnym stadyum upojenia i złudzenia miało stać się dla mnie nieszczęściem, miało rozdzielać mnie z żoną, stawać pomiędzy mną, a naszym pożyciem małżeńskim, o którym sam jeszcze nic nie wiedziałem.

Przypuszczałem, że jest podobnem do życia dwojga kochanków, tymczasem jeszcze nie upłynęła godzina naszego sam na sam, a wzruszenia dnia dzisiejszego zamiast powiększać się, pomnażać, znikwały ustępując miejsca wzruszeniom czasów dawnych, przebrzmiałych...

Dlaczego?... Cień Antoniny wcisnął się pomiędzy Ewelinę a mnie, tak jak wciskał się pomiędzy me kochanki z ostatnich siedmiu lat, aby przeszkodzić mi w odczuwaniu szczęścia, niedozwolić bym się choć chwilę czuł szczęśliwym inną radością, a nie tą, którą »ona« mnie obdarzała. Tylko, że miłości te wszystkie były awanturkami trwającymi dzień, dwa dni, a małżeństwo me, jeśli nawet nie będzie szczęśliwe, będzie trwać życie całe.

Złanie się przeszłości i przyszłości w jedną całość wydało mi się teraz niemożliwością. A jednak starałem się łudzić jeszcze choć chwilę, starałem się wmówić, że mam przed sobą tę samą kobietę zmartwychwstałą...

Wszystko było tylko chimerą... I jakby w celu, by jaśniej i dokładniej przedstawić mi różnicę istniejącą pomiędzy tem co posiadałem, a tem co teraz posiadam, Ewelina poczęła mi z prostotą dziecka uradowanego, że się wyrwała na wolność, opowiadać o swej radości, że znajdujemy się sami we dwoje, sami na długo, długo...

— »Gdybyś wiedział — mówiła mi — jak myślałam nad tem, jak bałam się że będę tak jechać sama z tobą, obawiałam się, że ci nie będę się podobać, że cię znużę. A teraz mam wrażenie, że nigdy nie byłam spokojniejszą. Obok ciebie czuję się tak dobrze, takam zadowolona, szczęśliwa, nic nie pragnę, niczego się nie boję, czuję się bezpieczną przed wszystkim, z wyjątkiem rzeczy nieprzewidzianych.

Ale, jesteś młody, ja także, Bóg który pozwolił byśmy się zeszli, da nam długie, długie życie...«

Bezbrzeżna miłość i poświęcenie jaśniały w jej uśmiechniętych, niewinnych oczach. Podczas gdy mówiła ruchy jej, ton głosu tchnęły takim wdziękiem młodości! Wdzięk ten okazał się przez chwil parę silniejszym nad wszystko. Poczęliśmy rozmawiać o projektach na przyszłość. Opisywałem jej stary dom, w którym przepędzimy pierwszy tydzień, potem pałacyk w Dôle gdzie spotkamy się z mą matką i siostrą, Engadine, gdzie będziemy w sierpniu; Włochy, dokąd udamy się we wrześniu. Podczas jej pytań i mych odpowiedzi wieczór powoli zapadał... Miły nastrój podczas obiadu, spożytego w wagonie we dwoje, wśród wesołej rozmowy, uspokoił mnie w zupełności. Niepokój mój powstał dopiero natchmiasł w chwili gdym przestał traktować jej jak przyja-

ciółkę, jak młodą dziewczynę, prawie jak siostrę, lecz zacząłem jak kobietę, jak »moją żonę«...

Znów gdy noc zapadła i ostatnie błyski zachodzącego słońca znikły na niebie, znaleźliśmy się jedno obok drugiego z rękoma złączonymi, ona przytulona do mej piersi, usta przy ustach, jej cudna postać wzbudziła we mnie znów dreszcz rozkoszy, a dreszcz ten wywołał wspomnienie upojeń odczuwanych niegdyś, niegdyś przy jej matce. Straszny wyrzut sumienia chwycił mnie na widok tej anielskiej czystości, którą profanowałem, kalając teraz memi myślami.

Widziałem całą rozpaczliwą niemożebność połączenia miłości dawnej z dzisiejszą, niemożebność uściśnięcia tej bez wspomnienia »tamtej«. Nieubłaganie powracało mi jedno straszne słowo na myśl — bałem się je wymówić — dlaczego, czy przez to traciło ono swą wartość? czułem je, dręczyło mnie, rozsadzało mi czaszkę, odpychałem je, powracało w całej swej okropności uczucie »kaziroduztwa«...

Uczucie kaziroduztwa? Czy tego pragnąłem? Czy ku temu dążyłem całą siłą woli, do tego straszego potwornego stanu, czy temu poświęciłem całe me życie? Co było wspólnego pomiędzy tem o czem marzyłem, czego pragnąłem, co przeczuwałem, a tem co znalazłem, pomiędzy życiem rozkosznem i istotą ukochaną — a poczuciem wstrętnej zbrodni którą popełniałem? Było jednak już zapóźno na te refleksye, zapóźno dla człowieka uczciwego. Dlaczego, jakim niewytłumaczonym sposobem podobieństwo to, które tak mnie czarowało, miało się nagle stać źródłem mego nieszczęścia? Dziś gdy wraże-

nie to utrzymało się i wzmocniło podczas trzech miesięcy, pojmuję dlaczego przedtem nic nie wiedziałem i wszystko zbudziło się dopiero nagle z taką gwałtownością wtedy, gdy powinno nastąpić zupełne zapomnienie o świecie całym, gdy powinno się żyć jedynie chwilą obecną, rozkoszną, upajającą...

Kazirodztwo! Czy tego pragnąłem tak gorąco? Czy ku tej strasznej, okrutnej rozkoszy, łączącej w sobie upojenie zmysłowe z uczuciem zbrodni dążyłem, rwałem się namiętnie całą siłą woli? Czy było co wspólnego pomiędzy tem o czem marzyłem czego pragnąłem, a uczuciem tem zbrodniczem, pragnieniem strasznem zdeprawowanem wspomnieniami dręczącemi mnie dniem i nocą, tem okrutniejszymi, że znałem je dawniej, nie pojmując ich ogromu przytłaczającego mnie teraz. Dziś było już za późno na te skrupuły, zapóźno dla uczciwego człowieka. Mocą dziwnego, niewytłumaczonego przeciwieństwa, podobieństwo to, które dawniej tak mnie pociągało, teraz sprawiało mi męczarnie... Dziś gdy pierwsze wrażenie wzmocniło się i wryło w mą duszę podczas trzech miesięcy rozumiem wszystko. Rozumiem czemu tyle rzeczy mi było niejasnych, czemu wyrzuty sumienia spały podczas mego narzeczeństwa, czemu zbudziły się tak gwałtownie dopiero potem, w czasie najserdeczniejszych uniesień Eweliny i moich. Rozumiem dlaczego ten stary dom, gdzie przeszło całe me dzieciństwo, który wybrałem by przepędzić pierwszy tydzień w ciszy i spokoju, tydzień decydujący o całym naszym przyszłym życiu, ten dom w którym stałem się jej małżonkiem, pozostanie mi odtąd w pamięci jako

miejscowość, gdzie najwięcej cierpiałem. By pojąć całą rozkosz miłości dziewiczej, odczuwać jej świętość i urok, potrzeba przede wszystkim zapomnieć o przeszłości. Ksiądz miał zupełną rację twierząc, że trzeba stać się człowiekiem innym, człowiekiem narodzonym po raz drugi na świat. Nie można widzieć siebie oczyma duszy w innych godzinach życia, nie wolno porównywać spojrzeń jednej kobiety ze spojrzeniami drugiej, słodczy jednych pocałunków z drugimi. Gdy zaś tamte spojrzenia, pocałunki otrzymywało się od matki tej dziewicy, wszystko razem jest monstrualne, straszne!

Ach! gdy przytem dochodzi się do najwyższego stopnia zuchwałości szukając dawnych rozkosznych upojeń w objęciach niewinnego dziecka!

Czy to wszystko ma być historią mego życia? Nie, nie i jeszcze raz nie! To o czym marzyłem, czego pożądałem całą siłą mej duszy, nie były to zwykłe wzruszenia, upojenia, nie była to rozkosz, było to ciche szczęście. Złanie się dwóch dusz w jedną, wzajemne zrozumienie się, miłość spokojna, słodka, święta i — Piszę te słowa płacząc, nie hamując łez moich z obawy by nie wywołać nowych... Słyszę głos pytający mnie przez drzwi łagodnie nieśmiało czy czuвам jeszcze.

Ewelina usłyszała mój szelest... Kończę dziennik chowam go i zamykam.

Znowu muszę odczuwać całą tragiczność małżeństwa, gdzie wszystko obraca się naokoło kłamstwa i milczenia.

*

2.

Medyolan 2. września.

Kilka dni spokojnych, ostatni jednak był okrutniejszym od wszelkich poprzednich. Nic więc nigdy nie zdoła zatrzeć w mej pamięci straszego wspomnienia przeszłości. Czy męka ta wiecznie trwać będzie?

Po ostatniem przejściu w Promontogno uciszyłem trochę rozklekotane nerwy. Całą siłą woli starałem się pokonać i uspokoić przynajmniej zewnątrz. Wstyd mi było mej słabości, nieudolności ukrycia niepokoju, podczas gdy Ewelina mimo szalonego bólu rozrywającego jej serce na widok mego zdenerwowania, starała się utrzymać jednakową pogodę i spokój w swem postępowaniu. Od czasu jak opuściliśmy Engadine nie pyta o nic, gdy przychodzi na mnie zwykły okres milczenia i melancholii. Pobraliśmy się już dwa miesiące temu, a dotychczas nie otworzyła mi swej duszy więcej niż za czasów narzeczeństwa.

Nie jest już dzieckiem nic nierozumiejącem. Rozwinęła się nie tylko fizycznie lecz i duchowo, ufność jednak jaką pierwaj do mnie czuła, zamieniła się powoli w obawę. Stała się bardzo rozważną i rozsądną, lecz jakim kosztem! Gdy pomyślę, że zniszczyłem jej dawną dziecięcą ufność w szczęście, że na najjaśniejsze chwile jej życia rzuciłem cień smutku, który nie tylko nie zniknie, lecz każda chwila powiększać go będzie, straszny wyrzut sumienia dodaje mi energii by kłamać, kłamać ciągle przed nią... przed samym sobą, by dać jej choć złudzenie szczęścia, które jej nazawsze wydarłem!...

W Promontogno starałem się uspokoić nieco. Mówiłem sobie: Nie znalazłem w małżeństwie tego czego szukałem. Nie mogłem tego znaleźć. To czego pragnąłem nie zgadza się z prawem ogólnie ludzkim. Zwiodły mnie ułudy własnej wyobraźni. Nie kocham i nie mógłbym kochać Eweliny tak jak Antoninę niegdyś kochałem. Tamtą kochałem prawdziwie, sądziłem że miłość ta odżyje przy Ewelinie, marzenia pierzchły wobec zimnej rzeczywistości życia. Wielkie podobieństwo istniejące pomiędzy niemi obiema, które bolało mnie przy każdym zbliżeniu się fizycznym do Eweliny, napełniało mnie spokojem przy zbliżeniu się moralnym.

Gdybym spróbował wtem znaleźć szczęście. Roilem o tem, by być dla Eweliny małżonkiem - kochankiem, gdybym spróbował stać się dla niej małżonkiem - przyjaciелеm?

Poczucie zbrodni kazirodztwa pożerające mi serce, umysł zniknie może zupełnie, gdy postaram się by zapanował pomiędzy nami stosunek przyjacielski, nic poza tem. Gdy doprowadzę do kompletnej harmonii duchowej mojej i tego dziecka, nie otrzymawszy wszystkiego com pragnął od życia, będę miał jednak bardzo, bardzo wiele. W każdym czasie pożycie me małżeńskie będzie możliwem, powinienem, muszę się starać by uczynić je możliwem...

Stosunki ułożyły się w ten sposób, że na razie zapanowała zupełna harmonia pomiędzy nami.

Przyjechalśmy do Włoch. Ewelina pałała dawno chęcią zwiedzenia tego kraju. Liczyłem wiele na tysiące rozrywek, jakie nastęrcza podróż, pomocnych mi do

zapomnienia na chwilę o mem nieszczęściu, jej do niezwracania uwagi na chmury na mem czole i w oczach. Zwolna przywykaliśmy obopólnie do grania komedyi, mówiliśmy o wszystkim prócz tego co przepełniało nasze dusze; mieliśmy tyle tematów tyjących się zewnętrznych wrażeń. W mojem położeniu stosunek taki był prawdziwem dobrodziejstwem. Był to jedyny środek, jedyny ratunek. Moja przyjaciółka — cieszę się mogąc nadać jej w myślach to słodkie miano tak dalekie, a jednak tak bliskie zarazem tego czem chciałem by rzeczywiście dla mnie była — moja przyjaciółka jest bardzo inteligentna. Jest daleko więcej wykształcona, niż była jej matka, w wychowaniu jej wielką rolę odegrał człowiek tak światły i mądry jak pan d'Audiguer. Książki traktujące o historyi i estetyce, które jej dawał do czytania, ich częste przechadzki po Louvrze, Cluny, muzeach i kościołach, ich rozmowy pouczające i naukowe wszystko to dało jej tę znajomość sztuki gruntowną, dokładną jakiej często brak Francuzkom. Co do mnie, włócząc się po całej Europie nałykałem się też trochę wiedzy zwiedzając pierwsze galerye i biblioteki. Mieliśmy zatem o czem mówić. Mogliśmy studyować wspólnie sztuki piękne włoskie, interesować się wszystkim kształcić umysł i kłamać... ciągle kłamać! Istotnie pierwsze cztery dni spędzone w drodze do Medyolanu przez Chiawennę koło jeziora Cômó - Lugano były najmilsze i najszcześniejsze ze wszystkich od czasu naszej podróży. Te ciche doliny alpejskie, z wielkimi drzewami kasztanowemi, których kolczaste owoce jaśniały na tle ciemnej zieloności; z gwałtownemi strumieniami gór-

skimi, których modre fale wypływały u stóp lodowców ze swemi jeziorami tak jasnemi, tak spokojnemi, zachwycały me serce entuzyasty, napawając je nowem drżeniem i nową siłą. Młoda, gorąca natura Eweliny zdawała się nabierać dawnej sprężystości, dawnego zapалу przytłumionego wypadkami ostatnimi. Entuzyazm jej dosięgnął w Lugano swego zenitu.

Przyjechaliśmy tam wieczorem i natychmiast popieszyliśmy by korzystając z ostatnich blasków zachodzącego słońca zwiedzić za dnia jeszcze kościół Najświętszej Maryi Panny Anielskiej, gdzie Luini namalował sławne Ukrzyżowanie. Wobec wielkości i przepychu tego tak wspaniałego, tak szlachetnego dzieła, odtworzonego z taką siłą, taką subtelnością, Ewelina stanęła upojona, oczarowana, jak wobec nagłego cudu. Po raz pierwszy ujrzała duży fresk na swoim miejscu, w swojej atmosferze, w swoim właściwym oryginalnem otoczeniu. Instyktownie chwyciła mnie za rękę jakby chcąc i mnie natchnąć zachwytem dla cudzego dzieła. Usłyszałem jak szeptała: »Ach! nie marzyłam nigdy o czemś podobnem!...« I w tej żarliwości, w tem upojeniu idąc za popędem serca, padła instyktownie też na kolana, by złożyć hołd i pokłon sztuce. Modliła się parę minut dziękując Bogu, w którego wierzy, że jej pozwolił przeżyć tak cudną chwilę! Jak słodkimi były też dla mnie te parę minut! Jak świętą, dobrą, wydała mi się ta modlitwa! Wzruszenie ogarnęło mnie na widok jej kłęczącej na kamieniach kościelnych o dwa kroki od arcydzieła starego mistrza, to wzruszenie tak wielkie, czyste, słodkie było pierwsze, jedyne jakie zaznałem od dnia

ślubu. Mogłem się mu poddawać, pieścić się niem w całej pełni. Tym razem nie podobieństwo spowodowało me uczucie, tylko Ewelina, Ewelina sama!

Z nią także, nią jedyną przechadzałem się po Medyolanie, tem wolnem bogatem mieście z ulicami wykładanemi kamieniem, z białą marmurową katedrą, pełnem tego nieokreślonego czaru jaki posiada każde miasto włoskie. W dali rysowały się białe szczyty Alp na tle lazurowego nieba. Co za bogactwo sztuki posiada to miasto, podobnych im niema ani Wenecya ani Toskana! Medyolan wydał mi się jakimś krajem zaczarowanym tak jak mej przyjaciółce. Ach jak drogą była mi ta przyjaciółka podczas gdy chodziliśmy od muzeów do kościołów, od kaplicy do pałaców! Oprowadzałem ją wszędzie, wywierając nań ten tkliwy, despotyczny wpływ człowieka, który znając wszystko, opiekuje się ukochaną osobą nic nie znającą, kierując jej krokami, kierując wzrokiem, drogim umysłem, dając jej poznać różne radości, dzieląc je z nią, gdyż istotnie dzieliłem je nie odczuwając żadnych wspomnień, wyrzutów sumienia, nawet wyrzutu za niewierność względem mojego »cienia«.

Była to jedna z najszczęśliwszych chwil mego życia, świat tak inny od tego w którym Antonina i ja dzieliśmy i upajali się wzajemnie miłością. Bądźcie błogosławionemi szlachetne dzieła szlachetnych artystów, wy któreście pozwoliły Ewelinie i mnie czuć się jedno drugiemu bliskimi, złączonemi jednakowemi zachwyty. Bądźcie błogosławionemi arcydzieła, które ona nadewszystko ukochała, błogosławiony święty Janie de la Breza tak

wzruszający ze swą wspaniałą, niebiańską głowę w okoleniu złotych promieni podający Zbawicielowi kielich, po którym pełza wąż; błogosławiona święta Katarzyna z San Maurizio, którą ten sam Luini wyobrażał klęczącą z rękoma złożonemi, szyją odsłoniętą, odrzuconemi włosami złotemi, oczekującą uderzenia żelazem, które kat podnosi ruchem pełnym zaciekłości, jasna i pogodna nawet w chwili śmierci; błogosławiona kaplicy Porlinari, na kopule, której widnieją aniołki modelowane przez Michelozzo'a z gronami owoców, kwiatami, liśćmi, tańczące wesoło trzymając się za sznur złoty! Błogosławione te wąskie długie sale galeryi Poldi, do których tak chętnie i często dążyliśmy i przepędzaliśmy długie, długie rozkoszne godziny w towarzystwie starych mistrzów medyolańskich. Żyją oni tu wiecznem życiem zaklęwszy swego ducha w swych arcydziełach tak dobrze dobranych, tak stosownych do murów tego apartamentu prywatnego. Widziałem w źrenicach Eweliny rozwój coraz większy jej inteligencji pod wpływem nowych wrażeń tak subtelnych, tak delikatnych! Widziałem jak wszystkie te piękne widoki wchodziły do jej duszy, wiskały się w myśli, utrwały w sercu, wznosiły do jej szlachetnego, pięknego umysłu cudne wrażenia... Na ten widok spokój mnie ogarniał...

Wystarczyła jedna rozmowa więcej poufna by zniknął na nowo.

Było to dziś popołudniu. Znużeni nieco po zwiedzeniu wielu kościołów, szczególnie jednego, noszącego na froncie tę dewizę, moją dewizę: *Amori et Dolori sacrum* (poświęcone miłości i cierpieniu)... przechadzaliśmy się

pod cieniem drzew ogrodu publicznego, prawie zupełnie opustoszałego o tej godzinie. Upajaliśmy się ciszą spokojnego, czarownego dnia. Zmierzch powoli zapadał... Mówiliśmy o wspólnych wrażeniach z ostatnich dni, o dziełach lombardzkich mistrzów, o wdzięku, jakim one tchną, o poważnym ideale piękności przez nich wyobrażanych, o idealnym, tajemniczym wyglądzie ich »Madonny«, o ich »Herodiadach«, szlachetnym typie jaki nadają starcom na swych obrazach. Przypomniałem sobie pewne zdanie da Vinci, które niegdyś czytałem; zacytowałem je tłumacząc jej:

Siccome mia giornata bene spesa dà lieto dormire, cosi una vita bene usata dà lieto morire...

(Jak dzień dobrze przepędzony daje rozkoszny sen, tak życie dobrze użyte daje rozkoszną śmierć.)

»Ten wieczór włoski — dodałem — dziwnie dostraja się do tego zdania. Dzisiejszy wieczór jest następstwem dnia dobrze spędzonego. Pięknością swą przypomina piękno tych obrazów, któreśmy przed chwilą podziwiali. Przypominam sobie, jak zachwycąłem się temi arcydziełami, gdy widziałem je po raz pierwszy podczas mej podróży po Włoszech, sześć lat temu; czytałem wtedy to zdanie da Vinci. Nauczyłem się go na pamięć... widzisz, nie zapominałem go do dziś dnia.«

»Sześć lat temu« — odrzekła — »miałam wtedy czternaście lat«... potem zamyślona dodała: »nie mogę myśleć bez smutku o tem, że tyle już czułeś, tyle widziałeś, tyle rzeczy znałeś, gdy dla mnie wszystko to jest zupełnie nowe... Gdy mówisz mi o czem, nawet o najdrobniejszym szczególe tyjącym się twej przeszłości

czuję się tak szczęśliwą. Robisz to jednak tak rzadko!.. Tak tak, gdy rozmawiasz ze mną tak pocziwie, tak czule jak ostatnimi czasy, opowiadasz mi o wszystkim prócz tego, co cię osobiście dotyczy... Czy myślisz, że nie było by to dla mnie zajmującym?... Ach... Gdybym się ośmieliła!...

— »Mów śmiało« rzekłem. Ton jakim wymawiała te słowa dotknął czulej struny mego serca. Przytem nie miałem siły powstrzymać jej tak jak powinienem był to uczynić. Od jakiegoś czasu przestała dopytywać się o me smutki i powody milczenia. Dlaczego? Miałem się teraz dowiedzieć, że pod tą dyskrecją ukrywała się wielka, namiętna obawa:

»A więc, gdybym śmiała« — zaczęła przysuwając się bliżej do mnie — »od tygodnia jesteś dla mnie tak dobry, może będziesz nim i nadal. Im dłużej jestem z tobą, tem więcej cię kocham i tem więcej zaczynam rozumieć, że nie oddajesz mi się w zupełności... Nie przerywaj mi. Jeden jedyny raz pozwól mi mówić tak jak myślę, całkiem szczerze. Rozumiem to, znam też powód tego. Jeśli przed poznaniem mnie żyłeś życiem umysłowem, żyłeś też życiem uczuć i zmysłów.

»Bywają chwile w których mówię sobie, że budzi się w tobie, nie żal, że poślubiłeś mnie, o nie, w to nie wierzę, lecz wspomnienie przeszłości. Często mam uczucie, że doznałeś raz wielkiego, wielkiego bólu, lub też zrobił ci ktoś ciężką krzywdę...

»W godzinach takich jak teraz, gdy jesteśmy razem złączeni jedno przy drugim, czy nie mógłbyś mi opowiedzieć trochę o twej przeszłości? Na drugi raz opo-

wiesz więcej?... Naprzykład — widzisz jak jestem śmiała — podczas twego pobytu w Medyolanie sześć lat temu, chciałabym wiedzieć... czy miałeś kogo ze sobą... czy nie mógłbyś mnie poprowadzić w te miejsce gdzie... albo powiedzieć, gdzie mieszkałeś i kogo kochałeś?...

»Nie« odrzekłem, »nie kochałem nikogo«...

— »Ale siedm lat, ośm, dziewięć lat temu?... Albo potem?« pytała dalej, mam chwilami wrażenie, że ukrywasz coś przedemną tak, jakby u nas w domu był pokój, do którego nie chciałbyś mnie wpuścić... »I nagle drząc cała na widok mego milczenia: »Ach, dotknęłam cię!« zawołała; »widzę to, czuję... Przebacz mi i nic nie odpowiadaj«... I głosem przytłumionym dodała: »Jestem tak niezręczna, nieuważna. Nie umiem z tobą postępować. Ale kocham cię tak bardzo!«...

Uspokoilem ją jak mogłem najlepiej, słowami czułości, w które uwierzyła lub udała, że wierzy. Odgadłem z jej oczu, że odczuwa mnie dobrze i że harmonia może tylko wtedy istnieć pomiędzy nami, jeśli oboje będziemy się wzajemnie okłamywać i unikać ważnych tematów w rozmowie. Czy marzenia o tem, by stać się małżonkiem - przyjacielem, staną się tak zwodnicze jak marzenia o małżonku - kochanku? Lecz gdzie się podziła ma znajomość życia? Czyż niewiem, że niemożna być jedynie przyjacielem kobiety, którą się ubóstwia i która nas kocha prawdziwie? W sercu opanowanym prawdziwą miłością istnieje potrzeba wyjawienia i podzielenia namiętnego uczucia. Instynktownie Ewelina tak mało dotychczas wiedząca o życiu, odgadła me postanowie-

nie, staranie się, by sprowadzić nasze rozmowy na tory całkiem zwyczajne i obojętne. Z jak subtelną delikatnością chwyciła pierwszej sposobności by zmienić i nadać jej formy takie jakich ja, niemam prawa nadawać. Ryzyko było zbyt wielkie. Z jaką znajomością duszy ludzkiej odgadła i rozróżniła prawdziwą przyczynę mych niepokojów moralnych, jakim podlegałem od czasu naszego ślubu. Jak przeczuła mą tajemnicę i naturę jej! Jak słusznymi były te słowa: »Ktoś wyrządził ci ciężką krzywdę!...« Zadrżałem wewnątrz, gdy rzekła mi: »ośm lat temu...?« O tak, ośm lat temu byłem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy... Ale z kim? Było to w czasie, gdy podczas słodkich godzin popołudniowych, we wrześniu, Antonina i ja jechaliśmy zamkniętym powozem ku laskowi de Cnaville lub de Vioflay.

Wiązanka róż przygotowana dla niej, napelniała zapachem mały powozik unoszący nas przez ludne, gwarne dzielnice ku laskowi. Firanki jedwabne niebieskie były spuszczone do wysokości jej twarzy. Świeży powiew wdzierał się do wnętrza, gdy wjechaliśmy pomiędzy drzewa jeszcze zielenią pokryte; oddychała z rozkoszą. Wysiedliśmy. Po krótkim spacerze siedliśmy pod sosną zawsze tą samą, ja u stóp jej, ona pieszcząca me włosy. Ptaki śpiewały. Listki na drzewie drżały poruszane lekkim wiatrem. Na niebie lazurowym przesuwały się małe chmurki. Patrzyłem w jej oczy, patrzyłem przez nie w głąb jej serca, ona w moje. Wtedy nie miałem nic do ukrywania. Gdy rozmawialiśmy, Antonina nie spotkała się nigdy z mem milczeniem, nie było dla niej zamkniętego kąta, »pokoju do którego nie

wolno jej było wchodzić, jak wyraziła się Ewelina. Gdyby mogła przypuścić, co chowam w tym zamkniętym pokoju i czyj cień by tam ujrzała?!...

.....

3.

Neapol, 7. października.

Najbardziej wzruszającymi dla mnie, są zawsze godziny nocne, gdy leżąc w łóżku, pozwalam myśli mej rozwijać się, rozszerzać się wolno, nieskończenie. Kształtuje się ona, dochodząc do ostatecznych granic. Czuję, jak mnie pożera powoli, uwypukla fakty przeszłe i teraźniejsze; wspomnienia następują po wspomnieniach, powstaje cały budynek żalów, pragnień, nadziei, życzeń, wszystko to rośnie, rośnie, rośnie...

Nie kieruję już więcej mą duszą. Żyję życiem odrębnym, niezdecydowanym, niezbadanym, którego jestem świadkiem i ofiarą. Napróżno w tych okresach wielkiego niepokoju tak jak i teraz próbowałem zwalczyć, pokonać bujną imaginację. Była zawsze silniejszą odemnie, lecz nigdy nie wzrosła do tego stopnia, jak podczas ostatnich tygodni. Nigdy nie odczuwałem tego co teraz odczuwam, nigdy nie odbywała się tak straszna walka w mej duszy. W drugim pokoju, którego drzwi nie są zamknięte, śpi Ewelina. Wstaję od czasu do czasu i podchodzę aż do drzwi, nasłuchuję... Słyszę jak oddycha równo, spokojnie, prawie że słyszę bicie jej serca. Serca, tak młodego, czystego, w którym panowały zawsze uczucia szczerze i prawdziwe. Wracam do mego łóżka i myślę, że podczas tego, gdy ona śpi,

los jej waży się teraz w mym umyśle, że całe jej przeznaczenie zawisło od mych uczuć rwących się, walczących ze sobą. Ach! Kocham ją więcej jeszcze wtedy, gdy śpi, gdy zapomniała na parę godzin o wszystkim i zostaję sam jeden, by rozważyć nad strasznym nieszczęściem wiszącym nad nami...

Podejrywa już jego istnienie, lecz nie zna go jeszcze...

GORZEJ jest wtedy, gdy odgaduję, że nie spi, gdy czuję, że zbudziła się i wiedząc, że także czuwam, leży cicho, starając się nie ruszać, prawie nie oddychać, w obawie, by w tonie mowy, z jakim zwróciłbym się ku niej, nie rozpoznała mej dawnej obojętności. Dziwnie umie wszystko przewidzieć i odczuć. Gdy jestem w złym humorze wie o tem w tej chwili, mimo że staram się to ukryć. Gdy przechodzi ma melancholia, wie o tem także, odgaduje po niedostrzegalnej dla innych zmianie mej twarzy, każdy mój ruch, błysk oczu zdradza jej, co w duszy mej się dzieje. Nie bystrość, nie uwaga szczególna dopomaga jej w poznawaniu mego usposobienia, jednego dnia sformułowała to bardzo dobrze mówiąc mi: »Kocham cię i odczuwam, jestem twą żoną, połową twej duszy, wszystko co ciebie dotyka dotyka i mnie. Cierpię razem z tobą. Kocham cię z całego serca, serce to mówi mi, że nie jesteś szczęśliwy...«

Ostatnia noc bezsenna była straszniejszą od poprzednich. Pragnę zebrać myśli, by przekonać samego siebie, że postanowienie jakie dziś zrobiłem, jest jedynym punktem wyjścia. Muszę się zdobyć na krok stanowczy, odwagi mi chyba nie zabraknie...

Ewelina zasnęła prawie natychmiast gdy się położyła. Ja sam też zasnęłam. Zbudził mnie wiatr powstały jeszcze wieczór, teraz powiększający się i poruszający gwałtownie falami morskimi. Przyszły mi na myśl jej słowa ostatnie do mnie mówione i to zdanie: »Nie jesteś szczęśliwy«. Powtarzałam je sobie cicho i odczuwałam w niem głęboki, rozpaczliwy smutek i bezgraniczną tkliwość, odczułam silniej niż w chwili gdy je wymawiała. Tych drobnych słów parę szarpało mi serce. Wprawiło mnie w stan serdecznego wzruszenia, gdy łzy napływają mi do oczu i zwierzenia cisną się na usta. Niestety!... Jakie zwierzenia?... Przypomniałam sobie iż zeszłego tygodnia raz już powiedziałem sobie: »Gdybym się z nią rozmówił? Gdybym jej wyznał prawdę, całą prawdę, że znałem niegdyś jej matkę, że kochałem ją, że to jest tajemnica stojącą między nami?«...

Tak, mówiłem to sobie, jak również i to: »Projekt podobnego wyznania niema sensu«.

A jednak jest coś bardziej bezsensownego niż ten projekt: moje ożenienie się z tem dzieckiem, branie ją za żonę, mając myśli zajęte »tamtą«; po spełnieniu tego straszego czynu powiększania zła przez unieszczęśliwienie jej mem zachowaniem się; kochanie jej za wiele by znieść nawet myśl samą rozstania, a za mało by zapomnieć o przeszłości.

Kto wie czy spowiedź kompletna nie byłaby mem wybawieniem?... Przypomniała mi się chwila, w której byłem prawie zdecydowanym uczynić to. Byliśmy we Florencyi. Było to czarowne, upajające popołudnie. Ewe-

lina i ja przechadzaliśmy się po alejach ogrodów Boboli. Te terasy zdobne w starożytne urny i posągi, piękność widoków Campanili, pałacu starego, katedry, wybrzeży Arno, wspaniałych gór tam w dali i od czasu do czasu drżący w przestrzeni srebrny dźwięk dzwonu, wszystko to złożyło się by nadać tej godzinie nadzwyczajny poetyczny wdźwięk.

Nigdy jeszcze nie buntowałem się tak całą duszą przeciw ewentualności rozstania się z Eweliną. Odczuwałem tak idealną rozkosz w słuchaniu jej głosu, patrzeniu w jej smutne oczy pełne melancholii, które postradały już dawną wesołość i zapał młodzieńczy, posiadany jeszcze parę tygodni temu.

Położenie człowieka bywa czasem straszne... chcąc wydobyć się zeń, wpada się w gorsze...

Czy wyznanie całej prawdy mogłoby powrócić jej ubiegłe szczęście? Czy opowiadając o przyczynie mych smutków, ujrzałbym w jej oczach zagasły od dawna promień radości? O nie, z pewnością nie. Lecz... spowodowałoby to przełom gwałtowny w okropnej chorobie duszy, której oboje podlegaliśmy. Lekarze zwą to kryzysem, po niem następuje wyzdrowienie lub śmierć.

Możnaby przypuścić, że w duszy ludzkiej pewien instykt zmusza do przedsięwzięcia wszelkich środków, by właśnie kryzys sprowadzić, by położyć kres nieszczęściu jakimkolwiek bądź kosztem. Lepsza najgorsza pewność niż najgorsza niepewność.

I pod drzewami cudownego ogrodu począłem mówić o jej matce, ja, który zazwyczaj używałem całej swej zřęczności, na jaką się zdobyć mogę, by uniknąć podo-

bnej rozmowy. Rzekłem jej naprowadzając przedewszystkiem rozmowę na pana d'Audiguer i czyniąc aluzję do jego zbiorów i zamiłowań artystycznych, które mi przypomniały go tu pod florenckiem niebem:

»Jak to możebne, by żyjąc w tak szczerzej z nim przyjaźni, matka twoja nie pomyślała nigdy o tem, by tu przyjechać?...

— »Ależ mama była tutaj,« odrzekła mi »z ojcem, i rodzicami swemi, jesienią jeszcze jako narzeczona.«

— »I nigdy nie przyszła jej ochota powrócenia tutaj?...«

— »Owszem« odparła. »Ileż razy słyszałam, jak wypytywała pana d'Audiguer o różne szczegóły tej podróży!... Ile razy wrócił z Włoch, rozmawiali o tem godzinami. Lecz zwlekała ze względu na mnie. Nie chciała mnie zostawiać, a bała się zabierać ze sobą. Nie byłam bardzo zdrowa i lękała się dla mnie zmęczenia, nieręgiularnego życia hotelowego, zmiany klimatu. Zresztą czy ja wiem? Rok przed śmiercią mówiła ze mną o wyjeździe. Mieliśmy jechać z naszym starym przyjacielem. Potem jednak, pojechał sam... Byłam treścią jej życia. Poświęciła mi wszystko, podróże swe jak i resztę przyjemności życia...

»Dla mnie nie chciała wyjść powtórnie za męż. Była taka piękna!... Cobym dała zato żebyś ją mógł znać!... Tak piękna i taka czarująca!... Miała w sobie taki niewypowiedziany wdzięk, taki czar ujmujący każdego kto się do niej zbliżył, sposób postępowania tak słodki, łagodny, że czuło się przy niej bezgraniczny spokój. Była geniuszem dobra, i nikt z tych, którzy ją otaczali

nie są w stanie jej zapomnieć. Jeszcze teraz, gdy mówimy o niej d'Audiguer i ja czuję, że jest nam tak bliską, jak gdyby nas wczoraj dopiero opuściła, a za chwilę mieli ją znów ujrzeć. Potrzebuję tylko zamknąć oczy i mam jej obraz przed sobą, mam taką jaką całowałam po raz ostatni, gdy wychodziła w dniu strasznego wypadku... Widzę jej spojrzenie, jej włosy, usta, widzę ją całą i palce jej przy ustach, którymi przesyłała mi ostatni pocałunek z progu drzwi, doprawdy ostatni... I przymknęła na pół oczy wymawiając te słowa: »Widziała« cień i ja go też »widziałem«...

Antonina była tutaj w tym ogrodzie, patrząca na nas oboje swemi głębokimi źrenicami — lecz nie tylko jej spojrzenie było z nami. Podwójna egzystencja, której pragnęła i którą żyła, przedłużała się i po jej śmierci, gdyż wywołując jej wspomnienie, Ewelina głośno słowami, ja zaś myślą, w tej chwili wywołaliśmy, ona matkę najbardziej tkliwą i poświęcającą się z matek, ja zaś kochankę, najwierniejszą, najrozkoszniejszą z kochanek. Matka ta i kochanka były jedną i tą samą osobą. To co Ewelina mówiła o sztuce kochania i rozkazywaniu kochania siebie, o niezapomnianym wdzięku cudownej postaci zgadzało się ze wspomnieniami, którymi się pieścę. Ja też, gdy mówiła, przypomniałem sobie ostatni pocałunek na progu innych drzwi, parę dni przed katastrofą. I kontrast naszych marzeń wydał mi się w jednej chwili tak gwałtowny, tak wielki, że poczułem absolutną niemożność powiedzenia prawdy Ewelinie... Ta niemożność przeraża mnie też dziś swym ogromem, gdy podczas

bezsennej nocy rozpamiętuję ubiegłe wypadki i całą tę scenę.

Nie, byłoby zbrodnią kalać czysty obraz ukochanej matki, jaki zachowała w swem sercu wspomnieniem mej ubóstwianej kochanki! Byłoby to zbrodnią przeciw Antoninie, która chciała i żądała by wieczna przepaść istniała pomiędzy matką a kochanką specjalnie dla tego, by żaden cień nie padał na nią we wspomnieniach jej córki. Byłoby to zbrodnią wobec Eweliny, której niemam prawa wydzierać jasnego, świętego obrazu matki, zastępując go obrazem mej kochanki. — Skończyliśmy naszą rozmowę i spacer w ogrodach Boboli; a nie wymówiłem ani słowa z tego co chciałem powiedzieć, i życie nasze popłynęło dalej tym samym torem, w tej samej atmosferze smutku i kłamstwa. Ach! jak strasznie mi ono cięży: jak boleśnie to odczuwam teraz, podczas bezsennej nocy, gdy przed domem huczą i jęczą fale morskie. — Obawiałem się, by burza nie zbudziła Eweliny. Zdawało mi się, że się porusza, i poszedłem cicho po ciemku do drugiego pokoju, gdzie stoi jej łóżko. Spała spokojnie.

Spała i nawet we śnie kochała mnie jednakowo jak na jawie, gdyż zaledwie usiadłszy u wezglowia jej łóżka położyłem rękę na jej rękę, ona jakby odgadując we śnie, że to ja jestem przy niej, delikatnie zaczęła mą dłoń gładzić. Ten ruch tak serdeczny, tak szczery przywiódł mi na pamięć naszą rozmowę prowadzoną przedwczoraj. Jechaliśmy powozem na spacer drogą do Pansilippo. Był wieczór, na ciemnym niebie wzniósł się księżyc jasny, poważny, w dali rysowało się wybrzeże morskie. Za nami miasto rozkładało się pełne gwaru

i światła, tam na pochyłości wulkanu wąski pasek pąsowej lawy spłynął z krateru. Morze zmieniało co chwila swą barwę, w łagodnych blaskach księżyca — fale drżały — srebrzyły się — ciemniały... Gromadki małych chłopców i dziewcząt biegły bezustannie za naszym powozem. Żebrali, jedni wyprawiając przeróżne skoki jak akrobaci, drudzy rzucając nam pęki kwiatów z nadzwyczajną zręcznością. Na ich widok zaczęliśmy mówić o dzieciach opuszczonych przez rodziców, nagle Ewelina zwracając się ku mnie spytała:

— »Pomiędzy twymi towarzyszami z lat młodzieńczych znałeś dużo takich, którzy mieli dzieci naturalne i porzucili je?...«

— »Niektórzy tak zrobili — odrzekłem — ale czemu pytasz mnie o to?...«

— »Gdyż, czyn taki wydaje mi się najbardziej monstrualny ze wszystkich, jakie może człowiek popełnić i chciałabym wiedzieć, jaką wymówkę znajdują dla usprawiedliwienia się przed własnym sumieniem...«

— »Ależ bardzo wiele, odrzekłem, wystarczy powątpiewać o swem ojcowstwie...«

— »A gdy nie ma żadnych wątpliwości?...«

— »Stwarza się je sobie...« odrzekłem z uśmiechem.

— »W jaki sposób wytłumaczyć się można przed samym sobą?...«

— »Mówi się sobie, że błąd młodości nie powinien łamać całego życia. Wynagradza się matkę pewną sumą pieniędzy, ...«

— »I żeni się — i nie mówi nic o tem swej żonie... Jestem tego pewną — mówiąc to, miała minę na pół

żartobliwą jak osoba, która chce się dowiedzieć, nie zadając wprost pytania, — »jestem pewną, że ty, ty nie postąpiłbyś w ten sposób«...

— »Na szczęście nie znajdowałem się nigdy w podobnym położeniu« odrzekłem i dodałem żartobliwie: »spodziewam się, że mnie o to nigdy nie podejrzywałaś?«...

— »Nie«, odparła, biorąc mnie za rękę; zrozumiałem, że szczerzy ton mej odpowiedzi uciszył jej niepokój... Pytanie jej było nowym dowodem, że nawet wtedy gdy nie mówi mi o tem, wynajduje w myśli wszelkie przypuszczalne przyczyny mego nierównego, tajemniczego postępowania i smutku. Poczęła podejrywać, że mam dziecko, które ukrywam. Cierpiała nad tem niemało bezwątpienia. Ucieszyło ją serdecznie me zaprzeczenie i powtarzała »Ach, nie!« potem tak czule: »Szanuję cię zanadto — widzisz — bym mogła przypuszczać, że popełniłeś co złego — bym mogła o tem choć pomyśleć... Przytem jaki powód miałbyś w kłamaniu przed istotą taką jak ja, która ci jest tak oddaną, która od ciebie niczego nie wymaga. Potrzebowałbyś tylko mi powiedzieć: — »mam dziecko«; odrzekłabym ci »przyrowadź mi je bym je pokochała«. I pokochałabym je przez wzgląd na ciebie... Trochę by mnie to bolało« — dodała potrząsając swą cudną głową — »lecz cierpieć dla kogo jest to lepiej czuć, że się go kocha«. — Potem głęboko, prawie uroczyście: »Niewiesz nawet jak bardzo cię kocham. Dowiesz się o tem może kiedyś, jeśli nie w tem to w innym życiu... Gdybyś wiedział, zrozumiałbyś mnie. Przyjdzie kiedyś sąd ostateczny i wtedy najbardziej tajemne czyny, najdrobniejsze myśli, staną się widoczne

Jestem pewna, że, w takiej chwili nie ujrzysz nic w mem życiu coby ci nie kazało kochać mnie więcej i pewną też jestem, że nie będziesz przedemną miał do ukrywania nic takiego, coby mi ciebie mniej kochać kazało. Mam tak głęboką wiarę w Ciebie!..

.....

— »Mam wiarę w ciebie« Jej instynktowny uścisk ręki podczas snu powtarzał mi to wyznanie kompletnej wiary i zaufania. Wysunąłem delikatnie palce z jej dłoni i wyszedłem by jej nie przebudzić. Wróciłem znów sam do pokoju i myśli poczęły mnie pożerać. Pytałem siebie czemu dowody jej szacunku, nieledwie czci bałwochwalczej, które mi okazuje, sprawiają mi taki ból szczególny, najstraszniejszy ze wszystkich. Ach! główny powód mych cierpień właśnie w tem leżał! Zrozumiałem to dziś dopiero i ujrzałem szaloną zmianę, zaszła we mnie od tak niedawnego czasu naszych zaręczyn. Dawniej, nim przestawałem ciągle z Ewelina, nie przypuszczałem, że może istnieć istota o duszy, w której wszystko jest prawdą, uczciwością, i zarazem tkliwością. Były dla mnie dwa światy, jeden życia moralnego wewnętrznego, drugi zmysłowego — zdawało mi się, że obu ich pogodzić ze sobą nie można. Trzeba było wybierać i wybrałem. Nie pojmowałem, że jedno z drugim da się połączyć, można czuć wiele, zachowując przytem serce czyste, posiadać równocześnie tyle niewinności i namiętności. Ta wielka różnica pomiędzy jej duszą a moją ujawniła się jasno w jej słowach o sądzie ostatecznym. Zatem wobec dowodu jej dziecięcej ufałości, gdy przyrównuje mnie do siebie, powstaje we mnie bunt ja-

ksis... przeciw czemu?... Co się we mnie buntuje?...
 Jedyne honor mój. Jest za silną różnica pomiędzy
 człowiekiem, którego się widzi, a tym jakim jestem
 w istocie, jest zbyt wielkie odczucie złego czynu, jaki
 popełniłem, wiążąc do siebie na życie całe istotę tak
 czystą i nieskazitelną — tak obcą wszelkim podstępom
 i tajemnicom i to przygniata mnie do najwyższego stopnia,
 upokarza mój honor, honor człowieka, który dotych-
 czas żadnemu stworzeniu nigdy krzywdy nie zrobił.
 Błąd leży zawsze w tem wielkiem, zewnętrznem podobieństwie, które przeszkodziło mi poznać jej zupełnie
 odrębną indywidualność wewnętrzną. Zdawało mi się, że
 spostrzegam cichy charakter jej matki. Prawda, że
 po matce odziedziczyła tę tajemniczą siłę, która mnie
 zmusza ją kochać — tę sztukę okazywania swego uczu-
 cia z taką delikatnością i finezyą, tę umiejętność nace-
 chowania niem każdy swój ruch, każdą myśl, że po-
 podobnie jak matka potrafiła się wryć w mą duszę. —
 Lecz u Antoniny nieszczęśliwe małżeństwo, ciągły przy-
 mus i panowanie nad sobą wyrobiły pewną dwoistość
 charakteru, który ją uczynił mą prawdziwą towarzyszką
 życia. — Była »połową mej duszy« jak się sama nazy-
 wała. Moje usposobienie już wtedy dość nierówne, har-
 monizowało z nią tak dobrze, tak dobrze! — Gdybym
 ją był poślubił w miejsce Eweliny, mógłbym, jestem
 tego pewnym — nawet w tak trudnem położeniu jak
 teraz się znajduję, wyznać jej prawdę bez ogródek —
 serce jej zrozumiałoby, odczuło moje. Ona i ja należe-
 liśmy do tego samego rodzaju istot łaknących uczucia,
 wzruszeń, upojen wiecznie nienasyconych, do tych

umysłów niespokojnych, zuchwałych, sięgających śmiało po szczęście, nieogładających się na prawa światowe. Ewelina należy do innego rodzaju, do istot spokojnych, ulegających, cierpliwych, które nie rozumieją nawet uczucia nie zgadzającego się z prawem, które nie pragnęłyby szczęścia zdobytego ceną błędu, które nie mogłyby nawet chcieć go, gdyż takie szczęście przestałoby dla nich być szczęściem. Gdyby uczciwe to dziecko ujrzało mnie takim, jakim jestem, oświetlonego światłem, które jak sobie wyobraża rozjaśni myśli i czyny najbardziej skryte, w tym dniu sądu ostatecznego nie przestałoby mnie kochać, jestem o tem przekonany, nie można wyrwać z serca miłości wrośniętej do tego stopnia — lecz mam tę pewność, że cała jej miłość stała by się dla niej wielką klęską.

Wiem o tem i świadomość ta jest dla mnie w istocie sądem, nawet więcej, jest skazaniem. To dziecko samą swą obecnością każe mi wątpić w zasady, w które wierzyłem życie me całe. Myślałem zawsze, że rzucony na świat ten, w życie, którego nigdy nie zrozumie człowiek podczas lat, które mu są przeznaczone do przeżycia, ma jedno tylko zadanie do spełnienia: powiększać, ożywiać, wywoływać w sobie wszelkie głębokie i gwałtowne uczucia — a ponieważ miłość jest ich ostatnim wyrazem więc »kochać i być kochanym«. Wobec Eweliny, wpływ jej, któremu naprózno się opieram, zmusza mnie do zadawania sobie pytania, czy nie pomyliłem się w mych twierdzeniach.. Myśl ta, której nienawidzę jako mej największej klęski — to pomimo odpowiedzialności wobec samego siebie odzywa się we mnie, pochłania mię.

— Czuję się winnym wobec niej. »Mam wyrzuty sumienia«.

.....

Jak ciężkie myśli miałem tej nocy i jak mnie zmęczyły! Jak boleśnie pojąłem straszny błąd, popełniony przez ożenienie się z nią! Gdybym odnalazł w objęciach Eweliny całą potęgę namiętnego uczucia, z jakim się do niej po raz pierwszy zwróciłem, gdybym nawet zrealizował me marzenia o małżonku-przyjacielu, jakimi się niegdyś łudziłem, w każdym razie pozostałaby ta smutna pewność, że muszę przed nią ciągle kłamać, że muszę oszukiwać tę szczerą istotę, która mi tak bardzo ufa, że bez fałszu żyć przy niej nie mogę. Cokolwiek bądź się stanie, zawsze będzie stać między nami me przeświadczenie, że nie mogę czuć dla siebie szacunku, ani milcząc przed nią, ani wyznając jej całą prawdę. Starając się, by mnie pokochała, zabierając jej serce, zabierając życie, zabrałem jej na zawsze możliwość spotkania człowieka, godnego jej uczucia, godnego tej wiary, na którą ja nie zasługuję. Jak bardzo znów to czułem tej nocy, jak jasno widziałem, że na nią nie zasłużyłem! Przypomniałem sobie rozmowę z księdzem Fronteau i jego prorocze zdanie:

»Za które raz, byłbyś srodze ukarany!«...

.....

Wiatr dąć nie przestawał, fale morskie łuczały. Słuchałem jeszcze, Ewelina ciągle spała. Nie przeczuwała gwałtownej burzy, szalejącej na dworze, ani burzy szalejącej w mej duszy. Harmonia pomiędzy niepokojem w naturze i mym niepokojem wewnętrznym była tak

wielka; w tym śnie spokojnym Eweliny, obok mego nie-
 szczęsnego czuwania, taki symbol naszego wspólnego
 pożycia; przepowiednia księdza stanęła mi tak żywo na
 myśli, że poruszony do głębi, począłem myśleć, jak
 często niegdyś, o tajemnej łączności pomiędzy światem
 zmarłych i żywych. Jeżeli doprawdy wszystko nie koń-
 czy się ze śmiercią?... Jeśli za grobem istnieje świat
 drugi? Jeśli z tamtąd, ze świata nam niedostępnego, istoty
 dla nas stracone, mogą patrzeć na nas? Jeśli zachowały
 dawne swe uczucia?... Chciałem uwierzyć, gdy począ-
 łem kochać Ewelinę, że Antonina pochwałałaby, że
 pochwała tę miłość. Jeżeli rzecz ma się przeciwnie? Je-
 żeli niemożliwość korzystania ze szczęścia, utrata spo-
 koju były dziełem zemsty zmarłej, zemsty za zdradę
 wobec niej popełnioną? Może małżeństwo me było dla
 przebywającej w ciemnościach, w których pokutowała
 za swe grzechy, źródłem wiecznej męki? Jeżeli to stano-
 wiło jej piekło, piekło, w które wierzy Ewelina, a które
 przecież w jakiejś formie musi istnieć!

.....

Nad ranem, gdy jasne promienie słońca zaczęły
 wdzierać się aż przez gęsto zapuszczone firanki, uspo-
 koilem się nieco. Ubrałem się i wróciłem znów do pokoju
 Eweliny. Usiadłem koło jej łóżka, spała ciągle. Oparty
 o poręcz, patrzyłem na drogie jej rysy, takie delikatne,
 takie szlachetne. Złote promyki światła całowały jej białą
 szyję, około której oplatał się gruby, jasnoblond warkocz,
 wytworny owal twarzy, ciemne powieki, pogodne czoło,
 pąsowe usta, lekko rozchylone. Twarz jej cała tchnęła
 wdziękiem tak subtelnym, tak delikatnym! Nowe uczucie

opano wało mnie całkowiec, wobec tego dziecka uspio- nego tak spokojnie. Powiedziałem sobie, że nawet wobec strasznego niepokoju, szarpiącego me serce i nerwy, mam święty obowiązek ukrywania go i postępowania, jeśli nie zupełnie to jednak choć na pozór spokojnie. Obowiązek ten nakazuje mi panować nad sobą i oszczędzać mą żonę, gdyż w końcu jakiegokolwiek są me błędy młodości, błędy te należą do przeszłości i teraz jest ona mą żoną, istotą, która we mnie powinna znaleźć pod- porę i powinienem otaczać ją swą opieką, oszczędzać jej wszelkich ciosów i nie narażać na znoszenie przy- krych skutków mego zdenerwowania i niepokoju. Powi- nieniem odnaleźć dawną swobodę umysłu, a jeśli nie po- siadam spokoju ni w dzień ni w nocy, muszę grać ko- medyę, udawać zadowolenie, starać się, by ukochana istota nie dostrzegła we mnie żadnej różnicy. Pono- szę słuszną karę; tortury moralne, które¹ przechodzę powin- ny były mnie dosięgnąć. Poślubiając ją, popełniłem czyn więcej niż zły, popełniłem zbrodnię. Lecz Ewelina nic tu przecie nie zawiniła, czemuż ma cierpieć za me grzechy lub też, ledwo śmiem skreślić te słowa doty- czące mej »biednej Anty«, za grzechy swej matki. Nie, nie będzie cierpieć. Postanowiłem walczyć z samym sobą, uciszyć serce, wymódz na sobie to, czego żądał odemnie spowiednik, mówiąc:

»Powinieneś pan zerwać zupełnie z przeszłością, nie tylko w czynach, lecz i w myślach... Powinieneś zerwać ze wszystkim, co dotychczas wypełniało ci ży- cie duchowe, nawet wspomnienia powinny być na zaw- sze pogrzebane...«

Dziś te wspomnienia pożerają mą duszę, muszę je odpędzić. Raz na zawsze muszę pożegnać się ze wspomnieniami Antoniny, wyrwać je z serca, w którym powinna niepodzielnie panować Ewelina.

Dla osiągnięcia tego potrzebnem mi jest koniecznie przepędzić czas jakiś w samotności. W tem życiu we dwoje, które wiemy ciągle jedno obok drugiego, zmuszony do przyjmowania wspólnych wrażeń, nie jestem w stanie skupić się, zebrać myśli, by przedsięwziąć jakiegokolwiek postanowienie. Zdecydowałem się wyjechać na czas krótki. Zrobię tak, jak postępują osoby nabożne i religijne. Przed przedsięwzięciem ważnego kroku w życiu, szukają przedewszystkiem spokoju i samotności. Dziś jeszcze wyjawię mój plan Ewelinie. Teraźniejszą zmianę mego usposobienia wytłumaczę jej, dam wyjaśnienie, które bardzo od prawdy odbiegać nie będzie i w które z pewnością uwierzy. Powiem, że stan mój nerwowy ostatnimi czasy pogorszył się bardzo i zmuszony jestem z powodu tego przepędzić dni parę sam jeden, nie widząc jej nawet przy sobie, naprzykład w Sorrento. Ten rozdział pozwoli mi rozmyślać nad mem położeniem, nie krępując się jej obecnością, nie przymuszając do grania ciągłej komedyi. Naznaczę sobie cały plan postępowania, od dnia tego musi nastąpić zmiana na lepsze. Boję się jedynie, czy ona uzna potrzebę rozstania, na czas nawet najkrótszy. Ach! oby duch jej matki natchnął ją dobrą myślą, oby zrozumiała, odczuła to, czego nie jestem w stanie jej wytłumaczyć!...

Sorrento, noc z 7go na 8go października.

Ewelina nie czyniła mi żadnych przeszkód, których się tak obawiałem. Jest nieodrodną córką Antoniny, która mi mówiła: »Wezwij mnie, przyjdę zawsze; gdy nie zechcesz, nie wzywaj mnie więcej.« Podczas, gdy tłuma- czyłem jej w słowach, które mieszały się coraz bardziej, przyczynę, dla której opuszczam ją na dni parę, w oczach jej malowała się jedynie bezgraniczna miłość. I pojecha- łem. Jestem tu, a ona pozostała tam, sama w tej obcej willi, bielejącej nad modrą zatoką. Zostawiłem ją, po- trafiłem zostawić, wiedząc, że niema nikogo prócz po- kojowej, któraby czuwała nad nią, pielęgnowała gdy zacho- ruje; gdyż istnieją przecie nagłe choroby. Istnieją też śmier- ci nagłe. Jak zeszła jej matka ze świata?... Zostawiłem ją... Co ona teraz robi? Co myśli? Widzę ją siedzącą na balkonie, z oczyma błędzącymi w przestrzeni — tak jak ja teraz błędzę — szukającą mnie w oddali, pożeraną niepokojem. Skąd wziąłem siłę, by móżdż wsiąść do po- wozu, unoszącego mnie daleko od niej, jak mogłem wsiąść do wagonu, jak mogłem oddalić się od niej? Dla- czego nie pojąłem odrazu, że nie zniosę tej samotności, że nie zdołam wytrwać tutaj wiedząc, że ona jest tak niedaleko, że tak drobna przestrzeń nas dzieli, że ona tam cierpi, niepokoi się o mnie, nie rozumiejąc mego dziwnego postępowania. Jeśli uwierzyła w me słowa, tłumaczące nagły wyjazd, w jak strasznej obawie musi się teraz znajdować. Jeśli nie uwierzyła, jak bardzo cierpi. A ja! czyż nie powinienem był przedtem pomyśleć, że wyjazd w tych okolicznościach zamiast uspokoić ją,

może doprowadzić do najstraszniejszej rozpacz? Tej nocy, którą przepędzam zdala od niej, podczas pierwszych chwil rozdziału od czasu naszego małżeństwa, myślę tylko o niej, o niej jednej. Zaledwie rozpocząłem czas mej przymuszonej samotności, a jednak zdaje mi się, że to tak długo! tak długo już trwa!

Wiatr ucichł. Niebo pokryło się gwiazdami. Morze porusza się jeszcze, lecz łagodnie, spokojnie, fale drżą, jęczą, uderzając o skały, nad którymi otwieram okno. W tym ich jęku zdaje mi się, że słyszę jęk inny, westchnienie, wyrwywające się z piersi Eweliny i płynące aż tutaj za mną. Dziwna rzecz! Myśl o tem, że pozostawiłem ją tam samą jedną, pogrążoną w smutku, zajęła mnie tak niepodzielnie, że nic innego poza nią nie istnieje dla mnie. Cień Antoniny znikł zupełnie. Czy litość, jaką odczuwam dla żywej, będzie jedyną bronią przeciw pamięci o biednej zmarłej, która już nic odemnie nie potrzebuje? Czyż cała tajemnica zapomnienia leży w uczuciu litości? Czyż chęć zerwania z przeszłością, postanowienie użycia całej siły woli, by żyć jedynie chwilą terażniejszą zależała od tego tak prostego uczucia? Moja wola? Mówię jak gdybym jaką posiadał. Jak gdyby istniała we mnie kiedykolwiek, jak gdybym wiedział, co ona oznacza!... Lecz posiadałem uczucie silniejsze nad nią, uczucie, z którym mam nadzieję, zdołam żyć i być szczęśliwym! Jest nią litość! Ach poddajmy się jej! Oddajmy się temu szlachetnemu uczuciu, które wytryska w mej duszy, na widok cierpienia innej istoty. Ona zatrze pamięć o niepowrotnem szczęściu... Przeszłość, wspomnienia, żale, porównania, wyrzuty sumienia,

są to tylko zwykłe mrzonki! Jedyłą prawdą, pozytywną, realną, bolesną jest jej cierpienie. Rzeczywistością jest też to, że »żałując ją, muszę zarazem kochać«. Trzeba, by o tem wiedziała, by to odczuwała. Nie, nie zostanie tu ani chwili dłużej, nie będę tracił czasu na niepotrzebnem rozmyślaniu, na wytężaniu całej siły woli, by się opanować. Opanować? Dlaczego pragnąłem tego tak gorąco? By módz dać jej choć odrobinę szczęścia. Czy nie będzie go miała, gdy jutro ujrzy mnie wracającego, niemogącego przenieść nawet tak krótkiego rozłączenia? Ale smutne chwile znów się zaczną! Ach, niech się zaczynają! Będziemy też mieli dość uroczych: ja, gdy będę czytał w jej oczach radość z mego powrotu, a ona, gdy wyczyta w moich szalony żal, że mogłem ją choć na chwilę opuścić.

.

4.

Paryż, 2. grudnia.

Powróciliśmy do Paryża i Ewelina jest w błogosławionym stanie. Jak ona była piękna i wzruszająca swym nieśmiałym wdziękiem, z jakim mi oznajmiła tę wielką nowinę! — »Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa — mówiła — a przecież powinnabym się obawiać... Tak, dodała rumieniając się, zbrzydnę i nie będziesz mnie już więcej kochać«. Starąłem się upewnić ją jak najczulszemi słowy. Przycisnąłem ją do piersi z tak wielką, prawdziwą tkliwością! Zdradzała tyle miłości w swych słowach; ta obawa, by słabość jej spodziewana nie odwróciła mego serca od niej, była tak silnym dowodem

jej miłości, zarazem jednak niewiarą w szczęśliwą przyszłość naszego małżeństwa. Lecz czyż zasłużyłem na to, by myślała inaczej? Czy zachowywałem się w sposób, któryby obalał jej trwożliwe przypuszczenie? Czy przyjąłem wiadomość o przyjściu na świat naszego pierwszego dziecka — które powinno być dumą naszego domowego ogniska, węzłem łączącym nas silniej niż wszystko, co nas dotychczas łączyło — z tą szczerą radością, wybuchem uniesienia, jakiego młoda matka ma prawo wymagać od ojca? Ognisko domowe? Czy mamy to ognisko? Czy można tę nazwę dać naszemu pożyciu małżeńskiemu, gdy mąż swe życie duchowe ukrywa zazdrośnie przed żoną, która to czuje, która wie, że czułość jaką on ją otacza nie pochodzi z miłości, lecz litości nad nią, że dziecko, które ma na świat wydać, nie będzie przezeń witane tą radością, jaką się je zwykle wita, gdy dwoje ludzi łączy wielkie, święte uczucie. Dowiedziałem się o tem po powrocie mym z Sorrento. Nie zapowiedziało mi ono szczęścia. Przeciwnie — jeszcze straszniejsze wyrzuty sumienia. Nie przynosi ze sobą zapowiedzi chwil radosnych. To dziecię będzie mym wiecznym wyrzutem sumienia. Ileż też łez zawierały pocałunki, któremi ją obsypałem po tej wiadomości. Nagle Ewelina przed chwilą jeszcze zachwycona do najwyższego stopnia dowodami mej miłości, zasępiła się, promień szczęścia uleciał z jej oczu, usta swe odsunęła od mych ust, odstąpiła parę kroków patrząc na mnie badawczo. Zdziwiony i zasmucony jej raptowną zmianą rzekłem jej: — „Więc nie uwierzysz nigdy, że kocham cię prawdziwie? ...”

— »Nie« odrzekła, »nie kochasz mnie, litujesz się nademną«...

W tych warunkach oczekujemy przyjścia naszego dziecka. Od chwili, gdy Ewelina wypowiedziała pamiętne zdanie: — »Spodziewam się dziecka« — myśli coraz nowe powstają w mej głowie, płaczą się, tworzą coraz większy chaos, oszalamiają, doprowadzając do obłądu. Mam chwilami wrażenie, jakie posiadać musi suchotnik, który znając dobrze swą chorobę, dowiaduje się od żony, że znajduje się w odmiennym stanie. Uparta myśl chwyta się jego mózgu i tłoczy go. Pyta siebie bezustannie o to, o co ja nie przestaję zapytywać od paru tygodni: jakie dziedzictwo ciążyć będzie na tem dziecku? To pytanie zadałem sobie zaraz w pierwszej chwili i zadaję je ciągle: jakie ślady cierpienia moralnego lub fizycznego przyniesie ze sobą na świat? — Po kim z nas dwojga je odziedziczy? Jeśli to syn i będzie do mnie podobny, czy przekazałem mu całą mą duszę terazniejszą, niezdecydowaną, niespokojną, torturowaną i torturującą? Jeżeli córka, czy posiędzie niepokój i smutek Eweliny, mówiącej mi bolesne słowa: »Nie kochasz mnie — litujesz się nademną«.

Jest w Biblii ustęp, który mi pozostał w pamięci od czasu, gdym był jeszcze bardzo młody, w epoce mych pierwszych zapałów i uniesień życiowych — ustęp, którego nigdy nie zapomnę, tak głęboko wrył mi się wtedy w duszę, z taką dokładnością mogę go teraz zastosować do usposobienia, w jakim się znajduję. Odnosi się on do proroka Eliasza i jego zniechęcenia, gdy leżąc

na piasku pustyni pod cieniem jałowca, jęczał: »Dosyć, dosyć mi Panie, zabierz mą duszę, gdyż nie jestem lepszy, niż byli moi ojcowie... « Okrzyk tak smutny, mniej smutny niż ten, który wyrwie się z mego serca, jeśli będę zmuszony patrzeć, jak będzie wzrastać me dziecko, mniej warte ode mnie, mniej warte niż mój ojciec, który był mniej niż jego przodkowie, gdyż oni byli silni, zdrowi, weseli, a ja jestem tak bardzo biedny! Co ofiaruję memu synowi? I oby to był syn!... Przeraża mnie myśl, że będzie to córka, że odnajdę w jej rysach, oczach, ruchach, gdy będzie wzrastać, podobieństwo do typu kobiecego, który mi dał tyle rozkoszy i tyle bólu! Byłaby to tragedia mego małżeństwa odnawiana co chwila, obraz obu kobiet tak kochanych przezemnie. Niosłaby z sobą częśćkę mego jestestwa, częśćkę Eweliny i częśćkę Antoniny!... Ten żywy obraz mego kazirodztwa, wzrastający, stojący mi wiecznie na oczach, mógłby mnie przyprawić o szaleństwo... Ach! boję się strasznie zmian mogących zajść w mem sercu. Można znienawidzić swe własne dziecko — to straszne, lecz możliwe. Oby los strzegł mnie od tego ciosu, oby uchronił mnie od tego nieszczęścia!...

.....

Tak mało mamy wspólnych myśli, żyjąc ciągle obok siebie, że narodziny córki wywołują całkiem przeciwne uczucia w nas obojgu. Ja z przerażeniem myślę o tem, Ewelina pragnie jej namiętnie. Nie przeczuwa, jaki ból mi sprawia, gdy usiadłszy obok mnie przy kominku zaczyna rozmowę o swych przyszłych obowiązkach macierzyńskich. Przemawia do mnie tak szczerze, tak przeko-

nywująco. Z jej punktu widzenia przyszłość córki przedstawia się tak barwnie i jasno:

— »Widzisz, córka — mówiła mi wczoraj — byłoby to moje dzieciństwo odnowione i przedłużone. Będzie dla mnie tem, czem ja byłam dla mamy. Odnajdę po tylu latach i przy zmienionych rolach ten sam sposób życia w tym samym domu. Ach, jak się czuję szczęśliwą! jak dobrze, że nie sprzedałaś tego domu. Rozkoszną mi jest ta myśl, że śpię teraz w tym samym pokoju, w którym mama sypiała. A potem, córeczka moja będzie zasypiać w pokoju, gdzie ja zasypiałam, będąc dzieckiem. Chciałabym jeszcze mieć tę pewność, że po mojej śmierci ona znów będzie tu swoje dziecko chować. Syna, kochać będę także, lecz da mi on mniej złudzeń, mniej wspomnień mych czasów dziecięcych, które mi są tak drogie. Nie miałam brata, zaledwie znałam ojca. Cała ma rodzina była mi matka, teraz będzie córka. Przepraszam... — dodała biorąc mnie za rękę — i ty także...

Spostrzegła raptowną zmianę na mem obliczu. Przypisywała ją swym słowom. Prawda, wywołała ją nasza rozmowa, lecz jak innemi były powody od tych, które sobie wyobrażała! Jej myśli o rodzinie są też mojemi. Lecz w jak odmiennej formie się objawiają! Ta chęć przedłużenia czasów dzieciństwa do nieskończoności, potrzeba otaczania się pamiątkami po drogich zmarłych, do oddychania ich atmosferą, pokierowania życia temi samemi torami, jakimi ich życie dążyło, odnajdowania ich przeszłości w swej terażniejszości, odnajdowania różnych drobnych faktów z lat młodych w postępowaniu dziecka; są to wszystko uczucia szlachetne, szczerze i prawdziwe

podwaliny domowego ogniska, wiem o tem, czuję i rozumiem to. Domowe ognisko? Wiecznie to słowo ciśnie mi się na usta jak refrain, ono streszcza najlepiej tęsknotę za tem, co uważam dziś za największe, najprawdziwsze szczęście w życiu dla małżeństwa i ojcowstwa.

Wszystko to odmówione mi będzie na zawsze. Spokój uleciał bezpowrotnie. Jak zdołam dostosować się do rojeń Eweliny o przyszłości tej naszej córeczki, którą już dziś widzi przepelniającą dom radością i śmiechem, biegającą po pokojach, patrzącą na nas swemi oczyma, oczyma Antoniny, usypiającą w jej pokoju. Zupełnie naturalna jest jej cześć dla matki i babki. Dla mnie jednak ta matka jest kochanką, której namiętność opromieniła mą młodość, lecz śladów której boję się ujrzeć na własnem dziecku. Jak zdołam istnieć w tej atmosferze szczerości i prawdy, która otacza Ewelinę, uszczęśliwia ją, lecz dla mnie jest źródłem nieszczęść. Dla niej dom, w którym wzrastała, jest rodzajem świętości. Jest »jej domem«, miejscem gdzie najswobodniej oddycha, gdzie każdy kącik przypomina jakąś radosną chwilę. Dla mnie mieszkanie tutaj jest połączone z wiecznem kłamstwem: kłamać muszą spojrzenia, kłamać ruchy, całe zachowanie, gdyż nie mogę otwarcie wypowiedzieć myśli, jakie wywołuje we mnie widok miejsca, w którym przebywała moja kochanka. Jak żywo staje mi w pamięci chwila, w której wszedłem tu po raz pierwszy i zdało mi się, że ją widzę w głębi salonu, w lustrze, w którym się bezwątpienia codzien przeglądała, by wiedzieć czy będzie dziś piękna, czy będzie mi się podobać. Jak często robi teraz Ewelina tak samo.

Stara się na każdym kroku przywracać dawne czasy. Powiększyła liczbę portretów matki we wszystkich pokojach. Chce, jak mówi, mieć jej obraz teraz ciągle przed oczyma, by dziecko było podobne do zmarłej. Bezustannie patrzę więc teraz na Antoninę, Antoninę w różnym wieku; tutaj jako małą dziewczynkę, już tak bardzo piękną, tą subtelną delikatną urodą — tam widzę ją jako młodą dziewczkę, dalej w przededniu małżeństwa, potem po zamążpójściu, potem w epoce naszej miłości, patrzy rozkochanemi oczyma, wzywa mnie do siebie, pociąga... kusi...

Kusi?... Jak?... Czem?...

By z nią się połączyć, by pójść za nią w objęcia wiecznego snu, w którym spoczywa od tak dawna — za dwa dni ubiegnie ośm lat. Potrzebuję tylko przerzucić kartki mego pamiętnika, by znaleźć dowód, iż o tej samej porze, rok temu, odczuwałem również podobne zmęczenie, szalone znużenie moralne — uczucie kończącego się życia. Nadzieja odmłodzenia tego serca tak przedwcześnie zestarzałego, kazała mi zbliżyć się do Eweliny, potem poślubić ją. Czy cud zmartwychstania, którego oczekiwałem spełnił się? Niestety! Małżeństwo z córką mej dawnej kochanki nie dało temu sercu szczęścia — przeciwnie, nappełniło je zwątpieniem i rozpaczą. Szczęście umarło, umarło razem z mą kochanką, mą młodością nigdy nie powrotną. Teraz w tem miejscu szepce mi to mój cień, przemawia w spojrzeniu i uśmiechu ze wszystkich swych portretów — a przede wszystkim z wielkiego pastelu owalnego, który znajduje się w sypialni Eweliny. Niechcę nań nigdy patrzeć, gdy wchodzę do

tego pokoju, a jednak patrzę zawsze, a raczej on na mnie spogląda... Jest to portret już stary, na którym jedynie usta i oczy zachowały dawne podobieństwo, dla mnie uderzające. Antonina jest na nim przedstawioną tylko do połowy figury, ramiona i szyja obnażona, w sukni wydekoltowanej, której muślin jedwabny koloru płomiennego pieści delikatne, rzeźbione kształty. Krew z całego ciała zdaje się spływać na te usta pąsowe, cała energia do niebieskich źrenic. Tu w tym pokoju mieszka jej córka, do której zbliżenie się me było świętokradztwem, do której droga prowadziła przez zbrodnię, tu stoi łóżko, w którym ona usypia spokojnie, niewinna. . a nad nią z ram złotych uśmiecha się twarz... tamtej. Te piękne usta poruszają się, mówią, powtarzają dawne zdanie: »Chciałabym odejść, zanim pierwsza zmarszczka ukaze się na mem czole, zanim cię zacznę nużyć«... Oleszła, tak jak sobie tego życzyła. Mimo, że była matką, matką czułą i kochającą, instynktownie czuła, że zestarzawszy się, nie miała co robić na świecie. Poezya życia rodzinnego, tak głęboka, prawdziwa, nie godzi się z inną poezją także głęboką i prawdziwą, która była jej i moją. Bywają serca stworzone do uniesień i szatów miłosnych, tak jak bywają stworzone do jednostajnych i spokojnych uczuć. Dla ostatnich jest ognisko, dom, rodzina. Dla nich istnieje życie monotonne, zaprawione sentymentalizmem, starość daje im wprawdzie pewne zmiany, lecz nie pozbawione uczucia szczęścia i zadowolenia.

Ale inni, których marzeniem było w całą potęgę uczucia wlać jedną chwilę niebiańskiej ekstazy, czy mogą oni spokojnie uleść; czy serca płomienne i namiętne po

osiągnięciu ostatniego stopnia rozkoszy czują, że wszystko już dla nich skończono, że nic więcej nie otrzymają od życia?

To było dewizą Antoniny — tę radę przesyłała mi z poza grobu. Kto zabroni mi połączenia się z nią?... Kto staje nam na przeszkodzie? Rewolwer nabity leży u mnie w biurku, potrzebuję go tylko wziąć do ręki... otworzyć kurek, pocisnąć lekko cyngiel i... opuszczę na zawsze ten świat, w którym zaznałem wprawdzie rozkosze, lecz teraz nie znajdę nic prócz trosk i niepokojów. — Nie potrafię ich pokonać. Nie można zakładać domowego ogniska w domu kobiety, której się było kochankiem, i której córkę się poślubiło.

Marzyłem o tem — roilem — pragnąłem. To nieprawda — nieprawda — nieprawda!

.

Znowu oddaliłem od siebie myśl o przyspieszeniu sobie śmierci... znów odłożyłem ją na nieograniczony czas.

Powodem stało się jak wtedy we Włoszech uczucie litości nad Eweliną. Na wsi nawet począłem się łudzić, że potrafię ułożyć spokojnie nasze wspólne pożycie. Tyle razy przekonywałem się, że wszystko jest tylko złudzeniem! Tyle razy! — A jednak znów próbowałem. Litość jest mimowolnym odruchem duszy. Niewiadome czasem skąd się bierze. Może ją wywołać czyn jakiś danej osoby — może spowodować fakt napozór drobny — słowa nierozważnie wyrzeczone — tak jak u mnie się stało. Nie jest ona jednakże stałym etapem w życiu człowieka, nie można na niej, jak na miłości, budować fundamentów szczęścia i spokoju.

Przychodzi i odchodzi nagle, nie trwa nigdy długo.

Znika razem z bólem, który ją wywoływał i nie znajduje się jej potem — chyba ból znów powraca.

Gdy wyobrażam sobie Ewelinę wchodzącą do tego pokoju i widzącą mnie leżącego na ziemi we krwi, myśl o jej nieszczęściu rozdziera mi serce: Czy mam rację? Czyż zmartwienie jakie sprawiłoby jej me samobójstwo nie jest mniej bolesna, mniej okrutna, niż ta egzystencja przedłużająca się z dnia na dzień, rozciągająca się na lata prawdopodobnie, bez możliwości zrozumienia się kiedykolwiek, wobec przymusowego mego milczenia?... Przed pierwszą chwilą znudzenia chcę odejść — mówiła Antonina a ja dodaję: »Ach odejść przed ostatnią!«...

5.

Paryż, 8. lutego.

Kwestya rozwiązała się sama przez się: Albo trzeba żonie wyznać całą prawdę, albo opuścić ją, odejść od niej. Odejść? Gdzież mam odejść jak nie tam, do tego kraju, skąd się nigdy nie wraca? Wszystko jest lepsze od tego okropnego życia, w którym dzień każdy rozjątrza ranę zamiast ją goić.

To wstrętne kłamstwo stało mi się już nie do zniesienia. Me nerwy zniszczyły się, stargały, doszedłem do takiego stopnia zdenerwowania, że każdej chwili jestem zdolny popełnić czyny niegodne z honorem i ambicyą. Jeśli scena podobna do wczorajszej powtórzy się raz jeszcze, postąpię tak, że stracę szacunek dla samego siebie — szacunek dotychczas jeszcze zachowany, gdyż

mimo wszystkiego mogę sobie oddać sprawiedliwość, że robiłem wszystko możliwe, by oszczędzić Ewelinie ciosów, wypływających z mych zmartwień. Jeśli cierpiała, to jedynie na widok mych smutków. Nigdy nie byłem tak nikiemny, by wywierać zły humor na istocie kochającej mnie szczerze — nie starałem się ulżyć mym bólowi zrzucając je na barki drugich. — Lecz teraz zawiele, zawiele...

Najlepszym dowodem mego rozstrojenia umysłowego, może być drobiazgowość faktu, który doprowadził mnie do najwyższego stopnia irytacji. Jadłem śniadanie sam jeden, co zdarza mi się bardzo często! Robię to nie tłumacząc się zupełnie przed Ewelina, ona też o nic nie pyta. Zwykle tak postępuję, gdy czuje, że zdenierwowanie me przebiera zwykłą miarę i obawiam się, że nie zdołam zapanować nad sobą i zdradzę się, jakim ruchem lub słowem.

Uciekam z domu, uciekam bez celu. Pędzę między ludzi, mieszam się w tłum mi nieznany, uspokaja mnie to zwykle...

Około czwartej czując się lepiej, lub też łudząc się, że mi lepiej powróciłem do domu. Mały Montchal był z wizytą u Eweliny. Drugi raz od czasu jak powróciliśmy do Paryża, chłopiec ten odwiedza nas. Prawdopodobnie chciał pierwotnie złożyć tylko swą kartę. Powiedziano mu, że pani jest i przyjmuje. Czyż potrzebuję tłumaczyć przed samym sobą, że obecność dawnego konkurenta Eweliny, była dla mnie zupełnie obojętną? Być zazdrosnym o Rénégo Montchala byłoby śmiesznością, gdyby zaś ta zazdrość odnosić się miała do Eweliny,

byłoby to wprost niegodziwością, po tylu dowodach miłości i poświęcenia, jakie od niej otrzymałem. Jestem pewnym, że tyle zaparcia się siebie nie znalazłbym u żadnej innej kobiety. A jednak obecność tego młodego człowieka, jest mi dziwnie niemiłą. Czuję doń niechęć ukrytą.

Na pierwszy rzut oka widoczna była w nim zmiana. Nie można powiedzieć, by postarzał się od dwunastu miesięcy naszego widzenia się w Hyères. Stał się jednak dojrzałym człowiekiem. Wiem dobrze czemu. Potrzebuję tylko przypomnieć go sobie podczas naszej przejażdżki konnej w Hyères, uderzenie szpicrutą mego konia, potem jego wizytę u mnie i naszą rozmowę.

Kochał Ewelinę i unieszczęśliwiła go nasza miłość i małżeństwo. Kocha ją jeszcze. Jego zachowanie się terazniejsze niezręczne, prawie że nieśmiałe, jasno tego dowodzi. Dobre wychowanie i wrodzona delikatność nakazywały mi niedostrzegać tego. Nagle zrodziła się we mnie uparta chęć mówienia o tem. Jak szalenie chwyciłem się jej i postanowiłem wykonać ją natychmiast. Ze wszystkimi swemi wadami i nałogami, mimo zbyt wesołej przeszłości, ubóstwa umysłowego, chłopiec ten byłby tysiąc razy lepszym mężem dla Eweliny, aniżeli ja nim jestem. Mam to głębokie przekonanie, że przy nim znalazłaby więcej szczęścia.

To beznadziejne, bezinteresowne uczucie, które przechowuje w swem sercu, ma w sobie tyle szczerości, tyle prostoty, że może być pewną podstawą szczęścia rodzinnego. Widok tego człowieka tak zakochanego, tak otwartego w swych słowach i czynach, przypomina mi

co chwila moje położenie, nierozsądek, z jakim budować chciałem ognisko me rodzinne, zbrodnię popełnioną na tem niewinnem dziecku, czyniąc zeń męczennicę, dla mego egoizmu. Czy mogę nazwać to egoizmem? Czy jest się egoistą, kochając siebie tak mało jak ja?... Więc dlaczegoż to zrobiłem?...

Nie wchodząc w powody przyznać muszę, że dla niej i dla mnie byłoby lepiej, gdybyśmy się nigdy w życiu nie spotkali. Wrażenie to, powodowane widokiem biednego chłopca sprawiło, że obecność jego stała mi się wprost wstrętną. Zaledwie monosylabami odpowiadałem na jego pełne uprzejmości zdania, na które się nadarmo wysiłał. Zachowanie się moje zmięszało go wreszcie do reszty. Odszedł. Zostaliśmy sami. Ewelina nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać mnie bardzo nieśmiało i łagodnie:

— »Czemu byłeś tak niegrzecznym względem pana Montchal. Czułam się jeszcze więcej od niego zmięszaną?

— »Nie mogę być grzecznym dla kogoś, kto przychodzi umizgać się do ciebie« odrzekłem sucho.

— »Pan de Montchal przychodzi umizgać się do mnie?« powtórzyła więcej zdziwiona niż wzruszona tą oryginalną obserwacją.

— »Jeśli teraz tego nie robi, robił to dawniej — ciągnąłem dalej — chciał przecie żenić się z tobą«...

— »Jakim tonem mówisz mi to?« odrzekła, »chyba nie jesteś zazdrosnym o pana Montchal? Byłoby to trochę upokarzające dla mnie. Prawda? przyznaj sam« dodała łagodnie, z lekkim uśmiechem.

— »To tylko dowodzi, że jesteś jak wszystkie kobiety — mówiłem, wstydzisz się i zapierasz dawnej — kokieteryi.«

— »Ja? kokieteryi?« zawołała i powtórzyła: »kokieteryi?«

W tych okropnych zdaniach, które wymówiłem, było tyle złośliwości bezpodstawnej, że dotknęły do żywego jej tkliwe, szlachetne serce dotychczas tak cierpliwe. W tej samej chwili, pierwszej w życiu, w której spędziłem na nią mój zły humor, uczułem wyrzuty sumienia, które zamiast mnie uspokoić, zirytowały jeszcze więcej. Na szczęście wejście do saloniku pani Muriel, która bawi w przejeździe w Paryżu, położyło koniec tej wstrętnej, bezsensowej scenie. Skorzystałem ze sposobności by się oddalić. Byłem strasznie niezadowolony z siebie, czułem wstyd, wstyd który zamienił się w nowy wybuch złości, gdy po pół godzinie pani Muriel przyszła pomówić ze mną:

— »Co jest pomiędzy tobą a Ewelina?« ... zaczęła po wytłumaczeniu się w serdecznych słowach ze swego wtrącania się pomiędzy siostrzenicę a mnie. »Tak« nalegała »od dłuższego czasu widuję ją zamyśloną, niespokojną i smutną. Jej kuzynki zauważyły to samo. Dzisiaj spostrzegłam odrazu, że prowadziliście ze sobą jakąś bardzo ożywioną rozmowę. Miała ona wszelkie pozory sprzeczki. Ewelina nie chciała mi nic wyznać. Ale ty Stefanie powiesz mi. Kocham ją jak gdyby była mą córką, wiesz o tem. Ciebie kocham jak syna własnego... Pomiędzy młodem małżeństwem zdarzają się czasem nieporozumienia, lecz interwencya rodziców zupełnie je często usuwa. Trzeba mieć tylko trochę zaufania. Mnież je« ...

— »Ależ nic nie zaszło ciociu, zaręczam ci«, odrzekłem... Od czasu naszego powrotu z Włoch obawiałem się tej naszej rozmowy. Spodziewałem się jej. Po wielokrotnych spojrzeniach ciotki, rzucanych na Ewelinę i na mnie, domyślałem się, że przyjdzie czas, w którym zada mi to pytanie. Czułem się zawsze zmięszany wobec niej. Czyż wobec niej nie zachowywałem się również zdradziecko jak wobec mej żony? Czy oddaaby mi swą siostrzenicę, którą kochała zarówno z córkami, gdyby była wszystko wiedziała?...

— »Nie, powtarzałem, »nic nie zaszło«.

»Stan, w którym się Ewelina obecnie znajduje, wprawia ją w zdenerwowanie i...«

— »Jak wy oboje źle kłamiecie, moje biedne dzieci« — rzekła pani Muriel, i dodała: »Ty też nie chcesz przedemną otworzyć swego serca; ty też Stefanie nie masz racyi. Ale jeżeli nie otwierasz go przedemną, otwórz przed nią«.

— »Cóż chcesz ciociu, bym powiedział?« — odrzekłem porwany bystrością umysłu i przenikliwością, jakiej pani Muriel dała mi w tej chwili dowód. Było to powtórzenie historii z Montchal'em, przykład duszy szczerzej, otwartej, dość pospolitej, ale prawej, dającej wszelkie gwarancje spokoju i szczęścia.

— »Chcę ci jeszcze powiedzieć, że oboje dobraliście się charakterem! Gdy była jeszcze mała, Ewelina miała już to samo usposobienie; jeżeli odczuła co głęboko, zasklepiła się w sobie i milczała. Ja zauważyłam to dobrze, teraz widzę jeszcze lepiej, ty jesteś taki sam.

Zatem, słuchajcie starej kobiety, która was kocha z całego serca i radaby wam nieba przychylić; porzućcie to milczenie. Nie pozwalajcie, by wciskały się między was jakie nieporozumienia. Wytłumaczcie sobie, opowiedzcie wszystko. Zacznij ty Stefanie. Ty powinienes zrobić pierwszy krok. Jesteś przecież mężczyzną, ty powinienes kierować barką żywota. Jeśli Ewelina jest zdenerwowana, tłumaczy ją jej stan w istocie... Ale musi być przecież jakiś powód tego zdenerwowania. Nie milcz przed nią i nie pozwalaj, by ona milczała. Przedewszystkiem nie milczcie wobec siebie. Pamiętaj!

Wytłómaczyć się? Opowiedzieć? Jakiemi słowy? W jakiej chwili? Rada tej zacnej kobiety zgadza się zupełnie z mojem zdaniem. Widzę jej potwierdzenie każdej godziny mego nieszczęsnego życia. Zasadą w małżeństwie powinna być przedewszystkiem absolutna szczerość; nie powinno się nic ukrywać w głębi duszy, jedno drugiemu winno wszystko wyznać.

Ale jeżeli się jest do milczenia zmuszonym? Jeżeli nosi się w sercu ciężar, niepodobny do zrzucenia? Jeżeli się odczuwa z jednakową siłą po'rzebę wyznania i mus ukrywania; jeżeli się jest w podobny sposób przypartym do muru?

Cierpieć milcząc, sprawić cierpienie słowami? Gdzie się zwrócić? Jaką drogę obrać? Jestem na rozstajnych drogach. Popadam w coraz gorsze położenie. Złośliwość moja dzisiejsza najlepiej dowiodła tego. Jeśli nadal żyć będę w ten sposób, otaczać się atmosferą kłamstwa, obłudy, wyrzutów sumienia, uporu i milczenia, czuję że oszaleję. Uległem już uczuciu, do którego zdawało mi

się, że jestem zupełnie niezdolny: uczuciu niechęci, nieledwie że odrazy dla terażniejszego wyglądu Eweliny, dla jej figury fatalnie zmienionej, twarzy obrzękłej, ciała zdeformowanego. Co za okropność! Strasznie staje się to wszystko. Zamiast cieszyć się jej stanem, który ją uszczęśliwia, zamiast kochać ją jeszcze więcej, czuję, że coś odpycha mnie od niej.

Gdy po wizycie ciotki poszedłem do niej, znalazłem ją całą drżącą jeszcze przed moim niesłusznym gniewem, bez cienia żalu do mnie, zawsze jednakowo dobrą i kochającą. Gdy począłem ją przeproszać najczulszemi słowy, na jakie się zdobyć mogłem, ukląknłem przed nią, całując jej ręce, rzekła mi:

»Jesteś tak dobry! Jeśli zachowujesz się wobec mnie tak, jak to miało miejsce przed chwilą, przyczyną tego jest cierpienie. Wierzę w to, coś mi w Neapolu powiedział. Chcę temu wierzyć, chcę zaufać twym słowom. Cierpisz jedynie fizycznie. Jeśliby było inaczej, żebyś postępował, niechcąc się ze mną podzielić swym bólem, byśmy wszystko razem przechodzili. Pomyśl, że teraz jest nas troje, że wkrótce będziemy mieli małą duszyczkę, nad którą trzeba będzie czuwać troskliwie jak nad małą roślinką. Uda nam się to tylko wtedy, gdy będziemy zupełnie zjednoczeni, jeśli nic między nami stać nie będzie, nic a nic. Jeśli będziemy całkowicie połączeni...«

Oparłem głowę na jej kolanach, podczas gdy do mnie mówiła. Instyktownym ruchem serdecznym gładziła swą białą ręką me włosy. Był to ruch Antoniny niegdyś; miałem duszę tak znękaną, że wspomnienie

drogiej zmarłej, wobec drogiej żywej, nie sprawiło mi bólu. Mówiłem sobie, słuchając biednej kobiety tak serdecznie nieśmiało błagającej mnie o szczerłość, której potrzebuje do życia, jak potrzeba światła i powietrza w zamkniętej ciemnicy, mówiłem sobie, że ma rację, że dzieło wychowania, do którego jesteśmy wezwani, wymaga zupełnej harmonii, że harmonia ta jest niemożliwą bez prawdy, że nawet w tej sekundzie kłamałem jej, trzymając głowę na jej kolanach i wywołując tem zachowaniem wspomnienia dawnych upojeń, zaznanych przy... tamtej... I potem patrząc nań gdy widziałem jej figurę rozszerzoną, zmienioną, smukłą, wytworna sylwetka mego cieniu zarysowała się mi w pamięci. Straszna rozpacz mnie ogarnęła... Ach odejść, odejść z tego domu, odejść od tych smutków, odejść od Eweliny, od własnego sumienia i serca!...

.

6.

Paryż 12. kwietnia.

Coraz bliżej, coraz bliżej z dniem każdym. Idę na spotkanie śmierci wybawicielki pożądanej... obawiam się jej i pragnę zarazem! Kocham życie i wszystko co mi ono daje, nawet cierpienie. Tyle w niem przeszedłem, tyle chwil radosnych i smutnych, że teraz nawet instyktownie cofam się przed śmiercią. Dziś na samą myśl rozplątnięcia się w nicość, zimno przejmuje mnie na wskrós aż do głębi mego jestestwa, strach niewytłumaczony ogarnia mnie gwałtownie. Potem strach ustępuje miejsca uczuciu wielkiego spokoju i słodczy. Du-

sza wypoczywa po zmęczeniu, troski które ją przygniatają pierzchają na chwilę. Ciągłe, bez ustanku natrafiać na te same trudności straszliwe, popadać w to samo zwątpienie i rozpacz, mieć jasne pojęcie o okropnem położeniu nie mogąc nań znaleźć wyjścia, co za straszna nędza! Parę minut oddycham swobodnie, myśląc o szczęsnej chwili wybawienia, o spokoju, ciszy upragnionej! Wytchnieniem i rozkoszą są dla mnie godziny podczas których robię przygotowania do samobójstwa, które uważam za nieuniknione, chociaż nie jestem na nie zdecydowany.

Tak bliskim się czuję śmierci! A jednak... w chwili stanowczej, czy mi nie zabraknie silnej woli?... czy zdołam z całym przeświadczeniem swego czynu, przyłożyć lufę rewolweru do skroni?... czy nie zadrży mi ręka? Wola ma staje się coraz słabszą. Gdyby nie to, czy byłbym zdolny spełnić czyn dziś skuteczniejszy? Czy pozwoliłbym na zniszczenie tego mieszkania, nienaruszonego od czasu śmierci Antoniny, które odtąd stało się jedynie wspomnieniem, wspomnieniem, którego nigdy nie pozna Ewelina, gdy mnie tu nie stanie. Od tej chwili w której znalazłem siłę, by zezwolić na to zniszczenie, znajdę ją i na następne.

Nie przywiązanie do życia wstrzymuje mnie od straszego kroku... zawsze tylko jedna, jedyna myśl o smutku jaki sprawię. Myśl ta wyczerpie się wreszcie. Już dziś straciła swą dawną grozę. Dusza ma jest chorą, chorą tak bardzo, że wobec tego wszystko błędnie, nawet śmierć przestaje być straszną. Przetrawiwszy jednakową miłość do nich obu, do Antoniny i Eweliny,

zdaje mi się czasem, że te obie kobiety zmarły w mem sercu, że nie mogę już nic czuć ani do jednej, ani do drugiej. Gdy zaczynam się roztkliwiać nad Eweliną obraz Antoniny powstaje w mej duszy, pożera mój mózg. Gdy próbuję wywoływać wspomnienia z czasu lat dawnych, mej miłości tak promiennej, tak jasnej, obraz Eweliny zjawia się natychmiast, sprawiając mi ból nie do wytrzymania.

Zdaje mi się, że mam je obie utracił — i straciłem je rzeczywiście. Utraciłem Ewelinę, gdyż nie mogę jej nic ofiarować, nic przyjąć od niej, prócz cierpienia,

Utraciłem Antoninę, — ach! więcej niż w dniu tego wypadku — gdyż nie mogę już jak dawniej, zatapiać się we wspomnieniach o niej, o jej miłości!

Przeszłość ma zatrąła mi terażniejszość — terażniejszość zatrąwa przyszłość. Miłość do matki zabrania mi kochać córkę szczerze, otwarcie, po prostu. Poślubienie córki, zabrania mi uwielbać wspomnienia matki. Myśl o mem położeniu, doprowadza mnie do szału.

Tę różnorodność uczuć, tak przeciwnych sobie pod każdym względem, skonstatowałem z wielkim smutkiem podczas dalekich kursów odbywanych do naszego mieszkania, przy ulicy de Saxe, które zwijałem. Nawet w pierwszych miesiącach poślubnych, wzbraniałem się przed zniszczeniem tych trzech pokoi, w których wszystko dotychczas pozostało nietknięte. Miały one dla mnie cechę żywych osób. W tem dziwnie dwoistem położeniu, w jakim się znajduję, na wszystko patrzę innemi oczyma, zachowanie mego dawnego mieszkania, gdzie ukrywaliśmy nasze szczęście, nie wydawało mi się przestępstwem

wobec mej żony. Ewelina i Antonina, tak zwały się w jedno w mem sercu, że pamiątki dawnej miłości nie obrażały w niczem terazniejszej. Warunki ułożyły się w ten sposób, że nie potrzebowałem obawiać się żadnych następstw. Mieszkanie nie było wynajętem na moje imię. Gdyby więc nawet Ewelina dowiedziała się o jego istnieniu, mogłem powiedzieć, że wynająłem je dla jednego z moich przyjaciół, naprzykład Jana de Brèves.

Byłoby to kłamstwem. Tyle ich już popełniłem! Odźwierny, któremu poruczona jest piecza nad pokojami przybył dopiero po śmierci Antoniny. Nie znał jej, więc i zapytany przez kogokolwiek, nie będzie mógł nic powiedzieć, prócz tego, że przychodzę tam od czasu do czasu i zamykam się na parę godzin sam jeden.

Lecz od chwili, gdy myślę na seryo o samobójstwie, nie chcę by żaden nawet drobiazg nie zdradził mnie przed Ewelina i jej poszukiwaniami, które nie omieszka poczynić, gdy zginę nienaturalną śmiercią.

Postanowiłem więc zniszczyć ostatni ślad najwyższego szczęścia, jakie osiągnąłem w mem życiu.

Wykonanie tego projektu polega na czynach tak zwykłych i naturalnych, jednak tak strasznie brutalnych! By móc opuścić to mieszkanie, trzeba zażądać pomocy ludzi obcych, obojętnych zupełnie. Sama obecność ich w tych murach tak czczonych, kochanych przezemnie staje się świętokradztwem.

Rozprawiać o urządzeniu z tapicerem, by zabrał sprzęty, pełne pamiątek dla mnie, które jego robotnicy skalają samem dotknięciem. Co za straszna ironia losu! Gdy dusza przepelniona jest rojeniami lat dawnych,

gdy kącik każdy nasuwa tyle jasnych wspomnień, ogalając ze wszystkiego te kąty, w których rozbrzmiewały słowa miłości i upojenia, oddawać je na pastwę obcym ludziom, obcym uczuciom!... Rok temu nie byłem zdolny do takiej profanacji, nie potrafiłbym zniszczyć ostatniej pamiątki »po niej«. Teraz czynię to automatycznie, bez woli, chęci, ze spokojem ludzi idących za karawanem, uwożącym im najdroższe ukochanie.

Doprawdy było to okropne. Wykonałem wszystko bez zawahania się w chwili stanowczej. Nie powiem, bym patrzył obojętnie na niszczenie drogich mebli, a jednak, gdyby było potrzeba, zrobiłbym to samo jutro, pojutrze, tak samo zimno i spokojnie. Zdaje mi się, że świat cały, poruszony z posad, nie zdołałby mnie dziś wzruszyć, wszystko mi zobojętniało, śmierć jedna, jedyna ma pociecha.

Cała robota trwała dwa dni. Najprzykrzejsze było wczoraj, gdy zmuszony byłem iść do mieszkania i ujrzeć je po tylu dniach niewidzenia. Dojechałem powozem do kościoła świętego Franciszka Ksawerego. Tam zostawiłem go i poszedłem piechotą, drogą zwykłą niegdyś przez bulwar, do placu de Bretenil. Dzielnica nie zmieniła się, te same wille od epoki, w której odwiedzałem ją tak często, gdy szedłem temi samymi trotoarami, ocienionymi wysmukłymi drzewami, kierując się do naszego, niegdyś rozkosznego schronienia.

Zawsze ta sama ulica na rogu bulwaru, z budowlami nieregularnymi, skromnymi sklepikami, w dali dom Inwalidów, skąpany w blaskach zachodzącego słońca. Na rogu ulicy wznosiła się olbrzymia budowa sześci-

piętrowa, jeszcze nie zamieszkała. Szerokie arkusze papieru z napisem: »do wynajęcia« widniały we wszystkich oknach. Myślałem, że po pewnym czasie do tych mieszkań, dziś pustych i obcych, będą przywiązane różnorodne wspomnienia radości, smutków, nadziei, rozczarowań i wesela, że kochanek jaki może tak jak ja dzisiaj, przyjdzie tu wywołać obrazy lat dawnych, uczuć zagasyłych w jednej chwili na wieki, i pojąłem cały ogrom nędzy ogólnie ludzkiej. Usposobienie me pogorszyło się jeszcze, gdy zbliżyłem się do »naszego« domu. Ma tylko trzy piętra i cztery okna na facyatce. Nasze mieszkanie było na pierwszym. Story były spuszczone. Gdy wszedłem, odźwierny rozsunął firanki, światło dzienne oświetliło pokoje, pełne tych drobnych, na oko nieznaczących drobiazgów, upiększających królestwo naszej miłości niegdyś — a dziś! Mury przyozdabiały duże fotografie, reprodukcje obrazów ulubionych przez Antoninę.

Wyblakły ogromnie, tak jak wyblakły firanki i obicia. Atmosfera zwykła pokojom niezamieszkałym, nadała im charakter dziwnej pustki. Krew zaczęła mi silniej pulsować, w głowie mi szumiało. Myśl, że nie mogę stąd odejść przed uczynieniem tego, co powinienem zrobić, targała mi duszę, nie przeszkadzając oddawać się rozpaczliwym marzeniom o przeszłości, o chwilach gdy codziennie odwiedzałem te mury — gdy po śmierci Antoniny przybiegłem tu jak szalony, rzucając się na sofę, na której zwykle siadywała i zanosilem się od płaczu. Dziś z suchemi oczyma stałem spokojnie i oczekując kupców, których odźwierny poszedł sprowadzić, niszczy-

łem własnoręcznie niektóre przedmioty, których zabrać ze sobą nie mogłem, a sprzedać nie byłbym w stanie.

Rozkazałem by zapalili na kominkach we wszystkich trzech pokojach. Wziąłem z szafy szlafrok z jedwabiu lila, który zachował jeszcze kształty jej boskiego ciała. Rozdzierałem materyał na długie płaty, które rzucałem w ogień jeden po drugim. Została jeszcze para złotych pantofelków, które też spaliłem, szal koronkowy, który także podarłem, grzebień żółty szyldkretowy, który połamałem na drobne kawałki. Nieprzyjemny odór spalenizny rozszedł się po pokojach, dławiąc mnie w gardło i teraz jednak nie rozplakałem się. Za chwilę przybył kupiec. Zdaje się, że szybko zdał sobie sprawę z całego położenia, przeczuwając chęć mą pozbycia się jak najprędzej wszystkich mebli, gdyż korzystając ze sposobności ofiarował mi cenę śmiesznie niską, którą przyjąłem bez skrupułu. Ułożyliśmy się, że rzeczy zabierze jeszcze tego samego dnia i przyjdę nazajutrz obejrzyć raz ostatni pomieszkanie, załatwić rachunek i oddać klucze.

Odszedłem więc dziś na zawsze. Szedłem temi samymi ulicami, pośród cudownej pogody, martwy jak głaz, nie czując żadnego bólu. Czy miałem go w duszy? Niemoc śmierci opanowała mnie.

Gdy podszedłem dziś do domu, zauważyłem, że tym razem stopy nie były pospuszczane. Okna ogołoczone z firanek znamionowały, że wynoszenie mebli już się rozpoczęło. Kupiec oczekiwał już na mnie, podał mi pieniądze, których odbiór poświadczyłem. Podpisałem kwit mym własnym imieniem. Z obojętnością człowieka nie troszczącego się, że incognito jego może być zdra-

dzone. Może źle sobie postąpiłem, ale cóż mi może zaszkodzić? Jeśli Ewelina się dowie, że miałem aż do ostatnich czasów mieszkanie drugie, cóż mi na tem będzie zależeć? Zależy mi jedynie, by nigdy nie dowiedziała się kogo w niem przyjmowałem, a tego nie dowie się ani kupiec, ani nikt na całym świecie, teraz gdy zniszczyłem osobiwie wszystkie drobiazgi do niej należące, tak jak również przed śmiercią chcę spalić jej listy. Czy znajdę do tej ofiary tyle siły, ile miałem dzisiaj, mogąc wstąpić do mieszkania już zupełnie pustego — przejść się po pokojach ogołoconych ze wszystkiego, w których na posadzce już bez dywanu, pozostały ślady błota z butów ludzi wynoszących meble, na ścianach z obdartemi obiciami widniały powybijane haki i czarne masy popiołu z popalonych rzeczy zalegały kominki. Przed opuszczeniem mieszkania, którego progu już nigdy w życiu nie przestąpię, wszedłem do sypialni, z której okna wychodziły na mały ogród. Patrzyłem długo na puste mury, jakgdyby nagle zdziwiony zniknięciem wszystkiego, co otaczało nas tu niegdyś, wszystkiego, co mi »ją« przypominało. Nagle jak człowiek, który ucieka z miejscowości, w której zaszła jakaś straszna scena wybiegłem z domu jak szalony... Szybko biegłem przez ulicę Duroc i ulicę Masseran, te ulice, na których tylokrotnie spotykałem Antoninę, do kościoła Świętego Franciszka Ksawerego. Wszedłem tam. Spostrzegłem skarbonę dla biednych, do ktorej wrzuciłem pieniądze otrzymane od kupca mebli i gdy to się stało uczułem, że pomiędzy śmiercią a mną nic już nie stoi na przeszkodzie.

.

Paryż, 8. maja.

Przebywam ostatnią stacyę mej Kalwaryi. Dziś się mam zabić. Przepędziłem noc całą na niszczeniu wszelkich papierów, które nie chcę, by po mnie pozostały. Spaliłem wszystko, co powinienem był spalić. Napisałem do pana d'Audiguer list, jaki powinienem był mu napisać i uporządkowałem dlań kartki pamiętnika, który może mnie obroni kiedyś, gdy mnie już tu nie będzie a Ewelina dowiedziała by się jakim przypadkiem całej prawdy. — Boleść ma i cierpienie, będą memi obrońcami przed tą jedyną istotą, która po mnie płakać będzie. Miałem tylko chwilę słabości, gdy poszedłem do jej pokoju ucałować ją po raz ostatni i ujrzałem jej smutne oczy. — Potem spojrzałem na portret Antoniny, wiszący koło łóżka. Dziwne niewytłumaczone fatum, ściga mnie do ostatniej chwili. Nawet teraz musiałem widzieć obie postacie razem, żyjącą i zmarłą, jedną obok drugiej. Pożegnałem obie błagając Boga, by śmierć ma stała się zadośćuczynieniem za me grzechy, by córka nigdy, nigdy nie dowiedziała się, czem matka była dla mnie. Jeszcze parę chwil i nie będę już nic odczuwał... Ach! jaki błogi spoczynek!...

.

VI.

Dwie miłości.

Mało bywa w życiu ciosów, boleśniejszych dla człowieka, jak dowiedzenie się, po stracie osoby najdroższej, najukochańszej, że istota ta popełniła czyn absolutnie niezgadający się z wyidealizowanym pojęciem o niej.

Jasny obraz jej, przechowywany z czcią w głębi duszy, zaciemnia się nagle. Niema jej tutaj, by mogła się obronić, wytłumaczyć w jaki sposób mogła popełnić czyn, do którego nie zdawała się być nigdy zdolną. Potępienie jej bez wysłuchania teraz, gdy otacza ją aureola śmierci, zdaje się być niesprawiedliwością, prawie że świętokradztwem. Jednak prawda występuje z całą siłą i niszczy wszelkie pobożne skrupuły.

Powoli więc zaczyna przypominać przeszłość, epokę w której czyn, o którym dowiedział się, został spełniony. Przypomina sobie takie zdanie, jakie umarły lub umarła wymówiła, taki ruch, takie spojrzenie.

Istota więc, której ślepo bezgranicznie wierzył, oszukiwała go? Grała przed nim komedię?...

Jest to boleść straszna, cios okropny. Spada jak grom niszcząc ukochane wspomnienia, burząc w sercu ołtarze, budowane na cześć najdroższej osoby. Zrywa

z nią, nie pragnie nigdy więcej wspominać, usiłuje wykreślić z serca i pamięci. Ból taki przewyższa rozpacz wywołaną śmiercią kochanej osoby. — Od dziś przestaje istnieć podwójnie...

A jednak błąd ten popełniony, nigdy nie spodziewany, porusza w duszy strunę najczulszą, najszlachetniejszą. Przebaczenie. Zaczyna się żałować tego lub tej, której już niema tutaj, że była tak słabą. Poczyna robić wymówki samemu sobie i sobie winę przypisywać. Zarzuca się sobie brak otwartości, brak przezorności. Mówi się: »Nie okazałem jej nigdy jak mi jest drogą, jak bardzo ją kocham«, i zaczyna się kochać jeszcze więcej. Zamiast więc oddalać, zbliża się jeszcze więcej; powstają nowe gorące uczucia na miejsce zastygłych wspomnień. Gdy taka śmierć przez pogardę i zmartwychwstanie przez litość, odnosi się do miłości brata dla brata, przyjaciela dla przyjaciela, tragedia nie przestaje być wzruszającą; będzie nią daleko mniej jednak, aniżeli w wypadkach, gdy odnosi się ona do kobiety, którą kochaliśmy całą potęgą duszy i zmysłów, i gdy dowiadujemy się, że ona również kochała kogoś nam obcego, że obdarzała kogoś swą miłością, bez naszej wiedzy i w warunkach tworzących jedno pasmo kłamstwa i obłudy. — Uczucie nasze musi być oparte na podstawach bardzo szlachetnych i wzniosłych, by zazdrość fizyczna połączona z rozczarowaniem moralnem nie zamieniła się w urazę lub nienawiść. Jeśli w duszy naszej drga struna wspaniałomyślności i przebaczenia, zdrada taka porusza ją, w przeciwnym razie nienawiść bierze górę.

Wspaniałomyślność posiadał Paweł d'Audiguer, posiadał ją w całym znaczeniu tego słowa. Miał on wrodzoną delikatność i subtelność uczuć nie dopuszczającą do podłości i zawisci. Był absolutnie dalekim od niskich instynktów, każącym widzieć zdradę i oszukaństwo w faktcie, że kobieta ubóstwiana, śmiała swe serce ofiarować innemu. Głęboka poezya otaczająca jego uczucie dla pani Duvernay, dawno już nauczyła go zrzeczenia się wszelkich nadziei i pragnień wzajemności. Zgodził się z faktem jej zamążpójścia, poślubienia człowieka mu antypatycznego, patrzył na ich pożycie ze spokojem, w którym była może domieszka zazdrości, lecz nigdy buntu. — Buntował się jedynie przeciw smutnej rzeczywistości, że nie była szczęśliwą. Gdy odzyskała wolność przebywał nadal obok niej, nie śmiejąc nawet przed sobą samym przyznać się życzeniem, że mógłby zająć od niej czegoś więcej nad przyjaźń. Gdy umarła posunął swe zaparcie się siebie aż do heroizmu, będąc posłusznym jej życzeniu, by spalić nie czytając listy i papiery przez nią pozostawione. — Ani cień egoizmu nie skaził czystości jego uczucia tak bezinteresownego jak promienie słońca na niebie oświecające drzewo i kwiaty, budzące naturę ze snu. Nigdy nie marzył nawet o tem, by ogrom miłości jakim ją obdarzał, mógł mu pozwolić rościć sobie jakiegokolwiek bądź prawa do niej. A jednak gdy skończył czytanie tych kart pamiętnika Malclerc'a wyjawiających mu tyle nowych, niespodziewanych rzeczy, w których współnik Antoniny opowiada o tajemniczej ich miłości, o kobiecie czczonyj przez dwadzieścia lat jak nieskalane bóstwo, podczas tego gdy była

kochanką innego; człowiek ten wielbiący ją z takim zaparciem się, z takim zaślepieniem, nie mógł powstrzymać się od uczucia szalonej, gwałtownej nienawiści. — Cała potęga jego dawnej wiary i uwielbienia zamieniła się nagle w odrazę wprost dziką do bohatera tej miłości, do człowieka, którego zmarła tak namiętnie kochała. W zwierzeniach zawierających tak wzruszający dramat małżeński, tak złowrogi na przyszłość, dla niewinnej ofiary ich miłości, nie widział starzec nic strasznego wobec tej okrutnej prawdy, że bóstwo jego zostało skalane — zamknąwszy pamiętnik, widział tylko jedną jedyną straszną rzeczywistość: »Antonina kochała.«

Te usta, których wytworną i klasyczną linię miał ciągle przed oczyma, szeptały słowa miłości, dawały namiętne pocałunki! Te oczy, których tajemnicze i głębokie spojrzenie ścigało go z poza grobu, zasłaniały łzy miłości, rozjaśniały płomienie miłości. Złoty płaszcz jej wspaniałych włosów pieściły ręce kochanka! Kochanek posiadał miłość tej cudownej kobiety! Kochanek osiągnął dzięki jej i zarazem dał jej zakosztować tego niewypowiedzianego szczęścia rozkosznych upojeń, do tego stopnia czarownych w objęciach istoty takiej jak ona, że nie mógł jej zapomnieć i do dziś dnia był pożerany straszną, nieuleczalną tęsknotą!... Nawiał tych myśli przejął d'Audiguer'a dreszczem do głębi. Niewytłumaczony pociąg i antypatyę zarazem, jaką odczuł za pierwszym widzeniem Malclerc'a wyjaśniały mu się teraz. Podwójne uczucie ogarnęło wtedy jego serce. Będąc jeszcze dotychczas pod wpływem Antoniny, przejęty jej zapatrywaniem i gustem, bezwiednie lgnął do

młodego człowieka. Odpychało go odeń tajemnicze przecucie strasznej prawdy. Jak ona była okropna! W istocie tak okropna, że usuwała nawet na razie myśli o losie Eweliny związanej małżeństwem z kochankiem swej matki. Ten przywiązany i oddany Filip d'Audiguer, którego dziś rano myśl sama o nieszczęściu zawieszonym nad głową pani Malclerc doprowadzała do rozpaczy, w tej chwili zdawał się zupełnie zapominać o jej istnieniu, będąc pochłoniętym rozpamiętywaniem przeszłości, poszukiwaniem śladów, dawniej przezeń niedostrzeżonych...

Przypomniawszy sobie, że przez czas jakiś Antonina nie przyjmowała go o zwykłej godzinie. Jako przyczynę podawała przepis lekarza, nakazujący jej przechadzkę pieszą. A on, d'Audiguer, uwierzył w to!... Widział siebie jak przed ostatnią swą podróżą do Włoch, namawiał Antoninę by z nim razem pojechała, do czego pierwotnie wyraziła ochotę, odmawiając potem: »z powodu córki« jak się wyraziła, czemu on także uwierzył! Ucieszył się tem nawet widząc w niej tak dobrą matkę!... Dwadzieścia epizodów podobnych stanęło mu teraz na myśli, upakarzając jego wrodzoną przezorność, aż do ostatniego zlecenia listów z nakazem by je natychmiast spalił... Scena ta wskrzesiła się w jego pamięci z najdrobniejszymi szczegółami... Był wtedy tutaj, w tym samym pokoju, przy tym samym kominku, trzymając w ręku kopertę z białej delikatnej skóry, której wnętrze ochraniały tylko wstążki. Przedmioty otaczające go nic się od tego czasu nie zmieniły: Dwa duże kobierce florentyńskie podług Filippina Lippi ozdabiały

wtedy ścianę cichej sali tak jak dzisiaj. Tak jak dzisiaj kolorowane karty tarokowe jaśniały swą różnokolorową barwą na tle ciemnego, starożytnego pulpitu kościelnego; wytworny profil księżniczki malowanej przez Pizanella zarysowywał się jak kamea na tle pejzażu jasnych gór i rzek; statuetki złote wznosiły się na półkach, srebrny piedestał wysokiego krucyfiksu Verrochia jaśniał tak jak dzisiaj. Wszystkie przedmioty i skarby muzeum otaczały tak jak dziś swego pana, nakłaniając go do zapomnienia o życiu i jego troskach, by zatopić się w podziwianiu sztuki. Wtedy nie zwracał jednak na nie najmniejszej uwagi, będąc pochłoniętym jedną jedyną myślą o kopercie zawierającej listy Antoniny. Dziś dla lepszego uprzytomnienia sobie tej chwili i wywołania na pamięć cienia Antoniny począł patrzeć na te karty malowane, obrazy, rzeźby, te arcydzieła złotnictwa i snycerstwa, mozaiki, klejnoty, wszystkie te rzeczy nieczule i martwe, ale one go nigdy nie zwiodły, nie zawdzięczały im nic prócz radości!... I odrzucając na bok rozsypane kartki pamiętnika Malclerc'a rozdzierające mu serce, wykrzyknął głosem, w którym drżała boleść i żal za swą znikłą wiarą w ideały życia:

— »Wszystko kłamało, z wyjątkiem tego!«...

W tej chwili oczy jego napotkały pomiędzy arcydziełami rozrzuconemi na sztalugach i stołach skromny obraz, o którym Malclerc wspomina w swej spowiedzi, tę świętą Klarę w habicie franciszkańskim, bosą, trzymającą swe serce w ręku. Zdanie Antoniny wyrzeczone do młodego człowieka:

»Wten sposób chciałabym mieć zrobiony mój portret dla Ciebie...« nasunęło się nagle na pamięć starca razem z innemi, skreślonymi przez Malclerc'a samego:

»Doprawdy, to serce mej biednej kochanki paliło się w rękę tej świętej.« Myśl, że obraz ten służył im obojgu za przedstawiciela jej miłości, że spoglądali nań z tem samem uczuciem, sprawiła mu ból fizyczny obrzydzając mu malowidło. Podszedł doń gwałtownie, jak gdyby podchodził do swego rywala i ręką drżącą ze złości, zdarł je ze ściany. Potem spostrzegając kufer obok stojący, otworzył wieko i wrzucił kosztowny obraz gestem, który pozyskałby mu miano szaleńca, w oczach zbieraczy starożytności całego świata, gdyby widzieli go teraz z jaką brutalnością i nienawiścią obchodził się z delikatnem arcydziełem, wykonanem z drobiazgową dokładnością i przechowywanem dotychczas z największą czcią i uszanowaniem.

.....

Ten człowiek zawsze tak uważający, szlachetny w każdym ruchu, którego życie całe przeszło na czynnościach wytwornych i estetycznych, dopuścił się tak nierozsądnego wprost dziecinnego uniesienia.

Przesunął ręką po czole i oczach i wstrząsnął kilkakrotnie swą siwą głową jakby chcąc powiedzieć: »nie i jeszcze raz nie;« zaprzeczyć sobie samemu, że mógł unieść się taką złością, poniżającą go we własnych oczach. Powrócił do stołu, na którym leżał pamiętnik Malclerc'a. Pozbierał rozrzucone papiery. Potem oparłszy głowę na rękę zaczął przeglądać go jeszcze i zagłębił

się w rozmyślaniu nie mającemu nic wspólnego z irytacją jakiej podlegał przed chwilą.

Z kartek tych teraz wyglądał cały czar Antoniny, która stanęła mu przed oczyma tak jasno i dokładnie, że na nowo począł ulegać jej wpływom. Była tu teraz przed nim uśmiechająca się, z wdziękiem sobie właściwym, uśmiechem dziecka niewinnego, wesołego i smutnej kobiety zarazem — zdawała się stać teraz przed nim, z ustami rozwartymi, z małym dołeczkiem drżącym w prawym ich kąciuku. Jak Malclerc znał ją dobrze! Jak znał bolesny wdzięk, błędzący koło jej ust! Jak dokładnie zwierzenia jego opisywały jej postać! Jak starzec odczuwał sercem, każde słowo jego pamiętnika! Widział jej jasne źrenice. Roztwierały się szeroko i patrzyły nań z wyrazem „*zarazem szczerze otwartym i tajemniczym.*“ Mówiła doń także, do niego także przemawiała tym głosem „*który zdawał się pochodzić z głębi jej duszy...*“

Jakkolwiek tak różnymi byli obaj ludźmi, wrażenia ich i zapatrywania o ich przyjaciółce, miały tyle podobieństwa, tyle wspólności, która napawa mimowolną sympatyą do znienawidzonego rywala. I zwolna obraz Antoniny wywołany namiętnością innego, począł rysować się coraz dokładniej w myślach d’Audiguer’a. Gorące źródło miłości wytrysło na nowo, i poczęło zalewać strumieniem to serce sześćdziesięcioletnie, jakgdyby wiarołomna we własnej osobie weszła nagle do pokoju. Wiarołomna? Czy w istocie miał prawo nazywać ją w ten sposób? Jaką obietnicę uczyniła mu? — jakiej nie dotrzymała? Jakich zobowiązań nie dopełniła?

Jeśli nie zwierzała się przed nim nigdy ze swą miłością do Malclerc'a, to czyż nie dlatego jedynie, że czuła się kochaną, przez swego starego przyjaciela silnej i namiętniej, niż tego zwykła przyjaźń wymaga i pragnęła oszczędzić mu niepotrzebnych cierpień. Był dla niej tem czem jej córka. Tak subtelna i delikatna w odczuwaniu serc ludzkich, nie chciała jego i ją narażać na najmniejsze nawet przykrości wynikłe z jej przyczyny. Nie chciała im zabierać ich szczęścia. I nic nie zabrała do końca życia swego. Milczenie jej nie było ani hypokryzyą, ani oszukaństwem. Było ono jawnym dowodem szacunku dla ich praw osobistych, chęcią oszczędzenia im, tak drażliwym na punkcie miłości do niej, wszelkich trosk i cierpień zazdrości. Czyż te listy oddane mu, z całą szczerością i zaufaniem, bez słowa wytłumaczenia, nie były najlepszym dowodem i wyznaniem, że miała przed nim pewne tajemnice, lecz pragnie by ich nigdy nie poznał. Jak mógł choć przez godzinę czuć do niej urazę za jej dwoiste życie — jeśli sama oddała mu swą tajemnicę w ręce, z ufnością bezgraniczną, znamionującą ile szacunku i przyjaźni doń miała? Miejsce jakie zajmował w jej sercu nie było wprawdzie największe, ale czyż nie otrzymał bardzo, bardzo dużo? Gdy spotkał ją raz pierwszy nad brzegiem jeziora Como, w smutnej epoce przed jej małżeństwem z Albertem Duvernay, czegoż wtedy pragnął, żądał, spodziewał się? By pozwoliła mu opiekować się nią, kochać ją. Czy nie dotrzymała swego słowa i przyjąwszy jego przyjaźń odrzuciła ją kiedykolwiek? Nie zawierzyłaż mu w zupełności, wzywając jego pomocy nawet po śmierci, by zniszczył ostatnie do-

wody jej miłości? Czy nie okazała mu tem jak wysoko go ceniła i szczerze wierzyła w jego delikatność i miłość.

Jeśli nawet ukrywała cokolwiek przed nim, w każdym razie postępowanie jej było zawsze bardzo szczere i otwarte. I wobec tych jasnych dowodów jej prawego charakteru uczuł wyrzuty sumienia. Za swą złość poprzednią, łzy poczęły mu spływać po zmarszczkach twarzy i chowając swe biedne oblicze w ręce począł serdecznie płakać, powtarzając do swego ukochanego cienia teraz znikłego: »Przebacz! przebacz! przebacz!«

Teraz dopiero, po tem gwałtownem wstrząśnieniu wyrzutów sumienia i rozczulenia począł szlachetny starzec odzyskiwać swój zwykły spokój i równowagę umysłu.

O czem i o kim myślał od chwili gdy Ewelina wyszła z tego pokoju i zaczął czytać pamiętnik Malclerc'a?

O swej własnej historyi i o sobie, jedynie o sobie samym. Siebie tylko miał na myśli.

O co się zapytywał? Czy był »zdradzonym« przez Antoninę. A podczas tego istota żywa i czująca, ta czuła niewinna Ewelina, która zwróciła się do niego ze swem nieszczęściem, w imię tej samej Antoniny; była w strasznem położeniu, a on zapomniał o tem!...

Zapomniał w jakich okolicznościach zostały mu oddane te zdradzieckie papiery przez męża biednej kobiety, nazajutrz po pierwszym zamachu na swe życie, może w przededniu drugiego.

Zrózpaczony człowiek powierzył mu tajemnicę swego serca, pragnąc widocznie by po śmierci jego, choć je-

dną osobą poznała prawdziwy powód jego postępowania, nie porzucił więc swych planów samobójczych.

Stan w jakim znajdowała się teraz młoda kobieta, pogarszał jeszcze sytuację. Każde zmartwienie stawało się dziś groźnem dla jej zdrowia a może i życia. Położenie pogarszało się z każdą chwilą, mogło niedługo doprowadzić do strasznych rezultatów! Malclerc znękanym i wyczerpanym sceną wczorajszą, odrzucił wszelką dumę i miłość własną, upokarzając się przed nim dobrowolnie. Złożył swój los w ręce starego przyjaciela żony. Lecz czy długo tak potrwa? Choroba tego małżeństwa, jak się słusznie wyraziła pani Muriel, przechodziła teraz kryzys. On miał być lekarzem. Wszystko zależało od niego. Przypadek chciał by wszelka odpowiedzialność za ich przyszłość spadła na niego. Czy miał uciekać przed tym obowiązkiem?...

Gdy te myśli poczęły przebiegać głowę starca, nerwy jego uspokoiły się w zupełności. Łzy zaschły mu w oczach. Natężenie całej siły woli objawiło się w powstaniu energicznem i jakby chcąc zmanifestować swem zachowaniem zmianę zaszłą w jego duszy, począł drżącymi rękami porządkować systematycznie rozrzucone kartki pamiętnika Malclerc'a. Oddał się tej pracy z całą troskliwością, z jaką układał papiery i starożytności, zamku d'Orsay, w którym spełniał niegdyś czynności referendarza.

Złożywszy zeszyt w porządku schował go do orzechowej szafy, rzeźbionej w stylu Renaissance, gdzie przechowywał najrzadsze dokumenta, odnoszące się do

drogocennych przedmiotów jego muzeum, od której klucz nosił zawsze przy sobie.

Potem począł spacerować wszcz i wzdłuż pokoju, tak jak kilka godzin temu, gdy oczekiwał Ewelinę. Wskazówka zegaru w formie monstrancyi przebiegła już połowę cyferblatu; zmierzch począł zacieniać drzewa w ogrodzie, rzucać cień na pokoje, gdy starzec nie przestawał jeszcze swej przechadzki. Nie jadł nic od rana, gdy służący wszedł, oznajmując podane śniadanie, nie słyszał nawet słów jego. Stracił rachubę czasu, dopiero spojrzenie na zegar przypomniało mu ten post mimowolny. Umysł jego był w stanie najwyższego ną-
tężenia, które poprzedza zwykle niektóre postanowienia absolutne i nieodwołalne. Obawa i troskliwość o szczęście swej pupilki nie były jednak jedynym bodźcem, popychającym go do czynu. Bezwiednie dał się opanować uczuciu zupełnie nowemu.

Powstała w nim chęć rywalizacyi z Malclerc'em. Nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy, że gorące życzenie polepszenia doli Eweliny miało źródło w zazdrości. To straszne uczucie tak groźne i niebezpieczne w sercach tylu ludzi, zmienia ich nie do poznania, poniża ich szlachetne instykta, kalając duszę, przybiera czasami formę o tyle doskonałą, o ile rzadką: jest to współzawodnictwo w ofierze poświęcenia. Wobec kochanka, niegdyś ubóstwianego człowieka, który wszystko otrzymał, wszystko posiadał, wyobrażał d'Audiguer miłość rycerską, bezinteresowną, która za najwyższy szczyt szczęścia uważa poświęcenie się dla ukochanej istoty, oddanie się jej całkowite, nic w zamian nie żądając.

Cóż może stanowić cel bardziej święty dla człowieka, kochającego taką miłością nie odwzajemnioną jak okazanie swemu ideałowi całego ogromu swego uczucia, przewyższającego tamtą drugą miłość, przytłoczenie jej wspaniałością swej ofiary, zawstydzenie jej na każdym kroku swą szlachetnością i poświęceniem, swem zaparciem się zupełnem?

Walka zarazem bolesna i rozkoszna, którą jeden z kochających w ten sposób romantyczny i tajemniczy la Bruyère nazwał tak trafnie w swych żalach: *„Jest to słodką zemstą dla tego, który bardzo kocha, zrobić ze swego zwycięzcy swem postępowaniem istotę niewdzięczną, bardzo niewdzięczną“* ...

Czy obronienie Eweliny po tem co się dowiedział, z większym jeszcze zapalem niż wtedy, gdyby był nie poznał tajemnicy Antoniny, nie było to dla d'Audiguera przesłaniem bolesnego okrzyku »jej« tam poza grób.

»Ty kochałaś »innego« najbardziej na świecie, lecz ja kochałem ciebie najbardziej. Na szczęście, którem go obdarzyłaś, ja zasługiwałem. Teraz ja naprawię złe, jakie wyrządził człowiek, którego nade mnie przeniostaś, ja obronię twą córkę, obronię jego!«

Obronić Ewelinę? Lecz w jaki sposób? To pytanie stawiał sobie raz po raz d'Audiguer podczas długich godzin namysłu, nie mogąc na nie odpowiedzieć. Na próżno wzywał na pomoc doświadczenie swych sześćdziesięciu czterech lat, gorące życzenie ocalenia biednego dziecka ukochanej zmarłej. Bywają w życiu położenia bez wyjścia, jedynym środkiem nań jest czekanie.

Najgorsze nieszczęścia, wydające się nie do usunięcia, łągodzą się z czasem i kończą zupełnie lub też jeśli nie kończą to się zużywają. Lecz zanim ta siła wywrze swój wpływ zbawienny, trzeba tyle przeboleć, tyle przecierpieć! Bywają zagadki życiowe niemożliwe do rozwiązania. Jedną z takich było małżeństwo Eweliny.

Poślubiając córkę swej kochanki, tak jak on to zrobił, powodując się uczuciem, które zachował dla pamięci zmarłej, złudzony podobieństwem szalonym pomiędzy temi dwiema kobietami, Malclerc zaplątał się w taki okropny labirynt moralny, że jednakową niemożliwością stawało się pozostanie jak i wyjście z niego. Jakkolwiek fakt taki nie jest przewidzianym w żadnym kodeksie i postępując tak jak postąpił, nie uchybił prawu ogólnie uznanemu, niemniej jednak uchybił jednemu z praw nie zapisanych w księdze, przechowywanem jednak w sercach każdego uczciwego człowieka, potępiającego czyny niegodne z honorem i sumieniem. Ta zamiana moralna i fizyczna kochanki na żonę, matki na córkę, stawała się czemś monstrualnem. Była to anomalia tem gorsza, że w objęciach córki szukał i znajdował zawsze tylko wspomnienie pieśczoł matki, tem straszniejsze dla niego samego, że żywa nie potrafiła mu nigdy zatrzeć obrazu zmarłej. Nieszczęśliwy, dziennik jego okazywał to bardzo dobrze, zatruwał sobie — były to jego własne słowa — terażniejszość, myślą o przeszłości i przeszłość myślą o terażniejszości.

Cóż mu doradzić? Opuszczenie młodej kobiety wtedy, gdy miała zostać matką?...

Opuszczenie takie stawało się nową zbrodnią. Życie z nią nadal?... Czy było możliwem w podobnych warunkach? Czy uciekając się do samobójstwa jako do jedyne go punktu wyjścia z tego położenia, nie postępował zupełnie racjonalnie? A jednak nie. Zabicie się nie poprawiało całej sprawy. Mąż, którego żona ma wkrótce zostać matką, nie ma prawa umierać, nie śmie pozbawiać się życia. Cóż robić zatem? Czy było możliwem zastosowanie w tym wypadku środka energicznego, stanowczego? Czy pozostawało tylko czekanie? Pozostawało tylko jedno, to co Malclerc kilkakrotnie pragnął zrobić, nie uczyniwszy jednak: wyznać wszystko Ewelinie. D'Audiguer za dużo widział w życiu, za dużo sam przeżył, by nie wiedzieć, że naga prawda przynosi za sobą niejednokrotnie wyleczenie. Dowodem najlepszym tego jest, że nieszczęście jest mniej okropną rzeczą, niż oczekiwanie na nie, odkrycie niebezpieczeństwa przynięta mniej, aniżeli podejrzywanie go. Wiedząc tak dobrze jak i on, czemuż Malclerc zwlekał z tem wyznaniem. Dlaczego? Gdyż czuł również jak i d'Audiguer, pojmował jasno, że nigdy nie jest dozwolonem człowiekowi kłać wspomnienie matki w sercu córki, choćby go do tego zmuszały najstraszniejsze okoliczności. Jakich słów trzeba dobrać, by oznajmić jej tak straszną nowinę? Czyż można było dać Ewelinie do przeczytania spowiedź jej męża, w której każde zdanie rozdarłoby jej serce, zatruwając je jadem zwątpienia i rozpacz y?

Czy pozostawało mu co innego do zrobienia, jak ukrywanie przed młodą kobietą całej prawdy, by nie

dowiedziała się nigdy kogo poślubiła, biorąc za męża Malclerc'a, czyż nie było to ich obowiązkiem?

Powinni byli za jakąkolwiek cenę starać się wspólnymi siłami by utrzymać ją w stanie absolutnej nieświadomości. Cios byłby zbyt okrutny ...

Cóż robić zatem? Co robić? Przywołać do pomocy sumienie Malclerc'a, to sumienie dziś mocno obciążone, jednak żyjące, czujące głęboko mimo swych przewinień, które przebijało się w każdym zdaniu jego pamiętnika, w każdym słowie, gdy wołał:

„Odbywa się we mnie przemiana! Powstaje bunt, Co się buntuje? Mój honor!” — a potem — *„Czuję się bardzo odpowiedzialnym wobec niej. Mam wyrzuty sumienia“* ...

Honor jest struną, którą u mężczyzny można śmiało zawsze poruszyć. Prawie zawsze wyda ona odźwięk. Tak, jak odwaga powstaje i powiększa się wobec świadków. Czy byłby Malclerc powierzył d'Audiguerowi swą tajemnicę, gdyby nie został w imię honoru wezwany do wytłumaczenia się?

»To co pan każesz zrobić uczynię« — rzekł, oddając mu swój pamiętnik z całym przeświadczeniem o szczerości swych słów. Ile wstydu i żalu zawierały jego słowa, gdy przemówił:

»Proszę mi pozwolić uścisnąć swą rękę. Może to będzie po raz ostatni?«

Jak bardzo odczuwał całą grozę położenia, czując się niezdolnym do znoszenia jej, sam jeden znamionowało wyznanie:

„Muszę, muszę jej wyznać! Nie jestem w stanie dźwigać sam jeden tej strasznej tajemnicy. Raz musi się wszystko skończyć!“ ...

Mimo wielkiego przestępstwa Malclerc pozostał jednak człowiekiem honoru, nie poświęcił spokoju młodej kobiety dla uspokojenia swej duszy. Ten sam jednak honor kazał mu wyznać wszystko d'Audiguer'owi.

Im dłużej myślał Filip, tem jaśniej pojmował, że jedynym punktem wyjścia z tego zaczarowanego koła był żal Malclerc'a. Trzeba było, by człowiek ten zrozumiał, że odważne i tajemnicze znoszenie wewnętrznego bólu było jedynem możliwym zadośćuczynieniem za zło popełnione. Zaryzykował całą swą egzystencję, poświęcił przyszłość młodej dziewczyny, by zadowolić chorobliwą chęć przeżycia raz jeszcze zaznanych dawniej wrażeń. Dziś odzyska szacunek samego siebie, odzyska siły życiowe, utracone, gdy pocznie pracować nad zapanowaniem nad swemi nerwami, by ból szarpający mu duszę nigdy nie został poznany przez istotę, którą unieszczęśliwił dotychczas. Pora była tem trudniejsza, że uwaga Eweliny zbudzona teraz, nie spocznie ani na chwilę każąc jej dopatrywać na twarzy męża najmniejszych śladów niepokoju wewnętrznego. Po przejściach wczorajszych nie zawaha się przed niczem, szpiegując go na każdym kroku, byle tylko poznać tajemniczą przyczynę jego postępowania.

Lecz wkrótce miała zostać matką. Narodziny dziecka stanowią tak ważną epokę w życiu człowieka, że odwróca jej uwagę nawet od istoty ukochanej. Cztery lub pięć tygodni dzieliły ją od tej chwili. Byle tylko Malclerc znalazł dość siły, by utrzymać się w swej roli,

byle nie stracił siły panowania nad sobą, może wszystko jeszcze być naprawionem.

— »Może macierzyństwo wywrze wpływ zbawienny na Ewelinę, uspakajając ją na czas jakiś, gdy tymczasem Malclerc zżyje się ze swą maską przybraną« — mówił do siebie d'Audiguer — »widziałem przecież ile dobrego sprawiły narodziny dziecka Antoninie.

Tak, macierzyństwo uspokoi ją zupełnie, zupełnie, ocalając ich oboje, jeżeli jednak przedtem niczego się nie domyśli. To zależy od niego, od niego samego... Ach!... Zmuszę go do tego... Byle tylko dzisiejszej nocy nie zaszło co nowego?... Nie przebaczyłbym sobie tego nigdy. Powinienem był zawezwać go dziś jeszcze do siebie i rozmówić się z nim stanowczo. Lecz byłoby to ponad moje siły... widzenie go po dowiedzeniu się całej prawdy, nie mogło nastąpić zaraz. Lecz jutro... jutro... też będzie okropne!...

.

Takimi myślami, takim postanowieniem zakończył starzec ten bolesny dla siebie dzień. Obawa pierwszej rozmowy teraz, gdy bez ogródek musiał mówić o wszystkim, wzruszała go tak głęboko, że noc całą nie mógł zasnąć.

W swym zapale wczorajszym mógł wznieść się aż do heroizmu przebaczenia kochankowi swego bóstwa, mógł przejąć się całym ogromem i świętością miłości bezinteresownej, która za jedyną zemstę uważa poświęcenie swego ja. Przedewszystkiem jednak był człowiekiem. Mimo swych najszlachetniejszych instynktów nie mógł postradać cech ludzkich i myśl urzenu

przed sobą tego, któremu Antonina oddała się duszą i ciałem, perspektywa rozmowy z człowiekiem, który zabrał mu wszystko co uwielbiał i kochał w życiu, obrabował z najszcześniejszych wspomnień, sprawiała mu już naprzód ból tak dotkliwy, że kilkakrotnie porwała go chęć uniknięcia tego widzenia się, odłożenia go przynajmniej. Możeby zamiast rozmowy ustnej z Maclerc'em, napisać mu szczegółowo i dokładnie o swem postanowieniu. Lecz czy list może być tak skutecznym jak żywe słowo?

Do zasuggestyjonowania kogoś — a wszak tutaj chodziło o to — potrzebnym jest wpływ osobisty, wzrok, żywe słowo... A przytem list może być ukradzionym, wpaść w ręce, dla których nie jest przeznaczonym. Gdyby tak przypadkowo dostał się Ewelinie? Nie. Widzenie się natychmiastowe było nieodzownie potrzebnem.

Słabość, jaką okazał, bojąc się rozmowy z Malclercem oburzyła d'Audiguer'a na samego siebie. Jakim prawem usunąć się chciał od spełnienia swego obowiązku, biorąc w rachubę własne wzruszenie i ból? Zresztą czego się obawiał? Cierpienia moralnego? Miał go już dosyć i bez tego. Słów Malclerc'a? powtórzenia pierwszego wyznania? Szczęście, a może nawet życie córki Antoniny wchodziło tu w grę, a on mimo całej miłości dla pamięci matki, mimo troskliwości i litości dla biednego dziecka, niewinnie cierpiącego, nie znajdował dość energii, by polepszyć jej los i wybawić z nieszczęścia?

W jaki sposób uspokoić wahającego się i słabego człowieka jeśli sam będzie znękanym i bezsilnym wobec

nagłych zmian, zaszłych w jego życiu? Nie można nikogo natchnąć odwagą, jeśli samemu czuje się obawę; nie można wlać siłę, jeśli się jest słabym, wolę, jeśli się jest bezwładnym.

— »Nie«, — rzekł do siebie, po chwili namysłu — »nie będę podobnym do niego!«

To porównanie z Malclerc'em zadecydowało stanowczo o przyszłych czynach tego człowieka, któremu życie czyste i uczciwe, wierność dla jedyne go uczucia zachowały serce młode i świeże, mimo lat, które posrebrzyły jego włos i przychyliły szlachetną postawę. Pierwszym czynem jego było wysłanie do Malclerc'a biletu, w którym prosił go o przybycie na ulicę de la Chaise, o przybycie możliwie najszybsze.

Postarał się, by list cały miał jak najszlachetniejszą formę. Gdyby nawet wpadł on przypadkowo Ewelinie w ręce, nie znalazłaby w nim nic podejrzanego. Do tej ostrożności dołączył jeszcze inną. Oddając bilet służącemu, polecił mu, by wręczył go do rąk własnych adresata i czekał na odpowiedź. Nie miał odwagi dawać mu więcej zleceń. Z całej duszy jednak pragnął, by Ewelina nie dowiedziała się o niczem.

Odetchnął więc spokojnie, gdy za powrotem służący rzekł mu, że wręczył list samemu panu Malclerc.

»Czy był sam jeden?« — pytał d'Audiguer.

— »Sam jeden«, brzmiała odpowiedź.

— »I co odrzekł?« — spytał Filip.

— »Że zaraz tu przybędzie za mną.«

.

Tak więc pierwsza rozmowa, jaka miała miejsce, między tymi dwoma ludźmi odbyła się w zupełnej tajemnicy przed Eweliną. Fakt ten wydawał się d'Audiguerowi rzeczą tak wielkiej wagi, że było treścią pierwszego zapytania, jakie zadał Malclerc'owi, ujrawszy go. Dwaj ludzie stali jeden naprzeciw drugiego przez parę minut wzruszeni, nie mówiąc ani słowa. Zmieszanie ich usta-piło dopiero wtedy, gdy starzec wyciągnął rękę ku swemu gościowi ruchem, który pozostał mu zapisany tam wy-soko, jako nowy dowód szlachetności i wspaniałomyśl-ności. To zwykłe, codzienne powitanie miało u niego charakter tak serdeczny, że Malclerc uczuł odrazu, że stoi przed nim przyjaciel, nie srogi sędzia. Dla Filipa jednak dotknięcie się ręki rywala równało się bolowi fizycznemu. Uścisk dłoni kochanka Antoniny wzbudził w nim na nowo szaloną zazdrość, którą zdawało mu się uciszył na zawsze.

Duma osobista kazała mu zapanować nad sobą, by Malclerc nie podejrzewał ani chwili, jak bardzo wzru-sza go samą swą obecnością.

W każdym innym czasie zadziwiałaby go mocno zmiana, zaszła w postaci starca. Dziś sam czuł się tak znękanym i zajęтым swem cierpieniem, że na nic uwagi nie zwracał. Gdyby nie to usposobienie, dojrzałby, jak bardzo cios wczorajszy odbił się na twarzy d'Audiguer'a. Zmarszczki pogłębiły się jeszcze silniej, cera pobraźla, koło oczu zarysował się cień siny, źrenice zamglily się. Filip postarzał się o dziesięć lat w przeciągu paru go-dzin. Gdyby gość jego znał dobrze jego zwyczaje, zdzi-wiłby się, widząc, że starzec przeznaczył dla ich rozmowy

pokój, leżący za sypialnią, oddalony od muzeum, zamiast galeryi, w której zwykle siadywał otoczony swymi ukochanymi skarbami. Nie mógł on znieść myśli, że Malclerc będzie przeglądał się znów małemu obrazkowi Angelica, powieszonemu na swoim miejscu na ścianie i przypominał sobie Antoninę, patrząc na tę świętą trzymającą gorejące serce w rękę. Chciał zachować całą zimną krew podczas ich rozmowy i w istocie głos jego nie zdradzał najmniejszego wzruszenia, gdy zapytał:

— »W jaki sposób rozstałeś się pan z Ewelina? Mam nadzieję, że nic nie wie o tem, że pisałem do pana?«...

— »Absolutnie nic a nic« — odrzekł Malclerc. — »Nie widziałem się z nią nawet dziś rano. Lecz wczoraj była w trochę lepszym humorze. Wróciła od pana spokojniejsza, mimo że wzrokiem zdradzała, że nie zaprzestała poszukiwań. Ja też byłem daleko spokojniejszy. Ach nie przypuszcza pan nawet, ile siły dodało mi widzenie się z panem, ile pociechy sprawiła pańska gorliwość, z jaką zgodziłeś się na poznanie całej prawdy. Powtarzam raz jeszcze, bałem się że oszaleję...«

»Przytem znam pana tak dobrze panie d'Audiguer. Gdy rozmawialiśmy niegdyś, »ona« mówiła mi zawsze: »To najszlachetniejsze serce, jakie spotkałam w mem życiu... Wiedziałem, że pan mnie zrozumiesz i będziesz żałował. Tak, potrzebuję pańskiej litości! Gdy podawał mi pan dłoń swą przed chwilą, czułem, że »ona« była pomiędzy nami, »ona« dla której byłeś pan najlepszym przyjacielem, a ja!... Ale co panu jest panie d'Audiguer? na Boga co panu jest?...«

Starzec zbladł straszliwie, podczas gdy Stefan wymawiał te ostatnie słowa. To wspomnienie Antoniny i towarzyszący mu wzrok pełen tklivości, namiętny akcent z jakim wymówił drżącym głosem słowo »ona«, okrutna ironia mieszcząca się w tem dla niego, dla szacunku jakim otaczał pamięć kobiety kochającej innego, wszystko to było dla niego zbyt silnym ciosem. Rana tajemna otwarta od wczoraj, została poruszoną i to jaką ręką! Ból dławił go, dusił... Lecz już opanował swą słabość i odrzekł spokojnie:

— »Nic mi nie jest. Trochę zmęczenia oto wszystko. Wstrząśnienie wczorajsze osłabiło mnie. O! było silne, mogę pana zapewnić, gdy Ewelina mówiła mi o swych troskach głosem drżącym ze wzruszenia. Ale już mi lepiej...« Przytem twarz jego stała się poważna. głos jasny i stanowczy gdy wymówił to zdanie: — »Tu nie o mnie idzie tylko o pana. Przedewszystkiem jednak o Ewelinę... Zażądałeś pan — dodał po chwili namysłu — mej pomocy w celu poprawienia waszego icsu, uratowania pana i *tego biednego dziecka*. To są pańskie własne słowa. Znam tylko jeden sposób, zapomocą którego jeden człowiek może pomódz drugiemu, Jest nim bezwzględna szczerość. Przedewszystkiem powinien i musi on absolutną prawdę powiedzieć...«

— »Jestem gotów do wysłuchania wszystkiego« odrzekł Malclerc. »Cokolwiekby mi pan powiedział, jakkolwiekby osądził, nie będziesz surowszym sędzią, jak ja sam dla siebie jestem«...

— »Może osądzę pana inaczej,« mówił d'Audiguer. »Będę brutalnym« dodał. »Chciałeś pan dopatrzeć się

w swej sytuacji rzeczy nieistniejących. Z całym uporem — dowodzi to pański dziennik — starałeś się pan wzbudzić wyrzuty sumienia z powodu zbrodni wyimaginowanej i wyrafinowanej, zbrodni, której pan nie popełniłeś. Napisałeś pan „*mam poczucie kazirodztwa*“ i, nie przecząc pan, upodobałeś sobie nie uczucie lecz wyrzuty sumienia, jakie ono wywołuje. Rzeczywistość jest skromniejszą i prostszą, trzeba się jej dobrze przypatrzeć. Nie popełniłeś pan tej zbrodni. Gdyby zachodził w waszym małżeństwie fakt kazirodztwa, nie pozostawałoby panu nic innego prócz samobójstwa. Niema tu kazirodztwa. Jest tu zbrodnia, lecz inna, mniejsza, możliwa do naprawienia, która nosi miano: »nadużycie zaufania«... I na znaczący gest młodego człowieka dodał: — »Upowiedziałem pana, że będę brutalnym... Czy mogę dalej mówić?«... Gdy Malclerc poruszył głową na znak przyzwolenia ciągnął dalej: »Książdz u którego pan byłeś w przeddzień poslubienia Eweliny powiedział, że małżeństwo jest sakramentem. Miał rację. Lecz ja jako dawny urzędnik określe panu małżeństwo w pojęciu prawniczym. Twierdzą, że jest poprostu kontraktem. Zatem przy kontrakcie, gdy jedna ze stron interesowanych kryje przed drugą jakąś tajemnicę, natury takiej jak znana nam sprawa i przeszkadza wspólnemu porozumieniu się, popełnia czyn zwany podstępem. Oto prawdziwa nazwa błędu pańskiego wobec Eweliny. Jeśliby to dziecko lub ktokolwiek z jej otoczenia, jej ciotka naprzykład znał pańską przeszłość, małżeństwo to nie doszłoby do skutku. Wiesz pan o tem bardzo dobrze. Nie brałeś tego w rachubę. Postąpiłeś sobie podstępnie. Błąd w tem

leży. Tylko w tem, w niczem innem. Przyznajesz mi pan rację czy nie?»

— »Przyznaję« odparł Malclerc. Twarz jego, gdy d'Audiguer wymawiał ubliżające mu słowa „*nadużycie zaufania, podstęp*“ zachmurzyła się. Widocznie nie spodziewał się że starzee będzie wyrażał się głosem tak surowym, w zdaniach tak nielitościwych, w których odczuwał nie bez zdziwienia gniew graniczący z nienawiścią. Lecz on sam spowodował tę rozmowę swemi zeznaniami wczorajszemi i wręczeniem swego dziennika. Teraz trzeba było znosić skutki ze spokojem. Pohamował się więc.

— »Od chwili, gdy sprawa tak stoi« mówił dalej d'Audiguer »poznałeś pan naturę swego postępku, która sama wykazuje panu obowiązek jaki powinienes spełnić: Przyjęcie wszelkich konsekwencyi swego błędu, jest jedynem zadośćuczynieniem, jakie dać może człowiek uczciwy. Więcej od niego nic wymagać nie można. W mowie potocznej nazywa się to braniem wszelkiej odpowiedzialności za swe czyny. Poślubiłeś pan pannę Duvernay kryjąc w głębi duszy tajemnicę, którą powinienes pan był wyznać jej przed ślubem. Ożeniwszy się z nią zobowiązałeś się pan wobec własnego sumienia, że tajemnicy tej nigdy się ona nie dowie, chociażby ci przyszło skonać z bólu. Każde słowo, ruch, zmiana w twarzy, usposobieniu, które mogło naprowadzać twą żonę na myśl, że kryjesz coś przed nią podczas ostatnich miesięcy, było nowym błędem dołączonym do pierwszego. Na szczęście jeszcze nie zapóźno dla naprawienia złego. Jeśli od tej chwili Ewelina będzie cię widzieć spokojnym, naturalnym, pocznie wierzyć, iż wy-

buchy gwałtowności i smutku, które ją tak unieszczęśliwiały, zarazem też scena wczorajsza, wszystko to było następstwem rozdrażnienia nerwowego, o którym jej już przedtem mówiłeś. Przypuszczenia zamieniają się wkrótce w pewnik. Możesz pan cierpieć, lecz ona nie powinna tego wiedzieć. Oto twój święty obowiązek. Przyznaję, jest on bardzo ciężkim do spełnienia, lecz stanowi jedyne wyjście z tego błędnego koła. Sam pan temu jesteś winien. Trudno, stało się. Znieś to teraz mężnie. Odzyskasz w ten sposób własny szacunek, a z nim powróci powoli szczęście. Ocalisz ją i siebie. Masz teraz cel w życiu, dla którego musisz żyć: uleczenie rany zadanej biednemu sercu, które zaufało ci tak głęboko, z takim oddaniem się. Będę przy tobie by cię podtrzymawać na duchu, gdyż milczenie absolutne byłoby zbyt ciężkie do zniesienia. Będiesz mógł mówić o wszystkim i wszystko cokolwiek bądź będę mógł uczynić, by uciszyć podejrzenia Eweliny, zrobię jak najchętniej. Ale uważaj! Nie w przeciągu tygodnia, nie w dwudziestu czterech godzinach musi zajść ta zmiana. Powinieneś zacząć natychmiast, dziś, od tej chwili... Czy czujesz się pan dość na siłach, masz dosyć energii? ...«

— »Tak, mam!« rzekł młody człowiek głosem silnym i stanowczym. Surowy ton i zachowanie się poważne d'Audiguer'a było wprawdzie potrzebne, by wzbudzić w młodym człowieku siłę i odwagę do nowych przejść. raniły jednak boleśnie jego duszę znękaną. Malclerc cierpiał zanadto ostatniemi czasy, potrzebował trochę ciepła i uczucia, rady powinny były płynąć więcej

z serca niż rozumu, większa wyrozumiałość powinna była cechować słowa starca; powtorzywszy więc: »Tak, czuję w sobie dość energii do czynu« dodał:

»Byłeś pan dla mnie bardzo surowym panie d'Audiguer, miałeś zupełną rację. Jesteś pan bardzo mądrym człowiekiem. Nie wiesz pan jednak co to znaczy, kochać tak, jak ja kochałem, być kochanym, tak jak ja nim byłem. Nie zaznałeś pan nigdy tej szalonej tęsknoty, która czyni człowieka bezsilnym i obojętnym na wszystko co go otacza, nie pojmujesz pan co to jest »wspomnienie«, jak ono może przekształcić naturę ludzką, jak człowiek staje się wówczas pożałowania godnym, nawet będąc niewinnym«...

— »Myślisz pan, żeś tak bardzo kochał?« — odrzekł d'Audiguer gorzkim tonem. Rysy jego skrzywiły się znów boleśnie, gdy dawny kochanek Antoniny uczynił wyraźną aluzję do zmarłej.

Słowa jego, w których brzmiał ton prawie lekceważący dla uczucia Malclerc'a były wymówione głosem tak zmienionym, że ten ostatni spojrzał nań, głęboko zadziwiony. Po raz pierwszy niejasna jakaś myśl zarysowała mu się w głowie. Bezwiednie uczuł, że poza ojcowskiem przywiązaniem do Eweliny ukrywa się jeszcze coś więcej. Zdradzał to nagły błysk w oczach starca, zapął z jakim mówił dalej:

— »Kochałeś się pan, by poznać miłość i tak jak sam wyznałeś w swoim pamiętniku, by odczuwać najwyższe uniesienia upojenia, by poznać cierpienie i szczęście. Lecz nigdy nie kochałeś prawdziwie. Ani na dzień jeden, ani na godzinę nie wyrzekłeś się własnego »ja«. To czego

teraz żałujesz, szalona tęsknota, o której mi mówisz nie pochodzi z miłości. Nie tęskni się za miłością z tej prostej przyczyny, że miłość prawdziwa nie przechodzi nigdy. Umiera dopiero razem z nami, wrasta nam w serce i nic jej stamtąd wyrwać nie jest wstanie. Żałujesz pan jedynie swych wrażeń. Obie kobiety nie były dla ciebie niczem więcej jak przedmiotem, do którego mogłeś się rozpalać, dzięki któremu mogłeś upajać swe zmysły, wyobraźnię! Prawdziwe uczucie nigdy nie zagościło w twym sercu. Było za to w nich obu. W moim wieku czyta się w duszach ludzkich jak w otwartej książce. Dziś jeszcze nie wiesz pan, nie przypuszczasz co to znaczy kochać... Kochać nie znaczy otrzymywać, jest to dawać. To nie szukanie wzruszeń, lecz stwarzanie ich. To poświęcenie siebie dla drugiej istoty. Żyje się i kocha. Umiera się i kocha. Nie rozstaje się z miłością nawet wobec śmierci. Gdy druga istota kocha cię, świat zamienia się w raj. Jest on rajem jednak nawet wtedy, gdy ukochana istota nie kocha ciebie, lecz innego. Gdyż raj ten nosimy sami w sobie, on jest właśnie tą miłością. Taką miłość wzbudziłeś niegdyś, taką wzbudź i teraz. W taki sposób kocha cię Ewelina, tak kochała cię »tamta«. Tej miłości nie odczuwałeś pan nigdy ani dla tamtej, gdyż nie byłbyś poślubił jej córki, ani dla tej córki, gdyż nie dręczyłbyś jej, ani nie dręczył sam siebie wspomnieniami tamtej. Nie, nie mów mi, że kochałeś prawdziwie... Nie masz do tego prawa... Przedewszystkiem nie mów tego do mnie«...

W miarę jak d'Audiguer mówił z egzaltacją wzrastającą z każdą chwilą, coraz bardziej rozjaśniała się

jego tajemnica strzeżona dotychczas tak uparcie. Malclerc słuchał zdumiony tych słów gwałtownych, znamionujących że sprawa porusza uczucia nowe, nieznanemu dotychczas. Nagle, jak zwykle wtedy, gdy niespodziewany przypadek wykryje całą prawdę, różne drobne fakta, na pozór nieznanne, nasunęły mu się na myśl. Przypomniał sobie i widział jasno jak na dłoni. Widział serdeczną tkliwość i litość z jaką Antonina odzywała się zawsze o »przyjaźni« d'Audiguer'a, szczególniejszy szacunek i cześć z jaką wymawiała jego imię, powściągliwość starca w omawianiu całej sprawy, szczególnież zaś faktów bezpośrednio »jej« dotyczących; zmiana widoczna zaszła w jego obliczu, gdy opowiadał o obecności ducha Antoniny, wszystko to stanowiło całość zmieniającą w zupełności jego pojęcia.

Zrozumiał teraz jasno: d'Audiguer kochał panią Duvernay, a ona wiedziała o tem. Że miłość ta nie przeminęła, że istniała teraz jeszcze, znamionowało cierpienie rozlane na twarzy starca postarzałej od wczoraj, znamionowały słowa gorące wyrzeczone przed chwilą, apoteozujące prawdziwe uczucie, zdolne do poświęceń. O kimże myślał wymawiając te słowa? O sobie samym. O czyjej miłości mówił jeśli nie o swojej? Któż był tą istotą kochaną nawet po śmierci, mimo że serce swe oddała innemu, jeśli nie Antonina? Przeciw czemu buntował się ten człowiek sześćdziesięcioletni, jeśli nie przeciwko strasznej dlań rzeczywistości, przeciw czemu powstawał całą potęgą swego gorącego serca, jeśli nie przeciw smutnemu odkryciu wyjawiającemu mu namiętność Antoniny?

Pomimo własnego przygnębienia i smutku, uczył Malclerc głęboki żal i litość dla biednego człowieka. Jak strasznym ciosem musiały być dla tego wiernego serca jego wyznania! Jak strasznie bolało go każde zdanie w pamiętniku, każde słowo opisujące ich miłość, zabierające mu jedyną ułudę w życiu, zadające kłam jedynej prawdzie, której ufał!

Jaka szlachetność cechowała tego człowieka, jeśli przecierpiawszy tyle przez niego, przyjął go jednak, ofiarował się dopomagać mu, podtrzymywać na siłach!

Wszystkie te uczucia zlały się w jedno, przepelniając jego serce wstydem i wyrzutami sumienia, które spowodowały, że gdy d'Audiguer zamilkł, zbliżył się ku niemu, wyciągnął doń rękę i głosem wzruszonym zawołał:

— »Panie d'Audiguer, wybacz mi pan!«...

— »Wybaczyć? co?« — zapytał starzec, nie odpowiadając młodemu człowiekowi na jego chęć rzucenia mu się w objęcia. »Co mam panu przebaczyć?« — dodał tonem prawie surowym i ostrym.

— »Żem panu pokazał mój pamiętnik« — wybąknął Malclerc. »Ach, gdybym był wiedział!«

— »Wiedziałeś pan o mem uczuciu ojcowskiem dla Eweliny« — odrzekł d'Audiguer — »i bardzo dobrze zrobicieś, wyznając mi wszystko«.

Szlachetne jego oblicze przybrało znów swą zwykłą obojętną i zimną maskę. Nie pragnął sympatyi rywala dla swego serca zranionego, gardził jego litością. Jego jasne oczy skierowane na oczy Stefana, znamiłowały siłę i dumę człowieka, który nie chce by

wiedziano i mówiono o jego cierpieniu. Zdawały się przeszywać na wskrós Malclerc'a mówiąc mu: »Nie chcę twego współczucia«. Lecz w tej chwili, jasny, dumny wzrok ustąpił miejsca szalonej obawie i przerażeniu, gdy służący, który nosił list na ulicę de Lisbonne wszedł do pokoju przerywając tête a tête dwóch ludzi i zaanon-sował, nie bez pewnego ambarasu, świadczącego, że służba domyślała się już jakiejś tajemnicy łączącej ich panów:

— »Pani Malclerc pragnie rozmówić się z panem... Co mam odpowiedzieć?«

— »By weszła naturalnie,« rzekł d'Audiguer — »Widzisz pan jak jest zaniepokojoną« — dodał zwracając się do Malclerc'a gdy zostali sami. »Nie zapominaj o twej obietnicy.«

— »Pamiętam i dotrzymam jej« rzekł młody człowiek dodając jeszcze: »Zwróć mi pan swój szacunek, chcę tego i zasłużę nań«...

Gdy Ewelina weszła do pokoju, z obu współników tego tragicznego kłamstwa, on był spokojniejszym i pewniejszym siebie i natychmiast zwrócił się do niej z miną tak naturalną, że najbystrzejsze nawet oko nie dostrzegłoby w niej nic podejrzanego i nie przypuściło, że swoboda ta jest tylko dobrze za-graną komedią.

Przeciwnie zaś w zachowaniu się starca był pewien przymus, gdy zwrócił się serdecznie do młodej kobiety zarzucił ją pytaniami, jakgdyby chcąc uniemożliwić jej obserwowanie ich obu:

— Ty moja droga tutaj, o tej porze? Co tam jeszcze błądzi po upartej główce?... Zaniepokoiłaś się o niego? No, no, widzisz jest tutaj, cały, nic mu się nie stało!«

— »Nie podejrzywałam nic złego« — poczęła Ewelina »ale chciałam mieć pewność«.

— »Jaką pewność?... czego?...« — odparł d'Audiguer.

— »Niczego, tylko...« — zaczęła Ewelina, rumieniąc się po uszy. Jak wszystkie osoby subtelne i delikatne, które niepokój popycha do szpiegowania, wahała się dotychczas pomiędzy gorączkową chęcią poznania tajemnicy, którą podejrzywała, a wstydem i obawą, by nie zostać przyłapaną na śledzeniu męża.

Teraz zdarzyła się sposobność dla Malclerc'a, by rozpocząć działanie i zasłużyć na szacunek swego sędziego, dzięki swej energii w dotrzymaniu słowa danego przed godziną. Począł więc, zwracając się ku d'Audiguerowi, tonem prawie smutnym i zniechęconym:

— »Czy nie miałem racyi w tem, com panu mówił przed chwilą! To właśnie zabiera mi i niszczy całą energię. Tracę siłę przeciw wymagowanym niepokojom i troskom, które ona przybiera sobie do głowy. Lecz teraz jestem zdecydowanym iść za pańską radą i nie dopuszczać, by jakiegokolwiek tajemnice zagnieździły się pomiędzy nami«. — I kierując swe słowa do żony dodał:

»Jesteśmy twymi najlepszymi przyjaciółmi Ewelino. Masz nas teraz obok siebie obu razem. Jeśli ci leży znowu co na sercu pytaj nas. Odpowiemy ci wyczerpująco«...

— »Nie« — odrzekła — »nic nie mam.« I dodała: »Nic nie mam... To prawda, byłam szalona... Ale... —

dodała, pokonując w duszy szaloną chęć dopytywania się, czemu mąż jej wyszedł tak wcześnie rano, śpiesząc się do d'Audiguer'a jak zaraz się domyśliła — »ale dlaczego postępujecie zawsze zagadkowo wobec mnie, dlaczego mam ciągle dowody, że coś kryjecie przedemną?«

— »Zagadkowo?... Co kryjemy? Jakie dowody?...« zawołał Malclerc.

— »Przedwczoraj« — zaczęła głosem urywanym i wahającym... Wspomnienia ubiegłego wieczoru i straszego przestרחu na widok broni w ręku męża, dręczyły ją jeszcze. Starła się pokonać swą niewiarę, wstydziła się jej, jednak fakta przedstawiały się zbyt dokładnie, by mogła wmówić w siebie, że wszystko było tylko złudą.

— »Tak przedwczoraj... na biurku, widziałam kopertę z nazwiskiem pana d'Audiguer.«

— »I z powodu tego dręczysz siebie i mnie...« przerwał młody człowiek. »Przygotowałem dlań do odesłania, trzy broszury, które mi pożyczył parę dni temu... Gdzie je pan położyłeś, panie d'Audiguer? Proszę pokaż je pan Ewelinie.«

— »Nie« odparła Ewelina — »niechęć ich widzieć... Poco?«... dodała jakby sama do siebie. Potem zdradzając mimowoli niepokój szarpiący jej serce, który pragnęła zwalczyć, zapytała:

— »Ale czemu przybiegłeś tu tak wcześnie, by z nim mówić?«

— »Poco?« powtórzył Malclerc, i wyciągając z kieszeni list d'Audiguer'a: »Przeczytaj ten bilet.«

»Przyjaciel nasz zaniepokoił się szczerze tobą — nami obojgu jeśli mam ci wszystko wyznać. Chciał ze mną

pomówić o naszym poźyciu, wypytać się mnie, dać mi parę rad. Zresztą czytaj sama... czytaj...«

— »Nie« powtórzyła znowu młoda kobieta i odsunęła od siebie kopertę. Znowu walka sprzecznych uczuć odmalowała się na jej twarzy i nagle zwracając się do starca, ze szczególniejszą powagą poczęła mówić:

— »Jeśli w istocie rzecz się tak ma, mój przyjacielu, przysięgnij mi na pamięć mamy, że Stefan i ty nic przedemną nie ukrywacie. Wtedy uwierzę...«

— »Moje drogie dziecko«, rzekł d'Audiguer głosem, w którym przebijało się drżenie jego biednego serca. »Nie potrzeba mieszać wspomnienia zmarłych do naszych drobnych spraw i nieporozumień. Niema sensu bawić się w dramatyzowanie takiej niewinnej sprawy, przysięgami i zaklęciami niepotrzebnymi.«

»Utrudnia to tylko wyjaśnienia. Niemam ci co przysięgać, więc nie przysięgnę. Ale powiem ci tylko tyle, na przyjaźń mam jaką czuję dla ciebie, na serdeczne uczucia jakie miałem dla twej matki, zaklinam cię, uspokój się, przyjdź do przytomności. Mąż twój daje ci dobry przykład swem postępowaniem rozsądnem. Cierpiał na ataki nerwowe — teraz postara się zapanować nad nimi. Będzie uważał na siebie, pracował nad sobą, by się jak najprędzej wyleczyć. Nie utrudniaj mu tej pracy, i sama myśl o wielkiej zmianie, czekającej cię niedługo. Nic pomiędzy wami nie stoi, tylko fikcyjna tajemnica. Nie doprowadzaj do tego, by ci zniszczyła szczęście domowe... Pobladaś... Niepotrzebnie narażasz się, wstając tak rano i przybywając tutaj, dręcząc się... wszystko to niepotrzebne, wszystko zupełnie zbyteczne!... Stefanie« — pier-

wszy raz nazwał Malclerc'a po imieniu, by zmanifestować przed Eweliną, przyjaźń łączącą ich, — »Stefanie, odprowadź ją i uspokój. Będę u was dziś popołudniu. Mam nadzieję, że do tego czasu wszystko powróci do porządku. Przyjrzyj się nam obu dobrze, — czy wyglądamy na ludzi, zdolnych cię okłamać? Mówię szczerą prawdę twierdząc, że on i ja pragniemy jedynie twego szczęścia« ...

»Mogłem śmiało przysiąc« — rzekł do siebie szlachetny człowiek, gdy w kwadrans potem, został sam jeden w swej galeryi, po odjeździe młodych: »Mogłem być przysiąc« ... Co znaczy fałszywa przysięga gdy idzie o oszczędzenie młodej kobiecie tak wielkiego ciosu, jak odkrycie stosunku męża z jej własną matką?... Ale nie. Uwierzyłaby dziś, a jutro poczęłaby znów podejrywać i szukać.«

»Miała dość powodów, by mi nie ufać... Trzeba wszystko zostawić czasowi, czekać narodzin dziecka... Jeśli ten nieszczęśliwy« — myślał wspomniawszy o Malclerc'u — »znajdzie dość siły do postępowania tak, jak dziś rano, przez przeciąg pięciu miesięcy, wszystko może się jeszcze dobrze ułożyć... Ach — zakończył — powinienem był jednak przysiąc... Na »jej« pamięć nie mogłem.«

VII.

Nieuchronność.

D'Audiguer miał rację. Ewelina miała zbyt wiele powodów, by mu nie ufać, i ani na chwilę nie uwierzyła ich słowom. Zbyt wiele faktów złożyło się na to, od początku jej małżeńskiego pożycia, by uwaga jej nie była zaostrzona. Najdrobniejszy ruch każdego z nich nie uszedł jej bystremu wzrokowi. Ani nadzwyczajny spokój męża, ani wzruszenie starca, nie zawiodło jej zupełnie. Czowała, że poza tem ukrywa się jakaś poważna tajemnica. — Podczas, gdy mąż odwoził ją na ulicę de Lisbonne i nie przestawał grać swej roli, tak doskonale, że każdą inną osobę byłby z pewnością w błąd wprowadził, a d'Audiguer'a szczerze nią ucieszył, młoda kobieta nie przestawała pracować umysłem, starając się dociec prawdy. Domysły jej, wkrótce miały ją zaprowadzić na prawdziwą drogę. Raz wpadłszy na ślad, łatwo mogła odgadnąć wszystko:

— »Nie chciał mi nawet przysiąc, gdym zażądała tego od niego« — mówiła do siebie, wspominając wzruszenie, jakie ogarnęło d'Audiguer'a, na jej odwołanie się na pamięć matki i przyjaźń jaką dlań żywił.

»Niemógł tego uczynić. Nie chciał kłamać, aż do tego stopnia. Gdyż kłamię on także. Obaj mnie okłamują. — Porozumieli się by mnie łatwiej zwodzić i od wczoraj...

»Tak jest porozumieli się. Ale w jakim celu? Dla czego?...«

Ten nagły zwrot w usposobieniu d'Audiguer'a, ta tajna zmowa obu ludzi uderzyła ją, zmuszając do myślenia o przyczynie, zniewalającej ich do tego. Umysł jej trzeźwy nie bawił się w żadne fikcyjne domysły — imaginacya nie była w niej wcale rozbudzona.

Jeśli po matce odziedziczyła tę nadzwyczajną wrażliwość, panowanie nad sobą, umiejętność ukrywania swych wzruszeń, uczuć serdecznych, zamkniętych w głębi duszy, — to miała równocześnie po ojcu umysł trzeźwy, łatwo się orientujący w każdej sytuacji, sąd jasny o wszystkim, wolę silną i stałą, tak obcą pani Duvernay, zawsze chwiejnej i niezdecydowanej. — Traktowała wszystko zawsze bardzo poważnie. Stąd pochodził jej uczciwy, stanowczy charakter, stanowiący zupełny kontrast, z miękką, prawie kobiecą naturą męża. Zrazu, charaktery podobne dadzą się bardzo łatwo zwodzić, gdyż wierzą, że inni są równie szczerzy i uczciwi jak oni. Gdy nieufność ich zbudzi się, nie zasypia łatwo, zwracając się specjalnie do motywów, które spowodziły podejrzenie. Czują potrzebę przekonania się o całej prawdzie, poznania wszystkiego dokładnie. Jako nie przewodnia służy im fakt, który zgasił ich ślepą wiarę.

Tak się też stało z Ewelina. Podczas kilku dni, które nastąpiły po przelomowych czterdziestu ośmiu go-

godzinach pełnych tajemniczości, o nic więcej nie pytała, nie skarżyła się. Lecz całą swą energię skoncentrowała, by poznać jądro strasznej zagadki, ciężącej jak widmo grozy nad jej gniazdem rodzinnem.

Sprawa stała tak teraz: nazajutrz po usiłowaniach jej męża, by odebrać sobie życie, przybiegła oszalała z niepokoju, przybita, znękana błagać d'Audiguer'a o pomoc. On przyrzekł jej obronę, przyjął misję porozumienia się z Malclerc'em. Pojechał obiecując, że się z nim rozmówi, wydrze mu jego tajemnicę, a przynajmniej starać się będzie o to. Powrócił znając tę tajemnicę — ten punkt był zupełnie pewnym dla Eweliny — tak, znając ją, będąc zdecydowanym milczeć. Jakiej natury było to wyznanie, jeśli nie tylko najlepszy przyjaciel niechciał jej nic powiedzieć, lecz nawet obaj ludzie porozumieli się, by lepiej móżdż ukrywać przed nią to, co świętym jej obowiązkiem było znać dokładnie. Przyszłość jej małżeńskiego pożycia była zagrożona. Nie tała przed d'Audiguer'em, żadnej ze swych trosk. Pokazała mu złe tkwiące w tym nieznanym niepokoju, trawiącym jej męża — w tej tajemnicy, koło której błędziła tyle miesięcy. Widziała jak silnie wstrząsnęło d'Audiguer'a jej cierpienie, słyszała jeszcze okrzyk jego szczery: »Masz rację, trzeba, by się wytłumaczył!« I jedna rozmowa z Malclerc'em wystarczyła, by zmienić tego człowieka, by zrobić zeń współnika tamtego, by milczał tak jak on. Ta wzajemna antypatya, z którą wcale się nie krył, zamieniła się w tak krótkim przeciągu czasu w dziwną jakąś przyjaźń, wspólne porozumienie się.

Jakie słowa zostały więc wymówione pomiędzy nimi? Gdy złapała ich na tem widzeniu się rannem, zorganizowanem bez jej wiedzy, ta chęć milczenia i grania komedyi, była wypisaną na ich obliczach, w ich spojrzeniach, zachowaniu się. Jako nagła potrzeba wspólna, jednemu jak i drugiemu, sprawiła ich porozumienie się tak szybkie i gwałtowne, że nie będąc świadkiem wszystkiego, nie uwierzyłaby w prawdziwość całego faktu.

Tajemnica poprzedzała tu tajemnicę, ta nagła harmonia starca z młodym człowiekiem była wprost nie do wytłumaczenia. Była ona też jednym z tych faktów, które uniemożliwiają jakiegokolwiek bądź wytłumaczenie. Wążąc i zestawiając w myśli wszystkie wypadki, zaszłe podczas tych dwóch fatalnych dni, Ewelina ze swym umysłem bystrym, wyciągnęła z nich konsekwencye bardzo bliskie okrutnej prawdy.

Przez przeciąg ośmiu dni, które w ten sposób upływały od czasu pierwszych scen, aż do chwili ostatecznej rozmowy d'Audiguer'a z Malclerc'em, nic nie zdradzało w zachowaniu Eweliny, szalonej chęci poznania tajemnicy, tak starannie przez nich obu ukrywanej. Wychodziła i wracała jak zazwyczaj, wykonując wszystkie obowiązki światowe, jakie stan jej terażniejszy pozwalał kobiecie, wykonując z punktualnością drobiazgową przepisy lekarza, chodząc wiele i przysposabiając ostatnie przygotowania do bliskich narodzin dziecka spodziewanych za miesiąc, które pragnęła sama karmić. Gdyby kto widział ją, siedzącą przy stole jadalnym naprzeciw męża, lub też kroczącą oddalonymi alejami lasku bulońskiego czasem z nim, czesem z jedną ze swych kuzynek, lub

też pracującą wieczorem nad robotą w swym ulubionym saloniku, nie przypuściłby nigdy, że tak niedawno temu doświadczyła, tak gwałtownych i tragicznych wstrząśnień. Jedyne d'Audiguer odczuwał, że tragedia nie skończyła się, że umysł młodej kobiety wiecznie nią był zaprzątnięty, że pod tem jasnym, poważnem czołem, o błękitnej siatce żyłek, uparta myśl pożerała jej spokój i szczęście. Zanadto długo patrzył na matkę zamykającą się w sobie, kryjącą ból nawet przed najbliższymi, by stan tej pozornej słodyczy i absolutnego spokoju nie przerażał go. Obaw swych jednak nie zdradził przed Malclerc'em, który ze swej strony dotrzymywał tajemnicy panując nad swemi nerwami, opierając się badaniom żony, mając dlań twarz zawsze uśmiechniętą i serdeczną, bez cienia dawnej melancholii. Znając dobrze życie, czuł starzec bardzo dobrze, że stosunek panujący teraz, był tylko ciszą poprzedzającą burzę.

Z tem wszyskiem jednak dzień narodzin dziecka zbliżał się — przyjscia jego na świat oczekiwał z upragnieniem, widząc w tem jedyny ratunek. Potrzebował tej pociechy, by módz lżej znieść troskę pożerającą mu serce, która objawiała się tak widocznie, w tak groźnych symptomach, że Malclerc i Ewelina, mimo własnych smutków, niemało się jego stanem niepokoiłi. Tylko, że młody człowiek wiedział czemu za każdą swą wizytą przy ulicy de Lisbonne, starzec wstępował na schody, krokiem coraz cięższym, oddychając coraz trudniej — wiedział jaka myśl bolesna poorala zmarszczki na tem szlachetnem obliczu. Czuł dlaczego przebywając w małym saloniku pani Duvernay, Filip siadywał zawsze w tem

samem krześle odwróconem od okna, by mózdz ukryć wyraz swej twarzy, a zarazem zasłonić sobą widok pewnej miniatury umieszczonej na biurku przy oknie w ramach złotych, rzeźbionych — jednego z wielu podarków wręczonych Ewelinie w dniu jej ślubu. Pomimo, że obaj ludzie nie wymówili więcej ani słowa o przeszłości, Stefan wiedział dlaczego d'Audiguer podając mu rękę drżał na całym ciele, dlaczego w oczach jego malował się przestrasz i ból, dlaczego posiniałe powieki zdradzały nieprzespane noce.

Wielka więc różnica dzieliła zapatrywania jego od sposobu myślenia Eweliny. I ona spostrzegła bardzo dobrze ślady głębokiego bólu, wyrte na twarzy d'Audiguer'a, widziała gwałtowne zmiany, zaszły w całej jego postaci. Lecz podczas, gdy Malclerc żałował starożytnego przyjaciela Antoniny, rozumiejąc go całkowicie, ona szukała, badała, pytała sama siebie, czy była tu inna przyczyna prócz przejść ostatnich dni, czy inne jakie nieszczęście przygniało tego człowieka, dotychczas tak pełnego życia, tak odpornego na wszelkie ciosy życiowe.

— »Czy pan czuje się chorym?« spytała go nazajutrz, po ich pamiętnej rozmowie,

— »Wyglądam nieco blado?« odrzekł. »Newralgia znów się powtarza i nie daje mi sypiać po nocach.«

Pośpiech, z jakim podał fizyczną przyczynę swego stanu chorobliwego, tak jak przedtem Malclerc, dał jej aż nadto do zrozumienia, że chce ją zwieść tylko, zatrzymał inne pytania cisnące się jej do ust.

Rzekła sobie :

— »Poco znowu go zapytywać? Nie powie mi prawdy ; ani jeden , ani drugi« ...

Z uwagą i przestrachem śledziła ślady coraz większego bólu na twarzy d'Audiguer'a. Nie. Upadek sił jego nie leżał jedynie w chorobie fizycznej. Widziała go chorym kilkakrotnie w rozmaitych epokach i zawsze mogła skonstatować zadziwiający stoicyzm z jakim znosił ból każdy. Cierpienie moralne trawiło go również jak Malclerc'a. *Było to, to samo cierpienie*. Mąż jej panował nad sobą od czasu tej okropnej nocy, w której chciał się targnąć na własne życie. Lecz Ewelinę nie zwiódła komedia, grana teraz przed nią, dla jej uspokojenia. Wiedziała dobrze, że spokój i swoboda jego były udane.

— Filip także panował nad sobą, lecz to wszystko zabijało go powoli. Dlaczego? Jaką była ta straszna tajemnica — jak ważną odgrywała rolę w ich życiu, jeśli nie tylko, że połączyła obu ludzi do spisku przeciw niej, lecz zarazem ugodziła d'Audiguer'a jak osobiste nieszczęście?

Tyle mogła wyczytać młoda kobieta w oczach starca : nie cierpiał za nią — cierpiał za siebie samego. By upewnić się w swych mniemaniach, potrzebowała tylko przypomnieć sobie ich pierwszą rozmowę w jego małym muzeum przy ulicy de la Chaise, gdy przybiegła błagać go o ratunek w nieszczęściu. Jak on wtedy przemawiał do niej, z jakim wylaniem, jaką otwartością! Jak jasno widziała wtedy, że nic przed nią nie tuił, że wybuch jego rozpaczy i litości był zupełnie szczerym i otwartym! Jak w jego ruchach, uściskach rąk, tonie głosu, niespo-

kojnym wzroku przebijała się serdeczna tkliwość, sympatyja, całkowite, kompletne oddanie się sprawie!

Sympatyja ta i serdeczność nie były mniej szczeremi teraz, nie zawierały mniej tkliwości, lecz zdawało się jakby dusza ta utraciła swą dawną siłę. Wewnętrzna rana otworzyła się w jego sercu. Jaka rana? Jaka tajemnica unieszczęśliwiła go tak bardzo, co mógł mu wyznać Malclerc, co go tak przybiło? Opowiadał mu prawdopodobnie o przyczynie swej melancholii, o troskach ciężących nad ich ogniskiem rodzinnem, coż więc w jego wyznaniu mogło boleśnie dotknąć starca?

Te pytania zadawała sobie młoda kobieta bezustannie, stale, podczas codziennych zajęć, którym się znowu oddała i myśl jakaś uparta, poczęła zwolna wschodzić w jej głowie, myśl tak niejasna, tak nieokreślona, że jeszcze nie umiała jej sformułować. Przychodzą nagłe błyski na umysł, gdy rzeczy zupełnie nam niezrozumiałe rozjaśniają się odrazu, gdy bez naszej woli i wiedzy, setki faktów nigdy nie dostrzeżonych nawet, nabierają znaczenia, tworząc jedną całość, wyjawiającą nam odrazu to, co napróżno staraliśmy się dociec. Rzeczy przed chwilą nam nieznanne, o których istnieniu nie przypuszczaliśmy nawet, stają się faktami, kierującymi życie nasze na zupełnie inne tory. Nie, — nie chcieliśmy tego pojąć, a jednak pojęliśmy. Nie chcieliśmy przypuszczać tego, a jednak przypuściliśmy. Niejasna, niezrozumiała myśl ukształtowała się, tworząc chaos w naszym umyśle, malując obrazy tak dziwne, tak niespodzianie otwierając nam oczy na tajemnice, których wcale nie pragnęliśmy poznać.

Jaka myśl? Ewelina znając d'Audiguer'a od chwili swego urodzenia, wiedziała dobrze: — i to było przyczyną, dla której jeszcze jako mała dziewczynka przywiązała się doń tak szczerze, tak dobrowolnie — że życie starca koncentrowało się od dawna około niej i matki. Nie widziała go nigdy wzruszonym, z wyjątkiem spraw dotyczących jego obrazów i marmurów, jak tylko w wypadkach grożących jej lub matce. Nie dziwiło jej to zupełnie; przytem stosunki ułożyły się już tak od dawna, a rozmyślając nad tem, znalazła bardzo naturalne wytłumaczenie tego tkliwego uczucia dla nich. D'Audiguer nie miał bliższej rodziny. Miał tylko dalekich krewnych, z którymi łączyły go bardzo zimne stosunki. Był kolegą i przyjacielem lat młodych — tak przynajmniej Ewelina myślała — dziadka jej Montérau'a. Przeniósł tę przyjaźń na panią Duvarnay, potem zaś na jej córkę. Nigdy nie łączyła pojęcia o miłości z postacią człowieka, którego poznała jako czterdziestoletniego mężczyznę z włosami siwymi i twarzą postarzałą przed czasem. Nie znała ani podejrzywała nigdy prawdziwego powodu tego uczucia wzrosłego w cudownie piękny kwiat w duszy Filipa, ani nie wiedziała ilekroć łzami zraszał ten kwiat utajony. Nie potrzeba znać ani powodów, ani natury jakiegoś uczucia, by znać jego siłę i żywotność i by odgadnąć na widok pewnych trosk jak wielką rolę odgrywa ono w sercu danej osoby.

Rolę tak ważną w życiu d'Audiguer'a — Ewelina nie potrzebowała się zastanawiać by odgadnąć — odgrywała przyjaźń jego dla zmarłej przyjaciółki i wspomnienie jej. Wobec zmartwienia dręczącego go teraz

tak boleśnie mimowoli myślała: »Nie widziałam go takim od czasu śmierci mamy«... Skończywszy z nim rozmowę, w której tłumaczył się jej ze swego smutku i zmiany gwałtownej zaszłej w jego postaci, składając je na karb zadawnionej newralgii, Ewelina streściła swe wrażenie odniesione z tej rozmowy, podobne zupełnie do dawnych przypuszczeń: »Nie byłby innym gdyby sprawa ta tyczyła się mamy«... Po raz pierwszy hipoteza że ukochana zmarła mogłaby być w sposób na razie niewytłumaczalny wmięszana w tajemnicę, której całą siłą woli dociec pragnęła, zjawiała się w jej umyśle niejasno, niewyraźnie...

Szczególniejszy przypadek upewnił nagle jej niesformułowane przypuszczenia. Powróciła z przechadzki tego samego dnia w którym rozmawiała z d'Audiguer'em, tak jak zwykle koło szóstej wieczorem i jak zazwyczaj po zmianieniu kostiumu ulicznego na suknię domową skierowała się do swego małego saloniku by odpocząć. Otwierając drzwi ujrzała Malclerc'a, który ją poprzedził. Stał pod oknem koło biurka, trzymając w ręku jakąś fotografię, w którą wpatrywał się uważnie. Słyszając drzwi otwierane i szelest jej kroków, postawił ramki na biurku, z którego je wziął, ruchem tak gwałtownym, jak gdyby przyłapano go na gorącym uczynku. Ewelina zauważyła że ręka drżała mu lekko i zarazem, że na twarzy jego malował się wyraz znany jej zbyt dobrze i opłakiwany przez nią od roku przeszło.

Ramki postawione przez Malclerc'a tak szybko, zdobyły jedną z fotografii pani Duvernay. Wyraz jego twa-

rzy i zmięszanie trwały minutę zaledwie, lecz wystarczyło to, by Ewelina zdziwiła się tem niewymownie.

Rzekła bez przywiązywania szczególniejszej wagi swym słowom lecz jedynie, by przerwać milczenie i otrząsnąć się ze swego zdumienia:

— »Patrzyłeś na fotografię mamy? do tej jestem najwięcej podobna nieprawdaż?...

— »Dlatego jej się tak przyglądałem,« odparł żywo i zaraz obojętnym tonem począł opowiadać jej nowinę, jaką przed chwilą usłyszał w klubie. Oblicze jego oblekł zwykły wyraz spokoju, w którym odczuwała Ewelina ze smutkiem maskę przybieraną w celu uniknięcia jej pytań i podejrzeń. Głos jego nabrał zwykłego akcentu. Ani cień wzruszenia nie drgał więcej w jego oczach. A przecież za wejściem jej, oczy te paliły się ogniem tak silnym! Wkrótce opuścił pokój i Ewelina położywszy się na szeslongu zatopiła się w myślach...

Patrzyła ona teraz na fotografię matki. Pytała siebie dlaczego mąż jej wydawał się tak zmięszany gdy ujrzała go trzymającego portret w ręku. Oczy jej śledziły badawczo trochę zbladłe rysy tej twarzy tak podobnej do niej, jak gdyby chcąc w nich odnaleźć ślad myśli jakie nasunęły do głowy człowiekowi ubóstwianemu przez nią, którego tak bardzo, bardzo kochała, obok którego żyła, którego widywała kolejno tak czułym i tak zimnym, tak wesołym i tak smutnym, tak szczęśliwym i tak zgnębnym. Nosila jego nazwisko od roku przeszło, a znała go tak mało!... Tak. Jakie myśli wzbudziły w nim portret jej matki. Dlaczego ręka jego za-

drżała stawiając ramki na biurku? Dlaczego na twarzy jego malował się wyraz dobrze jej znany z epoki najsmutniejszej dla niej? W każdej innej okoliczności byłaby Ewelina do tego zdarzenia nie przywiązywała więcej znaczenia niż do wszelkich drobnych faktów zaszłych w przeciągu tych dziesięciu miesięcy. Lecz świadomość zmywy uczynionej pomiędzy Malclerc'em a d'Audiguer'em zmieniła zupełnie jej zapatrywania różne na nich obu, łącząc ich razem w swych myślach jako posiadaczy tej strasznej tajemnicy, która ciążyła nad nią i oto teraz rozpiezchłe, niesformułowane przypuszczenia zlały się w jedną całość, tworząc szereg faktów mogących ją naprowadzić na poznanie całej prawdy: jej zastanowienie się nad smutkiem d'Audiguer'a i przyczyną jego, zastanowienie się nad zmianą w stosunkach obu mężczyzn, tajemnicze znaczenie ich rozmowy, której przypisywała zmianę w zachowaniu d'Audiguer'a spowodowaną tą samą przyczyną, jaka o mało nie doprowadziła Stefana do samobójstwa, widoczny przestrah Malclerc'a gdy wszedłszy do pokoju ujrzała go wpatrującego się w fotografię... Motywy więc całego nieszcześcia i tajemnicy, które badała napróżno od tylu miesięcy miały jakąś wspólność z jej matką.

— »To niemożliwe«, — mówiła sobie — »niemożliwe« powtarzała »Stefan nieznał jej przecie«. Odstawiła ona też gwałtownym ruchem fotografię, wymawiając cicho to zdanie. Im dłużej się nad tem zastanawiała, tem więcej przypuszczenia jej stawały się nieprawdopodobnymi. »Staję się szaloną doprawdy« pomyślała i by odwrócić umysł od nedorzeczných i chorobliwych

marzeń poczęła z całym zapalem oddawać się jednej z robótek, które przysposobiała dla spodziewanego dziecka. Był to mały czepeczek cały z kwiatów nicianych nazwanych frywolitami. Uwaga z jaką musiała oddawać się tej robocie, nieustanny ruch czółenka kościanego, liczenie oczek, wszystko to pochłaniało chwilowo jej umysł, nie pozwalając zajmować się czem innym. Nadzwyczajny spokój, który był jednym z głównych wdzięków i zalet jej cierplivej natury, ujawniał się najlepiej w tych chwilach.

Siedząc tak cicho, czuła w sobie drganie nowej istoty, która niedługo przepelni krzykiem dom cały, którą będzie karmić swym mlekiem, ogrzewać swemi pieścotami i całą siłą woli starała się nagiąć myśli tylko do dziecka, do trosk i kłopotów przewidywanych z jego przyjściem. Tym razem jednak nie zdołała o tem długo myśleć. Po kilku minutach złożyła robotę do koszyka stojącego na stoliku obok szeslongu. Dawne wspomnienie nasunęło się jej nagle na pamięć, wspomnienie pierwszej jej wizyty ze Stefanem, wtedy jeszcze narzeczonym w tym domu, który teraz do nich należał. Jak dziwne było jego zachowanie wtedy; zaledwie wszedłszy do tego pokoju zmięszał się niewiadomo czemu. Jak bardzo zdenerwowała go bytność tutaj! Z jakim pośpiechem naglił do wyjścia, jak gdyby sam widok tych murów był mu nieznośnym. I odtąd tak często miała uczucie — wyraziła to nawet d'Audiguer'owi — że mąż jej czuje wstręt do tego domu, że chciałby uciec stąd jak z miejsca, którego widok przypomina nam jakąś osobę!...

Jaką więc osobę? Była tylko jedna, której obraz łączył się ściśle z myślą o tym domu. Była nią jej matka...

I znowu na dawne podejrzenia, które nasunęły się jej jeszcze natarczywiej odrzekła; »to niemożliwe«... tak jak przed chwilą, lecz zaprzeczenie to było już słabsze, mniej kateryczne, mniej zdecydowane... Nowe wspomnienie zjawilo się zadawnione, zapomniane, tak jak inne: gdy w Hyères nazajutrz po swych zaręczynach wymówiła nazwisko d'Audiguer'a, do którego napisała o zmianie swego losu, Stefan przyjął jej słowa z nadzwyczajnem, zadziwiającem wzruszeniem. Czyż nie wydawał się być więcej zaniepokojonym niż potrzeba, oczekując, w jaki sposób stary jej przyjaciel przyjmie wiadomość o ich narzeczeństwie? Czyż nie znać było jak wielką ulgę sprawiła mu opowiedz jego listowna? A przecież w tym czasie nieznał jeszcze d'Audiguera, przynajmniej osobiście. Była tego zupełnie pewną, gdyż ona dopiero zapoznała ich wzajemnie. Skąd więc pochodziło, że odzywając się o nim, mówił zawsze w słowach tak pełnych czci i szacunku jak o człowieku, którego się doskonale poznało? Ona sama, opowiadając o swym starym przyjacielu, nie miała nigdy czasu rozwodzić się zbytnio nad jego zaletami, do jej słów więc nie mógł przywiązywać zbytniej wagi: »Zaledwie pana poznał, zna pana tak dobrze jak ja«... wyrzekła wtedy do Filipa... Czy można było przypuszczać, że inna osoba objaśniała Malclerc'a o charakterze d'Audiguer'a i że tą osobą była pani Duvernay?...

— »Zatem Stefan spotkał ją w życiu?... Znał ją dobrze?... Gdzie?... Jak?... I nie mówił mi o tem nigdy?

Dlaczego?... Tracę zmysły... Nie... nie... to nie-prawda<...

Na ten głos rozsądku — jak się jej zdawało — zaprzestała swych wspomnień i wstała z szeslongu by pójść przygotować się do obiadu, wstrząsając głową jak gdyby chciała odpędzić napróżno upartą myśl, cisnącą się jej do głowy. W hipotezie słusznej, raz pojętej przez naszą inteligencję, bywa taka siła, taka dokładność, że nie można jej dobrowolnie porzucić, nie można zapomnieć. Podczas całego obiadu, tak jak i dni następnych, Ewelina napróżno odpychała od siebie nieprawdopodobną ewentualność, że mąż jej mógł znać kiedyś jej matkę, gdyż fakta niedawno rozpamiętywane w najdrobniejszych szczegółach stawały jej przed oczyma, by zamącić spokój. Wszystko cokolwiek mogło ją utwierdzić lub zachwiać w podejrzeniach podlegało jej uwadze.

Skonstantowała dwa fakta dość drobne, niemniej jednak wiele znaczące dla niej dzisiaj, wobec jej stanu myślenia. Niejednokrotnie podczas tych dni starała się śledzić spojrzenia męża rzucane na portrety pani Duvernay. Powiększyła ich liczbę w całym domu. Gdy oko Malclerca spoczęło na którym, przesuwało się szybko, jak gdyby nic nie spostrzegło. Starania jakie młody człowiek robił by nigdy nie patrzeć na portety uderzały ją tembardziej, że zgadzały się z wysiłkami czynionymi przez d'Audiguer'a, które mogła łatwo zauważyć, by unikać stale rozmów o zmarłej. Dawniej ani razu nie obyla się jego wizyta przy ulicy de Lisbonne bez tego by nie wspomniał jej imienia, ubiegłych lat, o których sama rozmowa zdawała się podtrzymywać go na siłach, uma-

cniać i odmładzać. Teraz gdy Ewelina uczyniła jaką wzmiankę o matce nigdy jej nie podtrzymawał. Bez pośpiechu lecz z widoczną wolą nie prowadzenia dalej tej rozmowy zmieniał ją, prowadząc na inne tory.

Ściśle rzecz biorąc, można było twierdzić, zachowanie Malclerc'a byłoby ją bardzo łatwo w błąd wprowadziło, gdyby wypadki ostatnich dni nie zaostrzyły jej uwagi i gdyby on sam nie starał się być zanadto swobodnym i spokojnym, czuwając nad każdym swym ruchem i spojrzeniem.

Co do d'Audiguer'a zmiana w nim była zbyt widoczna i niespodziewana, zachowanie tak inne od dawnego, nawyczki i przyzwyczajenia tak przeistoczone, że Ewelina za każdą wizytą starca, czuła coraz bardziej niepohamowaną chęć zapytania go wprost: »Czemu pan niechce, byśmy mówili o mamie?«

Pytanie to paliło jej serce, paliło usta, mimo to jednak nie postawiła go.

Jakiej odpowiedzi lękała się? Nie zdołałaby tego wytłumaczyć. Lecz już gorączka podejrzania opanowała ją i myśl jeszcze niedawno niesformułowana, niepewna poczęła powoli uwydatniać się i wyjaśniać. Możliwość, że matka jej mogła być wmięszaną w tajemnicę unieszczęśliwiającą ją teraz, zamieniła się w przypuszczenia prawie pewne, które kolejno odczuwała i przyjmowała w miarę jak stawała się ofiarą napadów nagłych i niespodziewanych wiary i zwątpienia, których przyście i odejście jest rodzajem kołysania się moralnego, okrutnie bolesnego dla istoty przechodzącej je. Kończy się wreszcie na tem, że człowiek poczyna pożądać pewno-

ści, podobnie jak podróżnik na okręcie, rzucanym przez morskie fale, pragnie postawić nareszcie swą stopę na stałym gruncie. Takie położenie wystarczy, by uniewinnić biedną Ewelinę za czyn tak przeciwny jej charakterowi, do którego popchnęło ją pragnienie poznania prawdy, jakąkolwiek by ona była. Kto odważy się ją potępić z tych, którzy cierpieli podobnie jak ona, czując obok siebie straszną tajemnicę, dręczącą całe otoczenie; z tych, którzy byli ofiarami okrutnych przypuszczeń i halucynacyi, gdy fakta i szczegóły następujące po sobie kazały się spodziewać najgorszych rzeczy, gdy oczekiwali każdej chwili gromu, mającego w nich ugodzić, nie wiedząc nawet skąd on wypadnie.

Przypuszczenia zamieniają się w pewnik, by za chwilę wydawać się tylko czczem złudzeniem, potem znowu drobne zdarzenie zmienia pogląd na sprawę; potem następuje reakcja. Człowiek postrzega, że błędził dotychczas w ciemnościach, że wszystko było tylko fikcją, wytworem bujnej imaginacyi. Naraz cały gmach argumentów i przypuszczeń burzy się, zastępuje go nowy, wzniesiony z powątpiewań i podejrzeń. Dusza pragnie prawdy, oburza się na fałsz własnowolnie zadawany, jednak nie porzuca raz wytkniętego celu.

Tak też było z Eweliną, nagle poczęła zapytywać siebie, czy tajemnica, która poruszyła do głębi jej mę-
żem i starym przyjacielem, nie wiązała się przypadkowo ze śmiercią jej ojca. Zaledwo, że знаła pana Duvernaya. Mówiono jej zawsze, że zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się podczas polowania. Jeśli to było kłamstwem przeznaczonem na to, by oszukiwać całą rodzi-

nę? Jeśli on zginął w pojedynku, a zabójcą jego był Stefan?... To nadzwyczajne przypuszczenie znikło prędko wobec jasnej rzeczywistości, że w epoce śmierci jej ojca, Stefan nie miał skończonych lat dwudziestu, a przytem, że pani Muriel byłaby znała cały ten wypadek...

Ewelina szukała teraz innych powodów i hipoteza niemniej chimeryczna i nadzwyczajna zajęła jej umysł. Zachowanie Malclerc'a i d'Audiguer'a zdawało się jej wskazywać, że rozchodziło się tu o kwestyę honorową.

Bywają przecie mężczyźni, którzy w swej młodości popełnili czyn karygodny i obawa wyjawienia jego ściga ich całe życie...

Cała jej miłość zbuntowała się przeciw podobnej możliwości obrażającej jej męża... Przytem błąd nawet wielki Stefana nie sprawiłby tyle zmartwienia d'Audiguer'owi. Lecz czyż nie bywają także błędy rodziny, za które odpowiadają dzieci a nawet wnuki... Jeśli na przykład jeden z jego dziadów naruszył jaki depozyt? Majątek jego stąd pochodził i mąż jej nagle dowiedział się o tem, co za szaleństwo!... Wszak poprostu powiedziała by jej o tem. A może?... Lecz poco przybierać do głowy coraz to inne chorobliwe przypuszczenia, poco silić się na nieprawdopodobne domysły, poco dręczyć coraz bardziej to biedne, nieszczęśliwe serce, jeśli żadna z tych wszystkich hipotez nie była nawet podobną do prawdy — żadna nie mogła wyprowadzić jej z tego zakłętego koła.

Wszystko wydawało się jej możliwem z wyjątkiem tego, że matka jej nie była najuczciwszą, najczystsza ze

wszystkich kobiet na świecie. Biedne szlachetne dziecko, dla którego sama myśl o błędzie, z powodu którego cierpiała tak strasznie, wydawała się przestępstwem!

Cały tydzień przeszedł na domysłach zarówno bezskutecznych jak bezsensownych i biedna Ewelina nie doprowadziła do żadnych rezultatów, zdenerwowawszy się jeszcze bardziej zagadką niemożliwą do odgadnięcia, wobec której czuła się bezsilną i bezradną. Zbliżanie się chwili rozwiązania przyłączyło do jej obaw moralnych obawę fizyczną, właściwą kobietom po raz pierwszy oczekującym słabości.

Bywały chwile, że pragnęła umrzeć podczas tego, chwilami zaś gdy czuła dziecię, które poruszając się, sprawiało jej głębokie cierpienie, miłość matki poczyniała się w niej budzić. Ogarniała ją obawa, by przejścia moralne nie odbiły się na tem nowem stworzeniu, związanem jeszcze teraz z jej życiem, które wkrótce miało się odłączyć od niej, i całą siłą woli starała się uciszyć swe niepokoje, odpędzać troski dręczące ją... Wejście męża do pokoju, uśmiech i spojrzenie jego zawsze jednakowo słodkie i czułe przywodziły jej znów na pamięć smutną tajemnicę. Niestety! przypadek dał jej wreszcie poznać co się ukrywa poza tem spojrzeniem i uśmiechem. W jaki sposób zdradzili się? Było to ośm dni od chwili gdy przybiegła do d'Audiguer'a szukać męża. Tym razem dla sceny, decydującej o całej jej przyszłości, posłużył znowu stary pałac przy ulicy de la Chaise, ze swemi klasztorunami, wysokimi oknami, wychodzącymi jedne na dziedziniec porosły gazonami, drugie na ogród pełen drzew stuletnich i kwiatów, z oknami

cichemi, obszernemi, tak mało napozór nadający się na ramy, wśród których rozgrywać się mają dramaty życiowe.

Od czterdziestu ośmiu godzin właściciel tego spokojnego domu był faktycznie bardzo chory. Gdy mówił Ewelinie o powracających atakach choroby, nie kłamał przed nią. Być może, że ostatniego tygodnia zaniedbał środków ostrożności, dzięki którym podtrzymywał pozostałe resztki zdrowia, lub też ciosy moralne, całkiem niespodzianie uderzyły nań w chwili, nazwanej przez fizyologów, najsłabszym okresem życia człowieka; w każdym razie podziały one ujemnie na jego zdrowie i szalone bole newralgiczne powiększały się z każdą godziną. Tym razem zaatakowały one piersi i lekarz obawiając się o serce podwoił środki ostrożności. Musiał więc położyć się do łóżka. Przez oba popołudnia Ewelina przychodziła dowiadywać się o stan zdrowia, przyczem przepędzała parę godzin przy nim. Tego dnia, gdy przybyła, służący uprzedził ją, by nie przestraszała się stanem w jakim znajdzie jego pana. Dla pokonania bezsenności wypływających z bezustannych bólów dano mu silną dozę chloralu i opium, czem był jeszcze do tej chwili oszołomiony. Gdy młoda kobieta weszła do pokoju, d'Audiguer leżał w pół śnie. Dała znak służącemu, że czekać będzie jego przebudzenia i siadła w fotelu przy łóżku chorego stojącym, w pokoju w którym na każdym kroku widać było ślady czci, jaką starzec otaczał pamięć jej matki.

Krucyfiks zawieszony nad łóżkiem, należał niegdyś do pani Duvernay. Ewelina sama dała go d'Audiguer'owi razem z akwarelą przedstawiającą salonik pałacyku przy

ulicy de Lisbonne. Pukiel blond włosów i parę zeschłych listków wisiały w ramach za szkłem nad głową chorego. Były to włosy ucięte z głowy zmarłej i liście z wieńca zdobiącego jej trumnę. Wielka fotografia willi d'Este widniała obok. D'Audiguer często mówił o niej Ewelinie pokazując krzyżyk narysowany jego ręką, oznaczający okno pokoju zajmowanego wówczas przez pannę de Monterau, podczas ich pierwszego spotkania w roku 1871. Stojąca w rogu pokoju biblioteka z szybami szklanymi zawierała książki czytowane niegdyś przez panią Duvernay. Rozglądając się dokoła, widziała portrety i fotografie w różnych ramach, porozstawiane po kominku, pułkach, stolikach, porozwieszane na ścianach, wszędzie jej matka, tylko jej matka. Każdy drobiazg tutaj znamionował jak wielkie miejsce zajmowała zmarła w sercu starca. Wszystkie te dowody przywiązania powiększającego się z każdym rokiem zamiast ostygnać, wzruszały zawsze córkę Antoniny. Dziś poruszyły ją jeszcze silniej i ze szczególniejszą tkliwością poczęła wpatrywać się w rysy chorego, jego wychudły profil i znużone powieki. Podczas snu jeszcze bardziej uwydatniały się ślady trosk spowodowanych nieszczęsnem odkryciem. Nierówny oddech, przechodzący od czasu do czasu w głębokie westchnienie, znamionował cierpienie nawet we śnie. Jakie cierpienie? Czy sprawiały je bole fizyczne, nie ustające nawet podczas snu? Czy też straszna tajemnica, w której istnienie wierzyła Ewelina tak silnie, jak wierzyła w uczucie serdeczne d'Audiguer'a dla niej i dla jej matki, dręczyła go bezustannie, burząc spokój nawet w tej chwili? Badawczo przypatrywała się temu czołu pokry-

temu siecią zmarszczek myśląc: »Gdybym mogła coś z niego wyczytać«... i czuła się na nowo pochłoniętą gorączkowem, palącym życzeniem poznania prawdy, gdy nagle przedmiot, na który padło jej spojrzenie zwrócił jej uwagę. D'Audiguer poruszając się we śnie odkrył swe ramię. Ewelina poprawiła kołdrę i robiąc to, trąciła poduszkę. Z pod niej wysunął się jakiś przedmiot i spadł na dywan. Widocznie chory ukrył go tam, niechcąc nawet we śnie z nim się rozłączać. Był to zegarek jego i łańcuszek, na którym wisały dwa klucze dobrze znane Ewelinie. Jeden z nich otwierał szkatułkę, drugi szafę orzechową w stylu Renaissance rzeźbionej i inkrustowej ze ścianami z marmuru, gdzie starzec przechowywał najrzadsze papiery i gdzie schował dziennik Malclerc'a. Młoda kobieta nie wiedziała o tym ostatnim fakcie, tak jak w ogóle nie wiedziała o istnieniu dziennika. Teraz jednak podniósłszy zegarek, zamiast położyć go na miejscu, poczęła bawić się łańcuszkiem i kluczami i myśleć... Ileż razy widziała jak d'Audiguer przyjmował gości w swem muzeum. Nie omieszkał nigdy tłumaczyć zwiedzającym mechanizmu zamku, będącego klejnotem nad klejnotami. Co miała znaczyć ta ostrożność z jaką chory schował klucze pod poduszkę zamiast położyć je do szuflady w stoliku. Dlaczego i przed kim? zbyt dobrze znała przyzwyczajenia swego przyjaciela, by nie wiedzieć, że otaczał się zawsze tylko ludźmi bardzo pewnymi, z powodu nadzwyczajnej wartości jego muzeum. Wiedziała również, że Filip miał zawsze w domu tylko tyle pieniędzy, ile potrzebował na codzienne potrzeby. Jeżeli ukrywał klucze, to z pewnością powodem

tego nie była obawa o pieniądze, będące w szufladzie, ani o dokumenta schowane w szafie Renaissance...

Ewelina ścisnęła w rękę klucze, przymknęła oczy. Widziała w myśli biurko męża, w ową straszliwą noc i na tem biurku wielką kopertę z napisem: »Panu Filipowi d'Audiguer'owi«. Napis ten zdawał się jeszcze teraz palić jej wzrok. Otworzyła oczy i szybko powstała, jakgdyby pragnęła uciec przed gwałtowną pokusą, która zjawiała się w jej umyśle i położyła zegarek z łańcuszkiem napowrót pod poduszkę. Chory nie zbudził się jeszcze.

Ewelina poczęła się znowu weń wpatrywać i znowu wspomnienie tajemnicy poczęło ją dręczyć. Twarz jego oblekała maska smutku tak różna od pogody, rozjaśniającej zazwyczaj jego szlachetne oblicze. Młoda kobieta przypomniała sobie że taką samą maskę smutku widziała na twarzy Stefana i podczas jakiego okresu ich życia wspólnego! w pierwszych miesiącach poślubnych, będących radością i światłem nawet małżonków żyjących potem w niezgodzie i kłótni!

Wszystkie smutki i gorycze całoroczne przesunęły się jej przez myśl jak najdokładniej. Czem zawiniła przed Bogiem, że doświadczał ją tak ciężko? Kochać tak swego męża, nie módz go uszczęśliwić, wiedzieć że cierpi tak strasznie, że przenosi śmierć nad podobne życie i nie znosi nawet natury i przyczyny tych cierpień! Przyczynę tę znał d'Audiguer, Stefan wyznał mu ją. Wiedzieć, że papiery zawierające to wyznanie są może o kilka kroków od niej, może w szkatułce, może w szafie muzeum, do którego drzwi widziała młoda kobieta przed sobą. Widziała oczami myśli otwarte drzwi-

czki od szafy, szuflady powysuwane. Suggestyonując się tą myślą zdawało jej się, że już przegląda szuflady, pułki i na jednej z nich spostrzega kopertę, widzianą na biurku męża. Wykombinowała sobie, że jeżeli d'Audiguer schował papiery w szafie, musiały one leżeć w jednej z przegródek dolnych. Przegródki te rysowały się w jej umyśle, zdawało jej się, że patrzy na nie, chwyta za rączki z kutego żelaza, pociąga za nie, czuje pod ręką chłód żelaza... Obraz ten podrażniał ją coraz silniej... Powoli, cichutko, niepewnym, drżącym ruchem, tak ją onieśmiala własna zuchwałość, palce jej wsunęły się pod poduszkę, gdzie przed paru minutami położyła zegarek z łańcuszkiem. Ze ściśniętem gardłem, drżącym sercem pochwyciła w rękę upragniony przedmiot. Podniosła się z krzesła i hamując ruchy, powstrzymując oddech, z policzkami płonącymi ze wstydu, parta jednak chęcią silniejszą niż jej wola i pragnieniem poznania raz nareszcie całej prawdy, choćby jak najgorszej. Idąc tyłem, by nie stracić z oczu starca, który spał spokojnie, doszła aż do drzwi prowadzących do galeryi. Szelest drzwi poruszonych, potem lekki zgrzyt klamki zamykającej się przeraził ją: zdawało jej się, że Filip stoi przed nią, wzbraniając dostępu do muzeum, strzegąc tajemnicy tak długo ukrywanej. Było to jednak tylko złudzenie, d'Audiguer spał dalej, nie przeczuwając, że młoda kobieta za chwilę miała dowiedzieć się strasznej tajemnicy, zdzierającej zasłonę, ze wszystkiego co święte, co nieskalane było w pamięci matki.

Była już w muzeum, gdzie oblicza świętych dzievic i Madonny malowane przez starych mistrzów, które

widziały ją ośm dni przedtem, padającą przed niemi na kolana i zanoszącą żarliwą modlitwę, patrzyły teraz, jak zbliżała się krokiem lekkim i ostrożnym jak zbrodniarka, do szafy, trzymając w ręku oba klucze. Poczęła próbować jeden po drugim, drzwiczki roztworzyły się, wyciągnęła szufladę jedną, potem drugą i ujrzała dużą kopertę z napisem skreślonym ręką męża. Wzruszenie jej było tak silne, że oparła się o ścianę by nie upaść. Wydało jej się nagle, że słyszy w drugim pokoju czyjeś kroki... Nie wahała się dłużej. Chwyciła kopertę... nerwowo wysunęła papiery... Wzrok jej padł na imię matki wypisane na początku stronicy. Przeczytała kilka linii skreślonych w Medyolanie: „*Nie kocham, nie mógłbym kochać Eweliny tak, jak Antoninę kochałem*“... jeszcze słów kilka i jeszcze kilka... Pełna grozy i przerażenia na widok strasznego odkrycia krzyknęła głośno, zdawało jej się, że wszystkie rzeczy skaczą około niej, że sufit się wali, że umiera. Kartki pamiętnika wysunęły się jej z rąk i pochylając się ku posadzce padła zemdlona...

Gdy przyszła do przytomności, ujrzała się siedzącą obok d'Audiguer'a w fotelu, na który mimo własnego osłabienia zdołał ją posadzić sam, bez pomocy służącego. Pozbierał papiery porzrucane dokoła i schował napowrót do szuflady. Ewelina mogłaby przypuszczać że śniła, gdyby ubranie domowe starca na ramiona tylko narzucone nie byłoby jej upewniło, że w istocie przybiegł tu zaalarmowany jej krzykiem bolesnym, by ją ratować, porzucając łóżko, gdzie spał spokojnie, nie domyślając się niczego.

Spotkawszy pełen serdecznego niepokoju wzrok staro przyjaciela objęła odrazu myślą ogrom strasznego nieszczęścia i drżąc na całym ciele, poczęła szeptać:

— »Muszę wracać... Cierpię zanadto«... Potem gdy spostrzegła, że d'Audiguer pragnął mówić do niej, pełna przerażenia przymknęła oczy, jakgdyby pragnąc zapomnieć o jego obecności i ściskając nerwowo ręce dodała głosem ochrypłym i drżącym:

— »Potem... potem... Nie teraz... Teraz muszę wracać. Zanadto mnie boli«... Wymawiając te słowa, przyłożyła rękę do serca, ruchem pełnym boleści. D'Audiguer zrozumiał, że wstrząśnienie jakie przeszła, przyspieszyło w niej rozwiązanie, że to czego oczekiwał z radością, czego pragnął tak gorąco, to dziecko już teraz przezeń kochane, miało przyjść na świat w tak okropnych warunkach! Niebezpieczeństwo grożące jej życiu dodało temu starcowi, samemu tak cierpiącemu energii i siły. W parę minut był już ubrany, Ewelina sprowadzona do powozu, zapomocą jego i służącego, którego mógł wezwać tym razem bez obawy, że prawdziwa przyczyna tego osłabienia nie będzie nawet przezeń podejrzwana. Powóz zdążył pospiesznie ku ulicy de Lisbonne, młoda kobieta wsunięta w głąb wstrząsana nerwowym dreszczem, nie wymówiła ani słowa podczas całej drogi i dopiero skręcając ku avenue de Messire zanim zajęchała przed pałac, poczęła prosić swego towarzysza.

— »Powiedz pan by powóz nie wjeżdżał« poczęła »niech nie dzwonią w bramie... Niechcę widzieć nikogo, nikogo« i ściskając rękę swego towarzysza, ruchem

konwulsyjnym: »Ach mój przyjacielu, oszczędź mi tego proszę cię«...

— »Nie zobaczysz nikogo, przyrzekam ci,« odrzekł d'Audiguer dodając przytem dla uspokojenia jej:

— »Moja w tem rzecz, byś spokojnie dostała się do domu«.

W rzeczywistości jednak w jaki sposób można uniknąć takiego spotkania. Przez prosty zbieg okoliczności mógł Malclerc wychodzić właśnie, mógł też słysząc drzwi otwierane, wyjrzeć na kurytarz?... Możliwość podobnego spotkania wydała mu się tak okropną, że przeszedłszy wreszcie spokojnie i wprowadziwszy Ewelinę do jej pokoju uczuł że jemu teraz siły odmawiają posłuszeństwa. Musiał usiąść w małym krzeselku w saloniku poprzedzającym sypialnię Eweliny. Nie był zdolnym kroku więcej zrobić. Tam też zastał go Malclerc, po którego posłał natychmiast. Młody człowiek wbiegł szybko, ujrzał starca pilnującego wejścia do pokoju żony, zdziwiony spojrział nań z niemym pytaniem. Filip wskazał mu ręką drzwi do pokoju, podczas gdy drugą położył na ustach nakazując mu milczenie. Malclerc pojął odrazu po grze jego fizyognomii, że zaszedł tu nadzwyczajny jakiś wypadek, po ruchach zaś, jakiej natury był ten wypadek. Okrzyk który chciał wydać na widok bladeści starca zamarł mu na ustach; cichym głosem spytał:

— »Ewelina wie wszystko?«

— »Wie wszystko« odparł d'Audiguer, też cichym głosem i począł nasłuchiwać, jakgdyby obawiając się, żeby ten szept nawet nie przedarł się przez drzwi do uszu

biednej kobiety. Potem zaczął mu opowiadać o wizycie Eweliny u niego, o swym śnie, podczas którego domyślał się co zaszło, jak został zbudzony jej głośnym okrzykiem i resztę.

— »Teraz« — zakończył — »posłałem powóz po doktora. Przyjedzie zaraz. Zaklinam pana nie staraj się z nią widzieć... Pomyśl tylko, jeśli urodzi dziecko w tych warunkach i przedwcześnie, będzie w niebezpieczeństwie życia... Pan zaś przypomnij sobie słowo dane jej wtedy w nocy. Powtórz je mnie także. Przysięgnij mi, że nie porwiesz się raz wtóry na swe życie«.

— »Pragnę zasłużyć na pański szacunek — odrzekł Stefan »mówiłem to już panu, nie zrobię nic takiego, coby mogło mi go zabrać«... Rysy jego wyrażały w tej chwili straszny ból, lecz zarazem rodzaj nadziei. »Będę miał dość siły« dodał, teraz gdy nie potrzebuję kłamać. Ale proszę mnie posłuchać«... i bojaźń znów zarysowała się na jego obliczu. Jęki dobywające się z za drzwi, oznajmiły obu mężczyznom, że cierpienia młodej kobiety rozpoczęły się »Był tylko doktor przybył na czas... Panie d'Audiguer, proszę pomyśleć tylko, wszak jestem ojcem, słyszę jak ona tam obok się męczy i niemam prawa być przy niej. Jeżeli zawiniłem ciężko, jestem już ukarany. Mój Boże! Odejdę, zniknę, odpokutuję mój grzech. Zrobię wszystko, co zechce bym zrobił! Odpokutuję za wszystko! Ale niech ona żyje! Niech żyje!«...

VIII.

Życie możliwe.

»Niech żyje«... Upłynęło już dwanaście dni jak Malclerc głosem drżącym wyrzekł te słowa, pode drzwiami pokoju, w którym żona jego miała zostać matką, pokoju, do którego wstęp był mu niestety wzbroniony. Już dwanaście dni upłynęło, jak dała życie synowi i leżała w niebezpieczeństwie życia, a on nawet spojrzeć na nią nie mógł. D'Audiguer zawsze pełen poświęcenia i przywiązania, zapomniał o własnych cierpieniach, by ciągle czuwać nad niemi obojgu. — Oszczędził nie-szczęśliwemu człowiekowi smutnych i niemiłych konsekwencyi, jakie mogło nań sprowadzić to usunięcie się z pokoju Eweliny. Trzeba było za jaką bądź cenę uniknąć pytań pani Muriel, które bezwzięcia byłaby stawiała. D'Audiguer zwrócił się do doktora. Powiedział mu o gwałtownej sprzeczce zaszłej pomiędzy małżonkami w przeddzień jej słabości — scena ta głęboko wstrząsnęła Eweliną, widok kogokolwiek bądź denerwował ją nadzwyczajnie; wymógł więc na nim, że zabronił absolutnie wszystkim, zbliżać się do chorej, składać jej

Wybieg ten poskutkował na razie, lecz Ewelina przychodziła teraz do zdrowia. Miała żyć... Jak?... Co myślała teraz?... Czego pragnęła?...

Teraz, gdy pierwsze niebezpieczeństwo zostało usuniętem, konieczność stanowczej rozmowy pomiędzy małżonkami wzrastała z każdą chwilą. Było to przedmiotem ciągłych narad d'Audiguer'a z Malclerc'em. Ten ostatni powracał ciągle do swej obietnicy, danej dwanaście dni temu: »Zrobię wszystko, co zechcę bym zrobił« i dodawał zawsze, że znajdzie na to dość siły, gdyż nie potrzebuje nadal kłamać.

— »Co mi odbierało energię« mówił, »to ta wieczna obłuda... Wiedziałem dobrze, że była ona mym obowiązkiem i jak przekonałeś mnie pan, koniecznem następstwem mego błędu. Wszystkie me siły traciłem w tem kłamstwie. Jak słusznem jest to sławne zdanie: »Prawda zbawiła mą duszę!« ... Odkąd nic przed nią kryć nie potrzebuję, mniej odczuwam tragiczność mego położenia i mam siłę, siłę, której nigdy się nie spodziewałem. Oddycham teraz swobodnie!« ...

Słyszając te słowa i inne podobne, d'Audiguer, który wyrzucał sobie jakby zbrodnię ten sen, podczas którego Ewelina przyszła do posiadania fatalnych kluczków, zapytywał siebie, czy zdarcie wszelkich zasłon nie było dobrodziejstwem dla tych dwóch istot nadzwyczaj wrażliwych i czułych, z których jedna tyle cierpiała nad własnem milczeniem, a drugą tak dręczyła ta tajemnica? Teraz przynajmniej, od dzisiaj, losy ich mogły pokierować się zupełnie inaczej, zaporą stojącą pomiędzy Malclerc'em a jego żoną zniknęła, walki wewnętrzne mi-

nęły, małżeńskie ich pożycie mogło od tej pory być zupełnie szczęśliwem. Lecz czy pozostaną nadal małżeństwem? Odpowiedź na to pytanie, zależała tylko od Eweliny. D'Audiguer widywał ją zaledwie po kilka minut codziennie i nie mówił z nią nigdy o niczem, prócz o kwestyach tyjących jej zdrowia. Serdeczna troskliwość, okazywana mu przez chorą podczas największych cierpień, jak również życzenie, by syn jej nazywał się Filip, uderzyły starca w najtkliwszą strunę jego serca. W tej podwajanej życzliwości dla starego przyjaciela matki, pragnął widzieć dowód, że straszne odkrycie nie zniszczyło w niej czci, jaką miała dla tej matki. Szlachetny człowiek czuł się do obowiązku bronienia zmarłej wobec jej dziecka. Okropną wydawała mu się myśl, że Ewelina mogła źle sądzić Antoninę.

Pokonawszy niską zazdrość, powstałą na wieść, że jego zmarła przyjaciółka kochała i była kochaną, doszedł do najwyższego stopnia zaparcia się siebie, do tego absolutnego przebaczenia, które czyni więcej niż darowanie win, które pojmuje, rozumie i żałuje istoty sądzonej surowo przez innych.

W jaki sposób wytłumaczyć przed żoną Stefana Malclerc'a, która była zarazem córką Antoniny Duvernay, przyczynę tej pobłażliwości, tego łagodnego sądu? Dla niego, małżeństwo Antoniny było najlepszym obrońcą jej przewiny; wiedział co skłoniło ją do poślubienia człowieka nienawidzonego, przyznawał więc zupełną słusność, że poświęciwszy swą młodość dla rodziców i nie znalazłszy szczęścia w domu, szukała go

poza domem. Nie mógł jednak bronić jej w ten sposób wobec córki. Zarazem jednak zamęczała go myśl, że Ewelina nie czi więcej swej matki, że kocha ją mniej niż przedtem. Ocalić przyszłość tego małżeństwa, jeżeli wogóle było to jeszcze możliwem; ocalić obraz Antoniny w sercu jej córki, te dwa marzenia przepełniały teraz umysł i serce szlachetnego człowieka tak zajętego tymi planami, tą podwójną niepewnością, że nie odczuwał więcej swej własnej choroby, nie zważał na bezustanne i bolesne ataki newralgiczne, które go nawiedzały. Każde szybsze poruszenie rozdzierało mu piersi, każdy oddech dusił, mimo to jednak ciągle biegł z pałacyku przy ulicy de la Chaise, na ulicę de Lisbonne i ciągle odbywał narady z Malclerc'em. Dziś gdy Stefan poznał naturę uczucia, jakie starzec nosił w sercu dla pani Duvernay, doznawał wobec tego heroizmu fizycznego i moralnego, tych samych różnorodnych wrażeń, jakie powstały w nim po pierwszej ich rozmowie. Teraz jednak dosięgły one najwyższych szczytów szacunku prawie kultu nabożnego dla tej szlachetnej wspaniałości, wyrzutów sumienia, że nie potrafił jej od razu ocenić, zarazem jednak pewnego rodzaju zazdrości. Tak. Zazdrościł mu — porównanie takie jest możliwem gdy odnosi się do »d'Audiguer'a tarokowego« — zazdrościł podobnie, jak artysta gorszy zazdrości lepszemu, jak Verrocchio prawdopodobnie zazdrościł Leonard'owi gdy ten ostatni malował figurę Anioła w sławnym »Chrzeście Chrystusa« znajdującym się teraz w Akademii florenckiej. Stefan który tak pragnął, tak poszukiwał uczucia, który tak się dręczył by potrafić wreszcie

pochoać, który tak pracował, by przerobić swe serce, wobec tej duszy tak szlachetnej i bogatej w te uczucia dziś jeszcze zdolnej poświęcić się z miłości, wstydził się przed nią, podziwiając i zazdroszcząc jej zarazem. Zwolna przyłączyła się do tego chęć naśladowania, energia tej miłości poczęła oddziaływać na niego. Nie zdołałby nic uczynić, nic pomyśleć o czem nie byłby pewnym, że d'Audiguer'owi będzie się podobać. Czy ten zdawał sobie sprawę z tego kultu swego rywala dla zalet jego serca? W każdym razie nie okazywał tego. W zamian za to, gdy Malclerc przyglądał mu się w chwilach, gdy nie zważał na to uwagi, przekonywał się, że stary przyjaciel jego żony ulegał zawsze w jego obecności uczuciu wstrętu fizycznego. Jednocześnie jednak, tajemniczy i nierozzerwalny węzeł zadzierzgał się z każdą chwilą bardziej, łącząc ich coraz silniej. Wspólny cel zbliżał ich do siebie, obaj czuli to bardzo dobrze.

Przy końcu drugiego tygodnia d'Audiguer przybył jak zwykle o godzinie drugiej na ulicę de Lisbonne i zdążając do sypialni Eweliny, spotkał w salonie Malclerc'a, który nań oczekiwał. Oblicze jego wyrażało szalony niepokój.

— »Wołała pana już kilkakrotnie... Coś się tam stało... Pragnęła pomówić z księdzem Fronteau. Był tu dziś rano...

— »Nie jest jej gorzej?« spytał d'Audiguer i na odpowiedź przeczącą dodał: »Czy ksiądz Fronteau nie rozmawiał potem z panem?«...

— »Nie« rzekł Malclerc z widocznym smutkiem »lecz zdawało mi się, patrząc potem na niego, że mu wszystko powiedziała«...

— »To niemożliwe« wykrzyknął żywo d'Audiguer, którego oblicze zachmurzyło się. »Nawet podczas spowiedzi, powinna była milczeć. Tajemnica ta nie należy do niej«... I dodał: »Jeśli mnie wzywa po rozmowie z nim, to znaczy, że powzięła jakieś postanowienie«...

Jakkolwiek wielką wagę przykładał d'Audiguer do postanowienia Eweliny, to obawa, że tajemnica Antoniny została powierzona obcemu człowiekowi, była tak silną, że pierwsze jego pytanie po wejściu do sypialni młodej kobiety, odnosiło się do tego. Jeszcze jeden szczegół w pokoju, gdzie chora leżała, powiększył jego niepokój do najwyższego stopnia. Ściany były ogołoczone. Pani Malclerc zażądała, by zdjęto z nich obrazy i fotografie pod pretekstem, że światło odbijające się w ramach i szkle drażniło jej wzrok, w istocie jednak dlatego, by nie mieć więcej nad łóżkiem portretu tej matki, o której mąż jej tyle mówił w swym dzienniku. Ta oznaka zmiany uczucia dla zmarłej, zmartwiła nie na żarty d'Audiguer'a. Zanadto łączyła się ona z jej niepokojem dzisiejszym i obawą przed jej postanowieniem, żeby nie dotknęła go podwójnie. Spytał ją więc głosem przytłumionym, jak gdyby w obawie, by nie zbudzić dziecka uśpionego w kołysce stojącej obok łóżka Eweliny, w rzeczywistości zaś dlatego, że wzruszenie ścisnęło mu gardło:

— »Mówiono mi, że ksiądz Fronteau był u ciebie?«

— »Tak« odrzekła Ewelina, »i rozmowa z nim bardzo mi dobrze zrobiła.« Potem z genialnością właściwą kobietom, czytając w jego myślach dodała:

— »Powiedziałałam mu tylko to, co mam prawo powiedzieć, gdyż pragnęłam jego rady. Nie dowiadywał się

o wszystko, poprzestał na mych słowach, był bardzo dobry dla mnie.«

D'Audiguer wziął drobną, bladą rękę, tak bladą jak batysty i koronki, na których spoczywała i przycisnął do niej usta z wyrazem serdecznej wdzięczności. Zauważył, całując ją, że młoda kobieta miała na palcu obrączkę ślubną, lecz rubin jej pierścionka zaręczynowego nie lśnił obok niego. Był to symbol tego, co pragnęła odtąd znaleźć w małżeństwie: »Obowiązku bez nadziei, przywiązania bez miłości«. Czy było to właściwem jej wiekowi? Czy było to szczerem? I dla zbadania do głębi rany w jej sercu, przed wyleczeniem jej, o ile to było możliwem, spytał:

— »Jeśli prosiłaś o radę księdza Fronteau, jestem pewnym, że powiedział ci to, co ja pragnąłem ci też powiedzieć, gdy będziesz miała dość siły do wysłuchania mnie, co winna jesteś twemu synowi« — i wskazał kołyskę — »nie pozbawiać go ojca. Ty która wiesz dobrze, co to jest być kochaną, która w czasie swego dzieciństwa, byłaś otoczona taką miłością, widziałaś obok siebie osoby ci drogie, zrozumiesz dobrze, jak smutnem byłoby dlań dzieciństwo, gdyby od najwcześniejszych lat patrzył na rozdziwienie i rozłączenie rodziców«...

— »Rozumiem to — odparła Ewelina — i przyznaję, że nie mam prawa narażać mego dziecka na coś podobnego... Wspomnienia, które mi pan na myśl przywozisz — dodała — pozostały tutaj, — mówiąc to, wskazała na serce — i zostaną tam na zawsze«.

— »Jeśli tak myślisz« ciągnął dalej d'Audiguer, »powinnas zarazem pojąć, że sytuacja terażniejsza nie może trwać dłużej... Dotychczas ułożyliśmy tak wszystko, że ciocia twoja nie wie o niczem. Przynajmniej tak mi się zdaje... Nadal byłoby to niemożliwem«... I wymawiając te słowa w sposób, w jaki chirurg zanurza instrument w bolesną ranę z obawą, by nie przeciąć żył niebezpiecznych, dodał:

— »Czy nie myślisz, że trzebaby się wreszcie zdecydować na zobaczenie z mężem?«...

— »Niech przyjdzie«... odparła po chwili milczenia. Drżenie powiek było jedynym znakiem przerażenia, jakie ją ogarnęło na słowa d'Audiguer'a. Oczekiwała go, ona także tego zdania, tak jak chory oczekuje na żelazo chirurga i dodała: »Niech przyjdzie«...

— »Kiedy chcesz by przyszedł?« spytał d'Audiguer.

— »Ależ, kiedy pan sobie życzy... Nawet teraz... Tylko« i śliczna jej twarzączka blada i mizerna, w której oczy lśniły blaskiem gorączkowym, oblekła się wyrazem strachu, »tylko niech mi nic o tem nie mówi«.

— »Zrobi jak zechcesz«, rzekł d'Audiguer... »wie, że masz urazę do niego«...

— »Nie« odparła żywo, potrząsając głową »nie mam doń urazy, nie mam jej do nikogo«... I poczęła mówić, jak gdyby sama do siebie głosem, w którym d'Audiguer usłyszał akcent, jaki brzmiał niegdyś w głosie matki, po śmierci Monterau'a, gdy spowiadała mu się ze swych smutków i rozczarowań:

»Gdy się oddaje komu tak kompletnie, jak ja się mu oddałam, nie można zobojętnieć. Nie zdołałabym

zmienić mego serca, gdybym nawet chciała, gdyby mnie nawet zranił śmiertelnie... Być nieszczęśliwą to nie znaczy mieć urazę. Kochałam go zanadto, zżyłam się zbytnio z tą miłością, bym miała teraz nagle przestać go kochać. I kocham go zawsze... lecz odczuwam straszliwy ból... Nie przeszkodzi mi to w wypełnieniu mego obowiązku wobec dziecka i wobec niego także... Pomiedzy nami stało coś, czułam to i źle robiłam, chcąc się tego dowiedzieć, dziś stało się to. Będziemy żyć nadal. Świadomość tej tajemnicy, będzie mi ciągły ból sprawiała. Oto wszystko... Chce pan dowodu, jak bardzo go zawsze kocham? Bez fałszywego wstydu, mogę to panu wyznać. W tych długich godzinach, podczas których tyle myślałam, wie pan co mnie najwięcej trapiło? Była to myśl, że on nigdy mnie nie kochał... Nie! To nie mnie on kochał... Nie mnie... Ach, jęknęła, patrząc nań wzrokiem pełnym przestachu... »nie każ mi mi pan więcej mówić!«...

»Biedna istoto«... odparł starzec, którego wzruszenie dosięgnęło najwyższego stopnia. Swem usposobieniem kobiecem, tak wrażliwem i delikatnem, sercem szlachetnem, które tyle dało, a tak mało w zamian otrzymało, odgadł, że dusza Eweliny czuje podobnie, jak on. Począł więc mówić, dobierając wyrazów mogących wlać najwięcej balsamu w jej zbolałą ranę:

— »Jeśli tak było jak mówisz, miałabyś zupełną rację. Ale tak nie jest. Mówisz, że mąż twój nie kochał cię nigdy dla ciebie samej, a to jest nieprawdą. Skąd więc pochodzą te niepokoje, którym tak często podlegał, jeśli cię nie kochał? Czem dręczył się tyle

czasu, jeśli nie wyrzutami sumienia, że wyrządził ci tyle niesłusznej krzywdy? Przypomnij sobie tylko wszystko dobrze, a przekonasz się, jak z dniem każdym stawałaś mu się coraz droższą tak, że dłużej nie był w stanie kłamać przed tobą... Potępiaj go, masz do tego prawo. Ale nie mów, że cię nie kochał...

Ach, ile go kosztowała ta pochwała dla człowieka, którego miał tak wielki powód nienawidzieć i którego nienawidził! »Mogłem go osądzić od czasu, gdy mnie wysłałaś do niego i gdy wszystko mi wyznał. Mogłem się przekonać jak bardzo zasługuje na twą miłość i jak potrzebuje tego, byś go kochała. Gdybyś go była widziała tak, jak ja, wpatrującego się w syna, twego syna, nie twierdziłabyś, że cię nie kochał...

— »Tak«, odparła Ewelina, »wiem, że jest dobrym dla dziecka... Opowiadano mi, że bierze je na ręce i całuje... Ale wie pan dobrze, że można kochać dziecko, a matki nie...

— »Gdy wejdzie do pokoju, trzymaj je, przekonasz się, na które z was obu spojrzysz pierwszej...

— »Nie mogłabym... odparła Ewelina... »Mogę go przyjąć, ale nic nie chcę wiedzieć. Niech mi się o nic nie pyta. Przestańmy już o tem mówić. Nie mam już sił więcej...

Zapanowała cisza między nimi, którą przerwała, zebrawszy prawdopodobnie wszystkie siły, by być w stanie spokojnie przyjąć Malclerc'a.

Rzekła do d'Audiguer'a tonem ofiary przemawiającej do kata:

— »Idź pan go szukać. Jestem gotowa«...

.....

Sztuczny spokój przybrany przez biedną kobietę, znikł jak mgła, przemieniając się w nerwowe drżenie w chwili, gdy drzwi się uchyliły i Stefan wszedł do pokoju. Gdy ujrzał ją tak bladą, zmizerniałą i wzruszoną, niewypowiedziany żal wstrząsnął nim do głębi. Serdeczna tkliwość zabłysła w jego oczach, z których spłynęły dwie wielkie łzy po policzkach i nie wymawiając słowa cofnął się by odejść. Na widok tego szczerego smutku, jakkolwiek miała już niejednokrotnie przykłady, że dowody litości i żalu nie zawsze chodzą w parze z miłością, fale uczucia zalały jej serce i ruchem powstrzymała go. Drżącemi rękoma, wzięła dziecko spiące w kołysce, jak gdyby pragnęła dać je ojcu. Teraz jednak zawiodły ją siły. Osłabiona upadła na poduszki. Nie sprzeciwiła się przecież, gdy d'Audiguer wziął je delikatnie i położył w ramiona Malclerc'a. Stefan dotknął lekko ustami czoła syna i chciał oddać go starcowi, który wzbraniając się i cofając popchnął lekko ojca do łóżka matki. Ewelina zdawała się wahać minutę. Wreszcie przymykając oczy wzięła dziecko z rąk męża. Na twarzy jego odbił się wyraz wdzięczności i miłości wobec tego dowodu przebaczenia, którego nie miał prawa ani wymagać, ani spodziewać się. Było to wystarczające dla d'Audiguer'a, niemego świadka tej niemej sceny, by odgadł możliwość dalszego pożycia dla tych dwojga istot. Przekonał się, że przyszłość ich mogła dostarczyć im

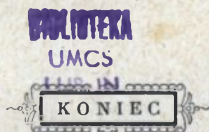
jeszcze wiele jasnych dni, że nowe życie mogło się zacząć.

Subtelna jego natura odgadła, że pierwsze ich widzenie nie powinno przeciągać się dłużej, gdyż wzruszenie nadmierne Eweliny i jej męża byłoby doprowadziło tego ostatniego do wyznań i tłumaczeń, co mogło na razie całą sprawę popsuć, rzekł więc, kładąc swą starą dłoń na maluchnym policzku dziecka :

— »W jego imieniu proszę cię... Trzeba postarać się zapomnieć, trzeba postarać się, by rozpocząć nowe życie odtąd«...

— »Spróbuję« rzekł Malclerc głosem silnym i pewnym, opierając rękę na ramieniu d'Audiguer'a.

— »Spróbuję« rzekła Ewelina głosem cichym, przytulając łagodnie dziecko do serca.



BIBLIOTEKA
URZĘDNIKOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE
SEKCJA IV.

